

WYDANIE JUBILEUSZOWE

14895 I
WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.

POWIEŚĆ BEZ TYTUŁU.

CZĘŚĆ II.

TOM VII.

Wydawnictwo na korzyść Jubilatów.

WARSZAWA.

DRUK JÓZEFA UNGRA,

ulica Nowolipki, Nr. 3.

1879.

15

El. Orzeszkowa

WYDANIE JUBILEUSZOWE
J. I. KRASZEWSKIEGO.

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO

POWIEŚĆ BEZ TYTUŁU.

CZĘŚĆ II.

TOM VII.

Wydawnictwo na korzyść Jubilatów.

WARSZAWA.

DRUK JÓZEFA UNGRA,

ulica Nowolipki, Nr. 8.

1879.



KOMPUTER
884-3

821162.1-311.2



Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Декабря 1877 г.



74

5.8.215.6.45

74

POWIEŚĆ BEZ TYTUŁU.

(Dokończenie.)

Niewiele życia pozostało biednej matce, tyle tylko, by odbolala za grzechy swoje; ta reszta spłynęła jej w niepojętym rozmarzeniu. Kiedy jej domek na Łotoczku stał się straszną pustką, a Karolek do ojca i siostr poszedł na Rosę, Dormundowa wpadła w stan jakiś osobliwszy, z którego już żadne starania wyprowadzić jej nie potrafiły, ani zupełne poświęcenie się dla niej Stanisława, który święcie spełnił wolę jej syna, ani środki lekarskie użyte przez Branta, próbującego wszystkiego, ale zapowiadającego za wczasu, że gdy dusza chorobę robi i ciało niszczy, nie ma na to w medycynie lekarstwa. Dormundowa płakać i mówić przestała, chodziła jak cień niemy, nieprzytomna, wychudła, i nie dozwoliwszy nic ruszyć w pokoiku Karolka, całe dni z jego cieniem na zwykłym swym miejscu przepędzała, strzegąc skarbów swych, pamiątek. Najmniejszy skrawek papieru, na którym on skreślił słów kilka, chowała jak relikwię, i nieraz długo, długo trzymała przed oczyma nieforemne rysunekzki, jego dzieciną jeszcze skreślone ręką. Marta siłą ją prawie karmić musiała, Stanisław przymuszać do spoczynku, ale najczęściej przebywszy kilka dni i nocy nierucho-

ma w izdebce, nareszcie bezsennością i cierpieniem znużona padała na ziemię u synowskiego łóžeczka i tak usypiała na kilka godzin, po których przerwane na krótko znowu rozpoczynały się rozpamiętywania bolesne.

Stan taki nie mógł potrwać długo; wszystkie wyczerpując siły, zmienić się musiał lub ustać, a że głębokiéj boleści matki śmierć tylko koniec położyć mogła, Dormundowa w gorączce cierpienia przeżywszy kilka miesięcy, skończyła wreszcie żywot gęsto cierpieniem przeplatany.

Przez cały ten czas powolnego konania, Stanisław nie odstąpił jéj na chwilę; stał się dla niéj w istocie przysposobioném dziecięciem, niezmordowaną troskliwością, z jaką służył biednéj nieprzytomnéj kobiecie. Wilno stało się puste, akademicy wyjechali, towarzysze znikli, on sam jeden wielu próbami złamany, pozostał ciągnąć odważnie ten pług niedoli i obowiązku. Doktor Brant tylko nieco mu pomagał, nie odstępując nieszcześliwéj, starając się dodać sił i odwagi Szarskiemu.

Ale gdy młody opiekun wdowy, pewien, że ludzkie boleści czas łagodzić musi, i ufny, że ją Bóg dłużéj zachowa przy życiu, dopytywał się o nadzieję u lekarza, ten mu wcale nie tał następstw, które dla niego były widoczne.

— Mój drogi, rzekł: prawda, są rany, które się goją, ale są i nieuleczone; do tych zaliczyć potrzeba boleść Dormundowéj, którój nie pozostało na świecie, bo to, w czém zamknęła życie swoje, uszło na inny świat lepszy. Ona musi umrzeć i umrze prędko, bo codzién widoczniéj niknie nam w oczach. Gdyby się chciała oderwać od tego widoku, szukać środków...

ale ona ani myśli o sobie, ona jeszcze płacze po swoim ostatnim, i ze łzami duszę uroni.

Był to więc okropny dla młodego serca widok nieuleczonej boleści i powolnej śmierci; a Stanisław pomimo swego przywiązania do wdowy i litości nad nią, całych sił swych dobywać musiał, by podołać obowiązkowi zaciągnionemu względem niéj i zmarłego syna. We dnie i w nocy, w nieprzerwaném milczeniu, czuwał nad nią, spał, gdy ona usnęła chwilę i to nie kładąc się, a najmniejszy szelest przerażonego obudzał. Izdebka, obok którój ciągle musiał stać na straży, smutna jak trumna, w oczach jego wydawała się nieustanną groźbą i przypomnieniem śmierci; śmierć otaczała go dokoła, co chwila obawiać się musiał, by go ze snu przelotnego stukot zabijającego wieko trumny nie obudził niespodzianie.

Dormundowa słabła, słabła, nie zmieniała trybu tego wyczerpującego życia i ostatniego dnia dopiero zdawała się jakoś oprzytomniać; przemówiła słów kilka, objawiła wolę jakąś, poczęła niby wracać do życia. Stanisław ucieszył się niezmiernie, wstąpiła w niego nadzieja, posłał po doktora Branta i po przyjaciela wdowy, regenta Palskiego, których mieć przy sobie żądała. Obaj zaraz przybywszy, zamknęli się z nią, a Szarski ukląkł Bogu dziękować za to, co za cud Jego uważał. Jakież było przerażenie jego, gdy lekarz wychodząc z pokoiku Dormundowéj, miną okazał mu, że wszelką stracił nadzieję.

— Ale ona była lepiéj! zawołał Stanisław.

— To lepiéj zawsze poprzedza i zwiastuje śmierć w chorobach tego rodzaju, zwłaszcza w tych, co z duszy pochodzą, lub duszę dotknęły. Dormundowa wyczerpała boleścią do ostatniéj kropli życie i siły.

Palski wyszedł także z jakimiś papierami zapłakany i pomieszany. Za nimi w ślad ukazała się i Dormundowa, niby przytomniejsza, ale wsparta na rękę Marty, która ją dźwigać musiała, bo o swój sile iść nie mogła. Kazała się zaprowadzić do łóżka syna, uklękła przy nim, poczęła całować zabawki jego, i rozplakała się szlochaniem głośnem.

Marta, jak Stanisław, myliła się sądząc, że jej płacz pomódz może i ulżyć, bo od dawna suche miała oczy; ale tuż Dormundowa podniosła się, wciągając Stanisława. To przemówienie jej do niego tak znowu było nadzwyczajne, że Szarski pobiegł, odzyskując nadzieję.

— Klęknieć dziecko moje, odezwiała się słabym głosem: niech cię pobłogosławię, niech ci w imieniu mojem i Karolka za przyjęcie synowskiego brzemienia podziękuję. Bogdajby ci życie tyle przyniosło pociech i szczęścia, ileś tu się napatrzył i naciерpiał boleści... Palski już wie czego chce...

To ledwie wypowiedziawszy przerywanym głosem, wdowa jęła znów łkać i szlochać, rzuciła się konwulsyjnie na łóżeczko syna i na nim biedna skołała. Długo Stanisław i Marta odcierali i ratowali, sądząc, że zemdlala tylko; ale gdy Brant nadszedł, musieli się poddać śmierci.

Cicho odbył się pogrzeb wdowy, za której wozem ubogim (bo ostatek grosza swojego na ten obrząd oddał Stanisław) poszli tylko Brant, Palski, Stanisław i Marta. Z dawnych przyjaciół czasów świetniejszych, w których Dormundowa jaśniała między pierwszymi, w towarzystwie wileńskim kobietami, pięknoscia, dowcipem i dostatkiem, nikt sobie o niej nie chciał przypomnieć. Miejsce jej na cmentarzu oznaczone już

było pomiędzy mężem a dziećmi; ostatnia przyszła do gromadki, po której tyle łez wylała.

Po pogrzebie, Stanisław zamyślał się co zrobić z sobą i jak nowe życie rozpocząć, gdy zaraz nazajutrz Brant, Palski i nieznamy urzędnik przyszli do niego z papierami. Marta już nie widząc nikogo, nikomu wstępu do domu nie broniąc, skamieniała siedziała na schodkach, straszna żalem, jaki się na jej starzej i wyniszczonej twarzy malował.

Stanisław zrozumiał to przyjęcie potrzebą zdania domu, i powiązawszy co miał swego na przędcę, wziął się do kluczków.

— Czekaj-no pan, rzekł Palski: bo to nie pan, nam, ale my panu wedle testamentu zdać dom i ruchomości powinniśmy.

— Jak to? zapytał Stanisław.

— Alboż pan nie wiesz, że jesteś spadkobiercą nieboszczki Dormundowej?

— Ja? zdumiony zawołał Szarski.

— A tak! tak! dodał Palski powoli. Ale ta pocziwa chęć nieboszczki bez żadnego dla waćpana skutku: dom ten obciążają długi, dwa razy wartość jego i mobiliiów przenoszące; życzę więc zabrać co można z ruchomości i wyrzec się reszty.

— Ale ja zupełnie nic nie chcę! zawołał Stanisław.

— I nic ci też, moje dziecko, prócz jakiej pamięteczki, nie przyjdzie, odparł Brant wzdychając. Dormundowa zawsze miała biedaczka to uprzedzenie, że coś jeszcze ma i że ją tylko nieprzyjaciele prześladowają; ale w istocie nie było i grosza funduszu. Myślała, że ci robi ofiarę wielką, z serca chciała uczynić co mogła, a rzeczywiście nic nie zrobiła.

— Na Boga! zawołał Stanisław: alboż myśleć możecie, żem chciał czego, żem się czego spodziewał?

— Ale nie, odpowiedział Brant zażywając tabakę: właśnież ja nie wiem, żeś ty jój ostatek swojego oddał i za swoje ją pochował! Zabieraj póki czas mobilia, i póki się wierzyciele nie opatrzą, swoje przynajmniej odzyskać się staraj.

— Ja nic nie chcę, nie chciałem, nie wezmę, przerwał z oburzeniem Szarski. Myślcie panowie nie o mnie, ale raczej o téj nieszczęśliwej starój, która nie ma przytułku, kąta i chleba, cały wiek na służbie ich straciwszy.

— Trudno na to będzie poradzić, rzekł Palski: grəsza nie pozostało.

— Przedajcie więc co się da ocalić z ruchomości aby jój zapewnić chleb i przytułek.

Brant uściskał Stanisława ze łzą, którój ukryć i ocierać nie myślał.

— Nie turbuj się o to, rzekł: są jeszcze serca pocziwe, nie zginie stara Marta.

W téj chwili szum się dał słyszeć w dziedzińcu, i ciżba ludzi od wrot, z pacholkami policyi, z komisarzem na czele, wtoczyła się na ganeczek. Marta siedziała na nim; ale dawniej tak groźna, teraz się już nie ruszyła nawet, spojrziała obojętnie, mruczając pod nosem:

— Idźcie, idźcie kruk! zabiliście pana, pozabijaliście dzieci, dobili ją... zabierajcie i swoje... a mnie tu już nie ma co robić.

To rzekłszy, wstała i poszła do kuchenki, i szybko z niój zaraz wybiegła z węzelkiem na plecach, z kosturem w ręku z miotliśka zrobionym na prędcę; spuściła głowę, zabierając się odejść, gdy hałas wewnątrz

domu ją powstrzymał, żal ścisnął serce i znowu na stopniach usiadła.

Ta ciżba, byli to wielcy i mali wierzyciele nieboszczki, domagający się praw swoich; a Palski, usiłujący choć cokolwiek ocalić dla Szarskiego, począł od przeczytania w obec nich formalnego testamentu wdowy.

— Jakże ona mogła co zapisywać—wykrzyknął jeden jegomość w surducie z kołnierzem bobrowym i koleczykiem w uchu—kiedy nic nie miała!... Niech wprzód poddają co nam winni.

— Bardzo to dobrze, rzekł Palski usiłujący uprzedzić Stanisława, który się rzekać zabierał: ale panowie musicie dochodzić praw swoich, a tymczasem spełni się wola nieboszczki i nieruchomości przejdzie na nowego właściciela, z którym się likwidować będziecie. Ja ten interes biorę na siebie.

— Tak! zawołał drugi: jedno warto drugiego! Waćpan nas i za życia wodziłeś, i po śmierci myślisz jeszcze ciągać po sądach; ale z tego nic nie będzie: są dekreta.

— A może będzie i mimo dekretów! rzekł z zimną krwią, składając testament, Palski. Długi te rosły co rok we dwoje... pozwiemy do kalkulacji przysięgi... lub wejdziemy w układy...

Kredytorowie nie bardzo czysci, obawiali się prawnika, bo jego tylko rozumem i zręcznością wdowa od lat dziesięciu przy domu się trzymała. Spojrzeli więc po sobie.

— Co tu się układać! rzekł bobrowy kołnierz, który na dwadzieścia od sta pożyczał: wszystko i tak nasze!

— Albo i nie wasze! mruknął, udając obojętność, Palski.

— Zobaczymy!

— Zobaczymy!

— Panowie! przerwał usiłując się dobyć Stanisław.

— Za pozwoleniem, nie dając mu się odezwać, przerwał Palski: pan tu głosu nie masz, prawa pańskie jeszcze nie są wylegitymowane.

— Pan się nie odzywał, powtórzył jeden z tchórzliwszych wierzyteli, nie wiedząc, że mówił przeciwko sobie, a usiłując rolę jakąś odegrać.

— No! alem ciekaw, jakie mogą być układy? spytał staruszek w szaraczkowej kapocie, który od wnijścia do domku rozpatrywał bacznie ruchomości, ręce trzymając w kieszeniach.

— To zależy.. rzekł krótko Palski.

— Tandem, na czémże je oprzeć? dorzucił bobrowy kołnierz: i jam ciekaw!

— Potrzeba, żebyście panowie odkupując prawa sukcessora, coś ofiarowali! wyjąknął Palski.

— Za pozwoleniem! usiłując próżno dać się słyszeć, głośniejszym głosem Szarski, którego to niecznośnie męczyło: ale ja, ja...

— Ale pan nie masz głosu! zagłuszył stentora pierśią plenipotent.

— Pan się nie odzywał! groźnie powtórzyli za nim wierzytiele.

Stanisław musiał umilknąć znowu.

Palski poczynął mrugać na kredytorów, jakby się z nimi porozumiewał, przekonując ich, że mówi w ich interesie.

— Cóż tedy panowie oddajecie sukcessorowi?

— Ruchomości, podszeptał w odpowiedzi sam Palski. Komuś się zdało, że słówko to wyrzekł nie praw-

nik, ale jeden z nich, i poczęli przebąkiwać cicho o ruchomościach.

— Mogą być precyzoza, zrobiła uwagę szaraczkowa kapota.

— Są inwentarze, odparł Palski.

Wszystkie oczy zbiegły się do ukazanego w tej chwili papieru i czytać poczęły. Staś znowu zapragnął się odezwać, ale go zaraz zahukano, tłum cały był przeciwko niemu, choć sam nie wiedział dla czego. Brant smutnie spoglądając na tę scenę, uśmiechał się żałośnie do tabakierki, którą w ręku trzymał.

Po bardzo krótkiej całej w szeptach naradzie, odstąpiono ruchomości na rzecz spadkobiercy, wymagając tylko zrzeczenia się wszelkich praw jego i pretensyj.

W chwili kiedy się to układało, Stanisław ciągle napróżno usiłujący przemówić, bo mu to Palski, to Brant, to spadkobiercy odezwać się nie dawali, chwycił wreszcie, rozdrażniony do ostatka, tłómaczek swój i przecisnął do drzwi.

Na schodach siedziała jeszcze Marta Żmudzianka.

— Chodź stara, rzekł Szarski: chodź! nie mamy już tu co robić oboje. Najlepsze podobno wyniesiemy z tego domu, bo wspomnienie drogich naszych zmarłych; a póki ja żyję, nie dam i tobie umrzeć z głodu; zapracujemy sobie na kawałek chleba.

Marta uśmiechnęła się smutnie.

— Patrzajcie, rzekła jakby do siebie: jakie to pocziwe! Daj ci Boże zdrowie rybeńko, a na cóż ja ci jeszcze mam być ciężarem! Zkądżeby się brali żebracy pod kościołem, gdyby im tacy jak ja nie przybywali pod koniec życia. Żyjąc oni, kochaneczku, to i ja tym samym chlebem się przekarmię! Albo to co

złego rękę wyciągać, kiedy już do pracy niezdatna! Niech ci Bóg płaci za twoje dobre serce, ale ja tego nie chcę! dam sobie rady!

— Dla czego? odparł Szarski: alboż to nie mogłabyś mi być pomocą? stróżem, gospodynią, sługą jak tutaj byłaś?

— O! nie! nie! kiwając głową zawołała Marta. Ot co powiesz rybeńko, że od śmierci pani, jakby mi ręce poodrąbywał—do niczego, do niczego! Chce mi się modlić i drzemać, a czasami zapłakać; do pracy sił nie znajduję, bo to z serca idzie... a tam mi zaschło. Jeszczebyś musiał darmo drugą izbę dla starój Marty najmować. Za ten grosz kto inny lepiej ci usłuży niż ja... porzuć mnie i nie frasuj się serdeczko, nie zginę ja na wileńskim bruku... Będzie tylko więcój jedną żebraczką w kruchcie u Augustyanów.

Stanisław napróżno ją namawiał, Marta była niewzruszona, i nie dała mu się uprowadzić; pozostała na schodkach domu, który opuścić jeszcze jój było ciężko, tak już do niego przyrosła. Oj! staremu przesadzać się na starość, ciężka to rzecz, bolesna!

Szarskiemu tymczasem, rzuconemu wśród ulicy, przyszło na myśl szukać taniiej izdebki w dawnym swoim mieszkaniu na Trockiej ulicy, i władowawszy trochę rzeczy na przejeżdżającą dorożkę, pociągnął do domu pana Horyłka.

Nie bez przyczyny domyślał się, że czasu wakacyi puste izdebki będą bardzo przystępne; z podziwieniem swém zajechawszy przed bramę, nie zastał w niej ani Hersza na czatach, ani gospodarza.

Wszedłszy do domu, wszędzie dziwnie znalazł pusto.

— A pan Horyłka? spytał przechodzącego chłopaka.

— Jest w stancyi.

— To mi go, proszę, wywołaj!

Chłopiec poleciał z balasem, dla dystrakcyi w podróży wszystkie balaski galeryi przebiegając ręką, która po nich jak po klawiaturze rozstrojonego fortepianu zatętniała, i czerwony bardzo, w karmazynowej swój niegdyś mycce, ukazał się żwawo wybiegający gospodarz.

— A nie mylą mnie oczy moje! zawołał dłoń przykładając do czoła: to stary znajomy... śmiem rzec, przyjaciel domu... Jak się pan ma? i co pan tu porabia? Nie potrzebuje pan stancyi?

— Właśnie jój szukam, rzekł Szarski.

— Poczciwy człowiek zaraz do znajomego ciągnie! zawołał stary, szparko macając się po kieszeniach kurtki... Héj! Małgorzata, Antosiek, Klimek! kluczy dawajcie! gdzie klucze?

I zasmolone służące i odarte chłopaki nadbiegli na zawołanie, a pan Horyłka już ożywiony myślą, że mieć będzie lokatora, kłąć poczynął.

— Kto z was mi klucze pochwycił? A nu, próżniaki, gapie... tu taki godny pan, poczciwy, stary znajomy czeka...

To mówiąc, szybko zbiegł z piętra pan Horyłka, i zdejmując czapeczkę, uściśkał swego dawnego lokatora.

— No! jakże? chwala Bogu, uniwersytet się skończył, powinszować stopnia! Jakić pan chce stancyi? dwie, trzy, czy cztery? Dom wyporządziłem teraz lepiej, słowo honoru, jak u Podbiپیty... pan sam zobaczy, ja nic nie powiem. Nowo pomalowany, elegancya największa, meble! Hersz! gdzie ten szelma Hersz! to łajdak śpi tylko! pije... dalipan pije! nos ma nawet

czerwony! A klucze... a! pewnie u jejmości... idźże-no Klimek po cichu do jejmości.

— Do jakiej jejmości? spytał Stanisław: wszakżeś się pan był rozstał z żoną?

— Tak! tak! było to coś, było, rzekł poprawiając mycki Horyłka: ale się to polatało. Widzi pan, wszystko to przyszło przez języki ludzkie. Udana była jakoby uciekła z huzarem; tymczasem co się pokazuje? zupełnie co innego! Miała dalekiego kuzyna w dragonach, i z nim jeździła odwiedzić swoją rodzinę.. powróciła! powróciła chwala Bogu! żyjemy w świętej zgodzie. A! co to za kobieta panie! jaki mi ona zaraz ład wprowadziła w dom! jaby sam temu nie wystarczył. Pan zobaczy co to teraz za laleczka, hotel Kornela Horyłki. A o mało że przez plotki i zawziętą ludzką nie poróżniłem się z najlepszą kobietą...

To mówiąc, dostawszy nareszcie zagubionych kluczy, otworzył machinalnie gospodarz ten sam właśnie pokój, w którym Szarski stał początkowo z Bazylewiczem. W istocie miał on teraz nieco lepszą minę, wymyła świeżo podłogę, pomalowane ściany w pasy żółte i niebieskie, kanapkę cycem pokrytą i plwaczkę w kącie. Tę najprzód ukazał mu gospodarz.

— Widzi pan... są nawet kraszarki (tak je nazywał), i o tym pamiętała. O! jaka to kobieta!

— Ale łóżka nie ma, panie Horyłka.

— A kanapa? czysty zysk, w nocy się na niej śpi, a w dzień siedzi... salon kompletny. Na cóż młodemu łóżko? chyba żeby się uczył zniewieściałości!

Targ wkrótce skończono, i Staś znowu się rozgościł na starą swoją kwaterze.

Ale Wilno tak mu się teraz zdawało puste! nigdzie znajomym nie spotkał twarzy, bo nawet państwo Ciemiegowie pojechali na wieś, professor Iglicki wyniósł się gdzieś za miasto, a Hipolit ruszył w Kowieńskie odetchnąć powietrzem nadniemnowej doliny. Pozostali mieszkańcy mieli minę zaspanych i znudzonych; w kawiarni pod Św. Janem nikogo, Krysztalewicz nawet nie pijany i tym bleśszy, ledwie się kiedy niekiedy ze swoim granatowym frakiem pokazał na świecie. Stanisław błąkał się z Trockiej na Niemiecką ulicę, z Niemieckiej na Żotoczek, powracał do siebie i do pracy wziąć się nie umiał, tak mu to osamotnienie ciążyło.

Cisza dzienna, cisza nocna, którą tylko przerywał żalobny dźwięk dzwonów kościelnych, nużyła go nieprzebytą długością swoją; a ten stan duszy, wracając go do wspomnień dzieciństwa, rodził tęsknicę po nich, po domu, po cichym tym kątku litewskim, w którym się urodził. W początku było to tylko pragnienie jakiegoś, ale wkrótce stało się gorączką, żądzą nieprzepartą, konieczną potrzebą wioski, pól, lasów i powietrza pełnego wyziewów zieleni, tak różnego od atmosfery miasta, a niosącego z sobą tyle myśli ile woni!

Sprzedaż ruchomości po Dormundowej, których przyjąć nie chciał Szarski, dopełniona została staraniem Palskiego, a ten gwałtem prawie pieniądze z niej pochodzące i kilka fraszek ocalonych dla pamiątki wręczył Stasiowi. To postawiło go w możności myślenia o ubogiej podróży w rodzinne strony.

— Czemubym nie miał—rzekł sobie w duchu—pójść tam, spojrzeć, popłakać, zobaczyć ich może z daleka i znów powrócić do pracy? Ta podróż odświeży mnie,

rozbije myśli tęskne i powróci zdrowie może; wszak Brant ruch mi nakazał.

Nazajutrz zaraz opancerowany tą myślą, poszedł się jeszcze Szarski doktora poradzić, spowiadając mu się z całej swojej historyi.

— Chcesz tam iść, rzekł namysławiając się lekarz: ha! zapewne, lepiej to niż tu siedzieć i gryźć się wspomnieniami, lepiej... spróbuj zresztą. Młodemu i ruch i zmiana miejsca potrzebne, staremu tylko to groźne... ale maszże o czém ruszyć?

— Sądzę, że niewielką rzeczą się obęde, odpowiedział Stanisław: a nauczyłem się nie troszczyć o wygodę... Zmusiliście mnie wziąć ten grosz biednej Dormundowej...

— Powiedz lepiej twój własny, boś go więcej dla niej wyszafował, niż ci tam przyszło ze sprzedaży tych rupieci... Idź, idź, ale mi powracaj; a wróciwszy, staw się do mnie.

To mówiąc, uściskał go serdecznie, zamyślił się i stanął.

— Ale, ale—rzekł—słuchaj-no! w którejże to stronie?... bo ja tam mam jakichś zardzewiałych krewnych na Litwie?

Stanisław wymienił najbliższe miasteczko.

— Właśnie! tam gdzieś mieszka mój dawny przyjaciel i krewniak lub syn jego... Nie słyszałeś nic o Płachach?

— Płacha? coś sobie przypominam... to niedaleko od Krasnegobrodu, graniczą z nami, mają częśćkę w Jasińcach... ale ich nie znam.

— I nie dziw... choć to moi krewni przez matkę, ale stary, prawdę powiedziawszy, nieznośny dziwak... Z tém wszystkiém, do niego lub do syna dać ci list

muszę... Ojciec, wątpię, żeby żył jeszcze... ale syn, który w ślady ojca wstąpił i zdziwaczał na wsi, pewnie w Jasińcach siedzi. Bądź u nich i oddaj mu pismo moje... dziś ci je przyszlę.

Wyszedłszy od Branta, Szarski zmierzył ku kościołowi Augustyanów, gdzie się spodziewał znaleźć Martę, której chciał dozór swych rzeczy i mieszkania powierzyć. Spotkał ją powoli od kruchty ciągnącą ulicą.

Miała już całkiem ubiór i minę żebraczki, sakwy, kij, i ten rodzaj sukni, która się składa z nieokreślonych kawałków jakichś, niepewnego kształtu i barwy niepochwyconej...

Zdziwiła się słysząc, że ją ktoś po imieniu woła.

— Al! to ty mój robaczku! Jak się masz? Ot widzisz, co to się zrobiło z Marty...

— A ja z prośbą do was.

— Oho! a toż co znowu?

— Jadę na wieś.

— Na wieś! i może myślisz mnie brać z sobą! Marta pokiwała głową. Co jemu świta w głowie!

— Nie myślę was zabierać z sobą, alebym tu chciał kogo w mojem mieszkaniu, przy odzieniu i rzeczach zostawić... Myślałem, że mi Marta tego nie odmówi.

Stara ruszyła ramionami.

— Kościół franciszkański o trzy kroki, dodał Szarski.

— Tak, alem się już rybeńko wpisała do augustyańskiej kruchty, a tam drugi raz przyjdzie się ujadąć... na co mi to!

— Ja za was zapłacę.

— Ale dajże mi pokój rybeńko! ot to mi bogacz!

na jednej pole kozucha spi, a druga się okrywa i rekawy ma do zbycia... patrzajcie go! Nie wypada znów, żeby żebraczka jakaś pilnowała waszecinię stancyi; a coby to ludzie powiedzieli? Trzebaby się przebrać, rozłachmanić i swój chleb porzucić... ot dałbyś mi pokój!

— Jak ci to niedogodne...

— Lepiej rybenko stancję porzuć, co ma darmo puścić? a rzeczy możesz mi oddać pilnować, ja ci ich jak oka we łbie strzedz będę.. Mam ja stancję, mam! co sobie myślisz?.. umrzeć tak rychło nie spodziewam się.

Stanisław, który pod tym pozorem chciał Marcie lżejszy kawałek chleba zapewnić, widząc, że mu się nie udaje, potrząsł głową i rzekł:

— Kiedy tak, wolę moje tłomoczki odesłać do doktora Branta.

— Ot! lepiej, lepiej zrobisz rybko! mniebyś starą kątem twoim łaski nie wyświadczył, a niepokoju tylko napędził, bobym się za próg od złodzieja nie ruszyła.. Tak! tak! ruszaj z Bogiem serdeńko, i niech cię Bóg błogosławi; codzień mówię Zdrowaśkę na twoją intencję przed Najświętszą Panną... jedną tylko, bom się jeszcze dużo modlić nie nauczyła, i częściej to zamyśliwszy się, wśród pacierza się zerwę, żeby garnek odszumować; a gdzie tam już garnki!... Bywa zdrow, rybko!

Pożegnawszy starą Martę, która z wyprostowanej znowu zrobiwszy się garbatą, o kiju, powoli powlokła dalej suwając nogami, Staś wrócił do domu.

Ale gdy przyszło wynaleźć środki dostania się w okolice Krasnegobrodu i obliczyć z pieniędzmi obrachować łatwo, że na podróż, powrót i pierwsze

chwile pobytu w Wilnie, nim coś znowu zarobić potrafi, ledwie mu może wystarczyć. Podróż więc trzeba było przedsiębrać z największą oszczędnością, nie najmując furmana, ale od miasteczka do miasteczka dostając się na tak zwanych dyliżansach żydowskich.

Mało kto wie co to są tak wspinałem imieniem ochrzczone eilwageny nasze, przystępne wprawdzie dla worka najuboższych, ale też ledwie ich zaspokoić mogące. Co niedziela lub poniedziałek, po gościńcu pocztowym lub wielkich traktach handlowych, krążą budy frachtowe i bryki brodzkami zwane, przewożące podróżnych, ile ich los dostarczy i napchać się może; one to zowią się dyliżansami.

Bryka frachtowa jest to długa, nieforemna, na potężnych czterech kołach spoczywająca budowa, pokryta rogożami i ogromną płachtą płócienną, gdzie nigdzie starą ceratą połatana, z przybudówkami osłoniętymi po bokach, niby gankami. Moc ludu i pakunku pomieścić się w niej może. Na wysokim koźle zasiada Żyd woźnica, ostawiony jeszcze paczkami, które i tu się wciskają; a cztery nędzne, ale wykłusowane i do wszystkiego już przywykłe konie, które więcej poją niż karmią, ciągną ten ładunek raczej siłą bicia niż swoją własną.

Mniejsza od niej bryka krakowska, z nasuniętą naprzód budką płócienną, zawrzeć wszakże może do dziesięciu osób w różny sposób upakowanych i pracowicie od upadku wstrzymywać się zmuszonych. Wozy te nie idą śpiesznie, wychodzą do dnia, popasają dwa i trzy razy, poją konie prawie w każdej kałuży, wloką się do północkska, nocują lub podnocowują po najtańszych i najszybszych karczmach; ale z razu

pierwsze ćwierć mili iść zwykły klusem, i dochodzą do miejsca przeznaczenia przynajmniej truchtem maleńkim. Trudno to wyliczyć kto jeździ temi brykami: tło podróźnych stanowią Żydzi, Żydowice, Żydzięta i w ogóle naród izraelski, ale obok nich trafiają się i inni podróźni, zmuszeni choć powolnie i niewygodnie, małym kosztem odbywać drogę.

Z Wilna na kilka traktów rozchodzą się zawsze takie bryki co tydzień, wedle programu w niedzielę, ale gdy braknie ładunku, dopiero w poniedziałek rano lub nawet około wtorku. W zajezdnych domach żydowskich można się dowiedzieć o nie, bo stale do jednych gospód zajeżdżają. Przez Hersza więc łatwo było Stanisławowi zamówić sobie za złotych kilkanaście miejsce w tego rodzaju dyliżansie do najbliższego powiatowego miasteczka. Nie znając tego sposobu podróźowania, a mając go sobie odmalowanym barwami bardzo wdzięcznemi, Szarski spodziewał się znaleźć coś porządniejszego od mizernéj bryki żydowskiej. Spojrzawszy na płócienną tę arkę, trochę mu się przykro zrobiło, ale wszedł z rezygnacją na wskazane sobie miejsce.

Konie były już wprawdzie wprężone, ale żeby nie próżnowały, nim się zbiorą podróźni, zarzucono im siana, które gryzły z niezmyślnym apetytem. Furman podkasawszy poły, z fajką w zębach i rękami za pasem, przechadzał się dumnie po dziedzińcu; tymczasem zbierali się powoli ci, których miał przewozić.

W początku Stanisław był sam z Żydkiem elegantem, który widać miał talent i ochotę do muzyki, wiedząc zapewne, że Halevy i Meyerbeer z pokolenia

izraelskiego pochodzili, i czując się obowiązany utrzymać reputację muzykalności narodu swego,—ale po nim nadeciągnęły najrozmaitsze figury:

Stara Żydowica z zielonym kuferkiem, który zagrażał kolanom Szarskiego; jakiś jegomość ze śmierdzącą fajką bakonu, na jedno oko ślepy, w płaszczu podartym, z kijem sękatym, ale pełny dobrej fantazyi; jakaś jejmość młoda i ładna, ale oszarpana, zabrukana i kaszłająca, której wyjechać było niezmiernie dla czegoś pilno; dwóch bachorów z ojcem, jadących po coś do rabina i rozpychających bez ceremonii wszystkich dla znalezienia sobie wygodnego miejsca; wreszcie jakiś jegomość (numer drugi) wesoly, widocznie napity, ze skrzypeczką i smyczkiem pod pachą.

Gdy się to wszystko spakowało do budy, a na kozioł siadł jeszcze odarty łapserdak jakiś z tłomoczkiem na kolanach, gdy każdy wciągnął kuferkę, węzelek, poduszkę, pudelko, Stanisław ledwie się nie udusił od ścisiku, zaduchu i różnego rodzaju wyzięwów. Jegomość z fajką, nie czekając wyjazdu, począł kłać i grozić Żydowi tak, że o mało nie przyszło między nimi do pojedynku na kułaki; morejne bezceścił go po żydowsku; jejmość mruczała ciągle powtarzając jedno: „Ażeby go wszyscy dyabli wzięli!“ bachory piszczały; wesoly posiadacz skrzypki o nią się nieustannie troszcząc, w obronie instrumentu szturchańcami obdzielał na prawo i lewo. Aż nareszcie i arka owa wstrząsła się, konie ruszyły, zabrzęczały dzwonki, bryka kołyszając się posunęła po bruku.

Pokazało się, że brzęczące na dnie jéj szyny żelazne, których było kilkanaście, tak je obciążały, że się ledwie wlokła. Nowy tedy hałas na woźnicę, ale ten widać przywykły do niego i ostrzelany, czapką

uszy zatknawszy, na nie nie zważając, machnął biczyskiem nad końmi, i ruszył jak głuchy nie odpowiadając na reklamacye.

Dwa razy tylko wstrzymano się na przedmieściu, żeby zabrać po jednym Żydku, i wciśnięto ich obu do budy, nie bez wrzawy nowój, krzyku, sporu i bitwy niemal, gdyż i tak było nad komplet. Razem z pierwszą fajką Szmula skończył się bruk miejski, konie zwolniły z oficjalnego klusa, i najprzód lekkim małym truchtem, wreszcie stępo po piasku poczęły iść leniwie.

Szumul dając dobry przykład, zlął z wysokości kozła i poszedł piechotą.

Tak się poczęła podróż, której niewygód i nudy ani śmieszności towarzyszów, ani ich oryginalność, ani pole do psychologicznych postrzeżeń okupić nie mogli. Stanisław też nie był w usposobieniu do wyszukiwania śmieszności natury ludzkiej, a ta gwałtem mu się ze strony brudnej i pociesznej przedstawiała w żydowskim dylizansie. Zresztą, każda z tych postaci tak miała dobitnymi głoskami na czole charakterystykę swoją, że dość było raz spojrzeć, by nasycić ciekawość. Powolny ruch koni, kiwanie się wkrótce uśpionej części podróżnych, gderanie czuwających, spory uciśniętych pakunkiem, zaduch, sąsiedztwo zbyt już blizkie nieznajomych, tak w końcu utrudziły Szarskiego, że w pierwszej mieścinie, do której dojechali, postanowił szukać sobie innego sposobu dostania się do rodzinnego kąta. Ale na gościńcu wielkim wszyscy tak się drożyli, wszystko tak było niedostępne, że po krótkim namyśle, uwiązawszy niewielki swój tłumoczek do wyłamanego kija, młody poeta postanowił iść pieszo, dopóki mu nogi wystarczą.

Rzuciwszy więc za sobą ospałą budę żydowską, odetchnął świeżem powietrzem, z radością zamieniając ciżbę na samotną wędrówkę, w której był z sobą, myślą i naturą.

Mogło być co miłszego nad ten fantazyjny, swoobodny pochód pieszaka, po gwarnym ścisku bryki, w której nie było ani wygody, ani nawet spokoju? Stanisław mógł się zastanowić nad każdym wdzięcznym widokiem, nad każdym zjawiskiem malowniczym, w którym błyskał promyk myśli bożej, zrozumiałej i jasnej dla niego. Szum odwiecznych borów otaczających gościniec, sunące się po nim zaprzęgi, wozy, ludzie, ruch téj arteryi, którą płynęło życie kraju, głucha puszcza zamartwych cisza, dziwnie duszę do poezyi nastrojały.

Na tle zieleni, to wiejski cmentarzyk ze swém ogrodzeniem kamienném i płaczącymi brzożami, to kościółek wymykający się z pośrodku drzew starych, to szara wioseczka przeglądająca się w jezioru, to dworek biejący na wzgórzu, to ze wstęgą dymu nad kominem zaszyta w krzewy karczemka, porywały oko i tysiączne rodziły myśli. Były to jakby słowa, jak głoski wielkiej księgi życia ziemi, mające każda z osobna swe znaczenie, a razem piszące kartę ciekawą, w której oko wędrownika czytało przeszłość, teraźniejszość, kto wie? wróżyło i przyszłość może.

Szedł tak Stanisław do wieczoru, a przed nocą nadchodzącą zatrzymał się w karczmie, do której ledwie go przyjąć raczył gospodarz. U nas zawsze pieszy pojedynczy człowiek podejrzliwem widziany jest okiem, zwłaszcza gdy ze stroju jego domyślać się godzi, że mógłby nie iść piechotą. Dano przecież Szarskiemu

izdebeczkę, kawałek świecy i trochę siana, po kilkakrotnie powtórzonych prośbach: bo gospodę zajechały były powozy jakichś państwa, którzy za swój miły grosz szumnie i szeroko w niej się rozgospodarowywali.

Już miał Szarski usnąć na posłaniu, które garść siana i płaszcz stanowił, gdy głos jakiś znajomy z pokojów sąsiednich uszy jego uderzył. Głos ten słyszał gdzieś w życiu Stanisław, choć zmianę czuł w nim wielką; ale mu serce zabiło, szukając w dźwiękach jego przeobrażonych śladów tego, czém się niegdyś odzywał.

Głos to był kobiecy, w którym już ani kropli uczucia, ani odbicia wewnętrznego duszy śpiewu, ani drgania serca nie było: zimny, równy, perłowy, miły uchu, ale przerywany śmiechem sztucznym, wyuczonym, i sam wystudyowany jak śpiew kanarka. Znać było, że osoba, której posługiwał, choć młoda, już zastygłe miała serce, już się nie poruszała niczém, już świat wypila do dna, szukając tylko w mętaach jego rozrywki.

Szarski wstał, i dzwignięty z razu wspomnieniem, upadł na kolana. Był to głos Adeli. Po nim jednym łatwo było poznać, łatwo odgadnąć, co się z nią stało od chwili, gdy niezapominajką i przysięgą nęciła młodego chłopca.

Mimowolnie o uszy Stanisława odbiła się rozmowa dwojga młodych małżonków.

ON. Ale *ma chère*, nie zabawim tam długo; *d'abord* ja wsi nie lubię i nie pojmuję... życie *assomante*. On *s'amuse à ennuyer les autres du matin ou soir, sous pretexte de salon...* Towarzystwo nie nasze... *cela sent a rouille, cela vous donne des nausées.*

ONA. Ty, jak zechcesz, *mon prince*; ale ja zabawię

u rodziców... mnie tam dobrze... oświecę się trochę wsią, do której przywykłam.

ON. *Ma chérie, cela vous paraît ainsi de loin, et c'est une faute de perspective...* Z daleka to życie wiejskie jest śliczną sielanką, smakowało ci niegdyś, i zdaje ci się, że dawne impressye znajdziesz wracając do dawnych przedmiotów. *Mais-bah!* zobaczysz, zobaczysz, że to, co ci wielką sprawiało przyjemność dawniej, dziś cię do drugiego dnia znudzi.

ONA. To być może, al' bardzo być może! Jak się znudzę, to wyjadę; ale jeśli mnie to bawić będzie... zostanę póki mi się podoba.

ON. Nie myślę być tyranem z komedyi (*un tyran de comédie*), ani żadnym zazdrośnym Bartolem, kochana moja Rozyno... Al' rób co ci się podoba... Pobraliśmy się nie na to, żeby się tyranizować, ale żeby wieść życie miłe i swobodne.

ONA. Tak sędzę. (Ziewając:) Trzeba przyznać, że ta droga po piaskach i lasach bardzo nudna!

ON. Bo dla ludzi ucywilizowanych, moja droga, chciej się o tém przekonać, nie ma nic nad miasto. Tu przynajmniej życie jest uregulowane. (Ziewa.) Al' al' dla ciebie to czynię, że jadę Szarskich odwiedzić; ale téj ofiary nie wymagaj drugi raz odemnie. Dobrzy, bardzo dobzy ludzie... ale jacy wieśniacy!

ONA. Bynajmniej! ale musimy być z sobą na stopie szczerości...

ON. Już ciż twój ojciec...

ONA. Mości książę!

ON. *Chère Adèle*, nie gniewajże się, oddaję mu wszelką sprawiedliwość, ale jest wieśniak! Kto zamieszkał na wsi, zawsze nią będzie trącił! To nie grzech przecie, *ce n'est qu'un ridicule.*

ONA. A ja?

ON. To co innego! Ty wszystko przeczuwasz i zgadujesz... Któżby poznał, żeś się wychowała na wsi?

ONA. Prosta grzeczność, ale na stopie szczerości, na której być mieliśmy z sobą, zupełnie niepotrzebna.

ON. Cha! cha! Jak ty się układasz! jak się formujesz!

ONA. Śmieszny człowiek! Jak gdyby kobieta formować się kiedy potrzebowała! *Mais elle est toute formée d'avance*; książkę wiedzieć przecie powinienes, że z łona natury (*passer moi la comparaison*) wychodzimy całkiem zbrojne jak Minerwa z głowy Jowisza.

ON. *Mais vous êtes adorable! Quel esprit!*

ONA. Dopieroś tu książkę postrzegł? Jak to dla mnie pochlebne!

ON (po chwili). Ale wracam *à mes moutons*, do pierwszego założenia. Naprzykład ta podróż sama, z popasami i noclegami takimi jak dzisiejszy... z takimi długimi wieczorami na pustyni... wystaw sobie takich pięć, sześć! *mais c'est à en mourir*.

ONA. To już na stopie szczerości powiedziano: nudzisz się *ze mną* i wyznajesz to otwarcie.

ON. Przyznaj, że wcale się nie nudząc z kimś, można... można... *mais enfin, vous comprenez*, można czegoś więcej lub innego zapragnąć..

ONA. *Prenez garde*, mogłabym i ja tego użyć na swoją obronę! Książkę wolałbyś może panią F... lub pannę W...

ON. A ty pana Władysława lub Julka.

ONA. Kto wie? kto to wie? *c'est possible*.

ON całując ją w rękę: *Allons, allons, sans rancune*. Dobranoc.

Takięj to dziwnęj, suchęj, straszliwęj jak stara

owa malowana śmierć, świecącej nagimi żebrami, rozmowy dwojga małżonków, wysłuchał mimowolnie Szarski, i zapłakał nad nią.

— Al Boże! rzekł w duchu, klęcząc jak na modlitwie ze złożonemi rękami: na toż dałeś młodości skarby uczuć, rozkwit tak czarodziejski, połot tak wysoki, nadzieje tak skrzydlate, by w kilku chwilach za dotknięciem rzeczywistości, wszystko to, wszystko do ostatniego spopielało, zwałało się błotem, porosło chwastami?.. Taż to moja dziewczeczka aniołek? i też to są usta, co mi się uśmiechnęły w życiu raz, uśmiechem niezatartym do śmierci? Tenże to ideał, przed którymbym był strawił lata w kontemplacyi i zachwycie? O! szkaradny jest człowiek, okropna natura ludzka, litości godne nadzieje nasze, jedno nogą wiszące nad jutrem... przepaścił! Możnaż się tak zmienić, siebie zapomnieć, przeistoczyć i upaść tak nisko?

Głęboka cisza odpowiedziała na te gorące pytania szaleńca, świat cały i ludzi widzącego w świetle swojej wyobraźni... Spuścił głowę ciężką od troski, i padł na ubogie posłanie.

Nazajutrz, nim pańskie powozy ruszyły z gospody, już pieszy nasz wędrownik, z kijem w ręku, włókł się drożyną pod lasem, usiłując sobie dowieść prawdy, w którą mu uwierzyć było trudno, że ludzie co lat kilka, co rok może, jak węże zrzucają skórę jedną, by przyodziać drugą. Nie mógł pojąć żywota, którego dwa końce nie spajały się z sobą, nie łączyły, nie

były ciągiem logicznym; nie rozumiał pieśni poczętę westchnieniem i łzami, a skończonej śmiechem i ziewaniem.

Taką pieśń przecię odśpiewujemy wszyscy chórem... i jak każdy ma w życiu chwilę błysku i rozświtu, w której mu Bóg pozwala być pięknym, tak każdy ma godzinę poezyi, jedno mgnienie — choć mało kto umrze z pięknością na twarzy i poezją w duszy.

Szumiały lasy, śpiewały ptaki, Staś powoli posuwał się drogą swoją, to przysiadając na powalonych kłodach, to spoczywając na rozdrożach, to zamyślając się nad krajobrazami, jakie się roztaczały dokoła. Każdy z nich żywo mu przypominał wieś, młodość, kątek rodzinny.

Serce mu biło i żądzą, i strachem. Zbliżał się ku swojej zagrodzie, i lękał się prawie ją zobaczyć, by duszy nie wypłakać.

Minęły go powozy książęce, przesunęła się przed nim błada twarzyczka Adeli, uśpionej w karecie i z wielkim wdziękiem wspartej na poduszkach. W tę samą stronę biegli oboje, ale z jak różnemi myślami! On po wspomnieniu tylko, ona po tryumfy próżności. Dwoje dzieci, niedawno szczerze rozkochanych w sobie, teraz dzielił cały świat najrozmaitszych zapór, granic i przesądów.

Cóż ze serca zabić mogą, wtórując sobie, gdy ani usta przemówić, ani się już dłonie zbliżyć nie potrafią!

Poczuwały powozy, i myśl poleciała za niemi w świat, w szeroki świat!

Ale snadź przeznaczeniem było podróznego doznać w tej krótkiej wędrówce najrozmaitszych wrażeń i spotkać najniespodziewańsze głosy, któreby go rozkołysały

na długo, zestawując po sobie niezatarte w duszy wspomnienia.

Wieczorem znowu, w miasteczku szukając gospody, trafił na żydowskie domowstwo, w którym koczki i bryczka, świadczyły o przybyłych przed nim podróżnych. Odgradzały go od nich znowu tylko drzwi nieszczelne żydowskiej kletki, podzielonej na ciasne izdebki, żeby w przypadku gości jak najwięcej ich pomieścić się mogło, choć najniewygodniej. Usłyszawszy obok głosy kobiece, nieznane mu, ale pełne wdzięku, Staś przypominając sobie nocleg wczorajszy, upadł na twarde łóżko, nie chcąc podsłuchiwać sąsiadów, bojąc się pochwycić słowa, któreby go znowu wiodło na drogę rozpaczliwych narzekań. Nakrył się z głową płaszczem i próbował usnąć, ale sen odleciał od niego, myśl tęskna unosiła go na skrzydłach swych w kraje nieznane, nareszcie rozbudzony począł marzyć, nie postrzegłszy się, z jaką rozkoszą kołysał go dźwięk czystej, harmonijnej jak śpiew, wesołej rozmowy dziewczęcej.

Z mroku niezrozumiałych szmerów, uśmiechów, wyrazów, wypłynęła na ostatku jakaś harmonijna pieśń... coś jakby śpiew cichy, mierzony, przez który mówiła pełna muzyki i poezyi dusza... Ktoś obok czytał głośno,—i o! podziwie! przestraschu! radości! Stanisław poznał w słowach tych spadających powolnie z ust niewidzialnych, własną myśl, dziecię swoje, to *Pożegnanie z domem*, które krwią pisał i łzami.

W pierwszej chwili dał się unieść rozkoszy chwytania dźwięków tych z uczuciem dumy prawie, olbrzymiał, rósł, podnosił się—ale gdy w głosie nieznanej zabrzmiała silniej dusza, zadźwięczały łyzy srebrzyste, jęknęło serce, łyzy potoczyły mu się z oczu.

Uczuł, że Bóg chyba chciał mu wczorajsze wynagrodzić dzisiaj, i znów białym szaty krajem pokryć ten całun czarny, który mu wszystko zasłaniał.

— Al moja mamó—odezwało się dziewczę—jakież to śliczne!... jak on czuć musiał, żeby tak napisać! jak mu to wprost ze zranionego wypłynęło serca!

— Moje dziecię, odpowiedział poważniejszy głos niewieści: nie wiem, nie wiem czy to, w czym ty czujesz serce, koniecznie sprawą jego powstało! Poezya, mój aniele drogi, jest w tobie; mógł być zimnym kto ją tworzył, ale ty czytając, ogrzałaś ją uczuciem młodej duszy...

— O! nie! nie, matuniu! przerwało dziewczę. Fałsz dałby się uczuć zaraz, zdradziłoby go słowo, odkryłby się jedną nutą drżącą, zaszeleściłoby w nim mróz... Ja czuję, że on bolał!

Staś chciał się porwać, biedz, upaść do nóg nieznajomój, i podziękować jej, że uwierzyła w prawdę słów jego; ale prędko się opamiętał, spojrzawszy na swą ubogą odzież, na bladą twarz, na dziwną postać swoją.

— Niech ci Bóg to nagroził! rzekł w duchu: niech ci tę chwilę, pierwszą w życiu mojem i pewnie ostatnią, czystej rozkoszy, aniołowie zaniosą na drugi świat lepszy w wieńcu zasługi. O! bo głos współczucia jednego serca pociesza za urągówisk tysiące.

Szmer tylko jakiś i nic już więcej słyhać nie było. Staś obawiał się odetchnąć, ruszyć, by nie stracić słowa, ale śmiech tylko rzewny jakiś, pocziwy i szepoty dochodziły do niego, a w nich czuć było macierzyńskie pieścizny, tulenie się dziecięcia i jakąś woń miłości rodzicielskiej, świętej, niewinnej, pełnej poświęcenia i zrzeczenia się siebie, która rozchodziła

go aż ku niemu. Nie mógł wytrzymać Szarski, by kiem na obraz, który był przed nim, nie rzucić... chociaż jak świętokradztwo prawie wymawiał sobie, że go śmiał dotknąć żrenicą.

I przez szczelinę, w świetle ogarka zobaczył całkiem flamandzki obrazek.

Kobieta już niemłoda, uśmiechnięta błogo, ale razem zamyślona smutnie, zadumą wieku, który z najczystszej radości tworzy sobie przeczucia smutków, siedziała przy stole; na jej ramieniu spoczywała głowa dziewczeczki ze spuszczonej oczyma, ładnie ułożonej jak aniołek, roztkliwionej, rozmarzonej. Bóg wie o czym, Bóg wie o kim!

To zjawisko senne ujrzał tylko Szarski przelotem, i nie śmiejąc napawać się niemi dłużej, odszedł na swój barłóg sierocy. Po chwili ozwała się śpiewka nocy cicho... i szmer modlitwy, i błogosławieństwo wieczorne... i milczenie jak noc czarne.

Nazajutrz wstał przededniem podróży, by nie stracić widoku tej twarzy, z której obrazem usnął tak błogo; wybiegł na drogę, stanął jak żebrak na kiju wsparty, i czekał, póki nie nadjedzie nieznajoma. Ujrzał ją wesoło uśmiechającą się do poranku, z otwartymi niebieskimi oczyma na cudny świat, rozpromienioną, prześliczną... ale zaledwie przelotnym spojrzeniem musnęła go obojętna i powóz posunął się dalej.

Próbował Szarski wprzód jeszcze dowiedzieć się czegoś o przejeżdżających od ludzi, szpiegował u Żyda; ale ludzie zbyli pieszaka żarciem, a Żyd uląkłszy się jego nalegania, ruszył tylko ramionami i zamilkł jak kamień.

Ileż to razy tak w życiu przeleci mimo nas szczęście, uśmiechnie się, a! i nie dogonić go więcej!

Ku południowi, na wielkich piaskach pod L... uznany pochodem poeta, ostatkiem sił dobijał się do gospody, gdy znowu powolnie jak on wlokące się drogą powozy zwróciły jego oko.

A że w tém miejscu i piesi i jezdni wymijając wydme, wąską drożyną po pod laskiem przedzierać się musieli, Stanisław miał czas przypatrzeć się ludziom, których mozolnie dźwigały szkapę żydowskie.

W taborze tym, pełnym pakunków, ciężarów, tłomoczów, było coś wielce śmiesznego. Powóz główny wyglądał jak beczka śledzi, tak był przepełniony ludnością, a za nim jeszcze dygocząc się na tłomoku wysoko podpiętym, ze zwieszonemi nogami, jechała rozespana dziewczka w szarym kubraku. Za koczkiem szła bryczka równie nabita i wóz ładowny, pod którym dzwoniło blaszane wiaderko. Zdziwił się niepo mału Staś, ujrawszy pomiędzy gromadą głów w koczku, znajomą sobie dobrze twarz Bazylewicza, ale niemniej snadź zdumiony krzyknął dawny towarzysz, gdy po dwakroć wracając do obejrzenia pieszaka, znalazł w nim Szarskiego.

Wykrzyk Bazylewicza przestraszył gromadę dzieci, rozbudził państwo, poodwracał sługom głowy, a Podolak korzystając z zamieszania, wyrwawszy się z między uciskających go różnego rodzaju figur, skoczył na piasek do Stanisława śpiesząc.

— Co to jest? co ci się stało? gdzie ty idziesz?

— Jak widzisz, w moje strony. Tyś pieszo szedł, ja powracam pieszo, ot cała różnica; jam się nie dziwił wówczas, dziś ty się nie dziwuj proszę.

— Ale bał cale co innego powracać, odparł Bazylewicz, krzywiąc się na to wspomnienie. Cył! ciszej.

— A ty dokąd?

— Ja na wakacye z bardzo godnym domem państwa Kłapciów, w tutejsze strony właśnie; jesteśmy już o parę tylko mil od domu. Podjąłem się na jakiś czas wychowania pary tych smarkaczów, którzy tam z budy wyglądają... Ale to—dodał po fanfaronsku—więcej czynię dla odetchnienia świeżem powietrzem niż z innych powodów. Wiedzieć masz, że podkomorzy Kłapeć jest majątny człowiek... mówią o nim, że jeśli pożyje, do milionika dojedzie; córki będą miały po półtorakroć... zdaje mi się, że starsza da się rozpoetyzować—rozśmiał się Bazylewicz,—mógłbym się ożenić, chociaż między nami mówiąc, spodziewam się czegoś lepszego... Ale jadę na wieś także, żeby trochę popracować; mam masę idei... poemat! tłómaczę *Fausta* Göthe'go i *Luizyadę* Camoens'a... z powrotem do Wilna wydaję zbiór dawnych poetów, który mi powinien niezłą zrobić sumkę, jużem to obrachował. Bilety idą, bo je doskonale rozposazyć umiem; łaję kto nie bierze za nieczułość ku literaturze... Nie uwierzysz co to za giętki i dobry temat do deklamacyi, i jakimi się za wystrzępienie trochę gęby wyplaca owocami!... Dla czego idziesz pieszo?

— Bo koni za co nając nie mam, a nogi są darmo, rzekł smutnie Szarski.

— To dziwna rzecz, jak ty nędznie wychodzisz z twoim talentem, bo przecie masz rodzaj talentu. Może czego potrzebujesz, mów... chociaż rzeczywiście tak jestem w téj chwili goły! a podkomorzemu nie chciałbym się uprzykrzać.

— Bądź spokojny, szybko odpowiedział Szarski: i nic nie potrzebuję, i niczego mi nie brak.

— Zresztą, dodał Podolak: z innej strony to biorąc, zazdroszczę ci nawet tej podróży, to daje myśli.

— Ale trochę siły odbiera.

— Ba! a młodość!—I począł deklamować:

Młodości! ty nad poziomym!

Wtém lysa głowa we włóczkowej czapeczce podkomorzego Kłapcia wysunęła się z powozu i poczęła kręcić nosem na widok Bazylewicza, który z prostym jakimś, *per pedes apostolorum* idącym człowiekiem, za pan brat rozmawiał. Znać było na tej facyacie pociesznój, w drganiu nosa, w przymrużaniu oczek i wykrzywianiu ust, że mu to w smak nie szło.

— Panie! panie! zawołał wreszcie ochrypłym głosem, coraz się więcej wychylając: prosimy... bo pojedziemy!

Bazylewicz poskoczył, i widać było, że bardzo się starał akkomodować podkomorzemu, bo nawet ściśnięciem ręki nie pożegnał się ze Stasiem.

— No! a toż co za znajomość? odezwał się pan Kłapeć do wsiadającego i gniotącego mu pedogryczne palce Bazylewicza:—aj! aj! co to za człowiek?

— To... mój dawny kolega z akademii... dziwak osobliwszy! rzekł Podolak, wymawiając się dorywczym kłamstwem. Czybyś asan dobrodziej uwierzył? człowiek bogaty... wcale bogaty! a ot tak, jedynie przez śmieszną fantazję, odbywa podróż sam jeden i pieszo!

— Człek bogaty, powiadasz pan? przerwała pani Kłapciowa, poprawiając czepka i spoglądając na Emilkę córkę swoją, której nos nieładny naprawić miał półtorakroć stotysięczny posag po najdłuższem życiu rodziców. I młody! i dziwak!... A jakże się nazywa? a kto go rodzi?

— Nazywa się Stanisław Szarski.

— Jedna Szarska poszła za księcia Jana.

— Stryjeczno-rodzona jego siostra...

— Pss! to osobliwy dziwak; ale któż go rodzi?

— Podobno baronówna von Petersdorf, odpowiedział szybko i bez zająknięcia Bazylewicz.

— Kiedy *dorf* to być musi z Infant, dodał podkomorzy, ja to już tego jestem pewien...

— I piechotę chodź!... piechotę! dorzuciła pani Kłapciowa. Możeby go poprosić na obiad przy popasie, żeby się poznać; ale wszystkiego mamy półtorą kury i kaszkę na bulionie, nie wiem czyby wystarczyło. Młody, bogaty... powtórzyła pani podkomorzyna,—i rodzi go baronówna... jak, panie Bazylewicz?

— Baronówna von Paulinsdorf.

— Piękna to jakaś być musi familia... A gdyby kupić mięsa na bifszytk, kochańciu? spytała żona zamysłonego pana Kłapcia.

— Jeśli się dostanie, a niedrogo...

— No, ale czy się da zaprosić, ten, jak się... Furmansdorf?

— Szarski!

— Tak, Szarski... ale jak się tanio mięso kupi?

— Kto go rodzi? przerwała podkomorzyna: zapominam.

— Baronówna von Matthiasdorf, pani dobrodziejko... rzekł Bazylewicz roztargniony, plotąc co mu ra myśl przyszło.

— Śmieszna rzecz, że tych cudzoziemskich nazwisk ani sposób spamiętać! szepnęła podkomorzyna, ruszając ramionami.

— I wątpię, żeby się dał zaprosić, przerwał Ba-

zylewicz, bo to dziwak osobliwszy, tai się ze swoim urodzeniem, z bogactwem, udaje biedaka.

— Inflanccy... generalnie dziwacy, zawołał pan Kłapeć. Znałem jednego, który literalnie, panie do-brodzieju, jadł tabakę i polykał całe laski laku; słychana to rzecz?

— Istotnie, potwierdził wpół żartując, wpół serio Bazylewicz: chociaż on się tylko rodzi z inflancciej rodziny.

— A taki dziwactwo jest! z tryumfem dorzucił podkomorzy: generalnie tak! generalnie! co Inflanccy to dziwak...

— Pan nie wie, czy nie ma on intencji ożenić się? dopytywać poczęła Kłapciowa.

Emilka zapłonęła się.

— Wątpię, rzekł Podolak: kobietami się brzydzi.

— Inflanckie dziwactwo! szepnęła podkomorzy—nie;nnego...

— A daleko się został? żeby go choć zobaczyć? oglądając się spytała pani.

— Już nie widać, zamykając rozmowę upewnił Bazylewicz...

— Szkoda! możeby taki wystarczyło kury i kaszki. Jabym sobie kazała co innego zgotować i podać osobno...

— Al! jejmość zawsze swoje! ruszył ramionami pan podkomorzy trochę zniecierpliwiony: gdzie? na co? po co? fi! do czego?

I nie chcąc przy obcym jaśniej się tłumaczyć, zamilkł pan Kłapeć, gwałtownie się tylko zżymnąwszy.

Pani podkomorzyna zamilkła także, a panna Emi-

lia ukradkiem wyglądać poczęła za powóz, za którym jednakże nic widać nie było, oprócz bryki, piasku i sośniny. Stanisław pozostał daleko.

Nie wiem już którego dnia swojej podróży, przysiadując się niekiedy na chłopskie wózki, gawędząc z powożącymi Litwinami, to znowu wlokąc się pieszo lub podjeżdżając na wracających koniach pocztowych, słowem dobijając się jak mógł ku rodzinnej stronie, Stanisław ujrzał nareszcie okolice znajomą, i przestraszony zatrzymał się na widok Krasnobrodu, nie mogąc wprost udać się do rodziców, skazany na powitanie ich tylko myślą z daleka.

W dali ciemniały mu zarośla, lasy, dach dworu, stary młyn wodny, kościółek i dwa znajome kominy. Cichy zakąt wyglądał tak jeszcze, jak gdy Stanisław witał go ze szkół wracając, nic niezmienny, ten sam, tak, że drzewa otaczające poznawał i liczył, witał wierzchołki lip starych, a nic, nic nie świadczyło o kilku ubiegłych latach!

Dopiero w obec Krasnobrodu, Szarski począł szukać środków zbliżenia się do niego tak, by mógł widzieć, nie będąc widzianym. Myślał z razu zajeżdżać do karczemki, ale Żyd doniósłby o nim do dworu; chciał potem w sąsiedniej osiadł na czas wiosce, ale i tam poznaliby go nieustannie z Krasnobrodu przychodzący ludzie; nareszcie przypomniał sobie list doktora Branta do pana Płachy, i postanowił wprost jechać do Jasińca.

Jasińce dzieliło od wioski pana sędziego błotko tylko, gęszcz niskich zarośli i bród długi, od którego

miejsce to wzięło nazwanie; przezeń to właśnie szła granica dwóch posiadłości oznaczona dwoma wielkimi omszonymi kamieniami, od wieków wgrzęzłemi w piaszczyste dno moczaru. Stanisław nie znał Płachów, bo spór o granicę przejęty po pradziadach, różnił dwie rodziny, a Płacha stary i młody uchodzili za dziwaków, nie bywali prawie nigdzie i widywano ich tylko w kościele i na zjazdach obywatelskich.

Słyszał coś o nich Szarski, ale niewiele mógł z tego wnioskować, i na oślep wiozącemu go chłopkowi kazał się skierować do Jasiniec, ufając listowi doktora, a więcej pomocy Opatrzności.

Potrzeba było przejeżdżać przez grunta krasnobrodzkie, i Staś z głębokim wzruszeniem ujrzał się na znanym kawałku ziemi, witając krzyże naddrożne, kamienie stare, każdy zagon, każde wzgórze i drzewinę...

Była chwila, że z małego garbku ukazał mu się dziedziniec dworu, wśród którego mógł dostrzedz osoby chodzące po nim, policzyć zabudowania, obejrzeć cały Krasnobród... i serce poczęło mu się coraz gwałtowniej wyrwać do ojca, do matki, do braci, ale zawrócić tam nie mógł!

Smutny tak, przejechawszy zarośla, błotko, ulicę topolami kanadyjskimi sadzoną i maleńki dziedzińczyk, stanął przed dworkiem, który wyglądał zaledwie nieco porządniej od prostej chaty włościańskiej.

Widać w nim było pomieszkание szlacheica, który nie dba o wdzięki, bo musi pracować na chleb w pocie czoła, ale zarazem czuć było przy ubóstwie rząd dobry i stosunkową zamożność, bo to podwórko, ten dvorek maleńki i całe obejście, schludne były, czyste

i utrzymawe starannie. Ganek zabudowany deskami w pas, z ławkami przy ściankach, poprzedzał domek, i przed nim wysiadłszy Stanisław upatrywał do kogoby to udać się, by pana wynaleźć, gdy mężczyzna lat około trzydziestu mający, z fajeczką w ustach, wyszedł ze drzwi bocznych i stanął na progu. Była to postać wyniosła, barczysta, silna, z twarzą ogorzałą, z wąsem ciemnym obfitym, wpół żołnierska, na wpół szlachecka, coś myśliwca i gospodarza, typ jakich dzisiaj niewiele, bo wtedy nie zniewieściał jeszcze.

Na widok papieru, bo Stanisław najprzód listu dobywać zaczął, zmarszczył się gospodarz i wziął przybylcza za kogoś żyjącego z pióra i kałamarza, a że się gryziopórkami brzydził, zacołał się aż do progu. Dopiero spojrzenie powtórne na młodego człowieka, którego twarz pełna łagodności i wdzięku wzbudzała zaufanie, skłoniło go do pozostania i zbliżenia się do gościa.

— Daruj mi pan, rzekł Stanisław: że nadużywam praw gościnności; ale mnie ośmiela i wprowadza list krewnego pańskiego, doktora Branta.

— A! to pan nie z kursoryą! zawołał śmiejąc się gospodarz. Przepraszam, ale takem się papieru nastraszył, myśląc, że broń Boże palet jaki. List od Branta! jak Boga kocham, to cud! lat dziesięć pocciwiec do nas literki nie napisał. A! patrzcie, i do ojca mojego adresuje, gdy ten od lat trzech w grobie spoczywał... Pozwólże mi pan rzucić okiem na list, dowiem się może jak mam mu służyć.

To mówiąc, gospodarz poszukawszy światła, począł z dość widoczną trudnością syllabizować list, odjąwszy od ust krótką fajeczkę, i nie bez pracy i potu doszedł

jakoś do końca... Żywo podał namulaną rękę Szarskiemu.

— I bez listu—rzekł—zawsze uboga chata szlachcica otwarta i rada gościowi. Wejdz pan do środka; przyjmiej na co stało; wykwintu nie znajdziesz, dostatek mierny, ale serce szczere i życzliwe... Każ pan zaraz znosić rzeczy, odpraw chłopaka, i bez ceregieł w rozgość się: jesteś u kawalera... Nas dwóch na dworek, aż szeroko nam będzie.

Tak się jakoś od razu rzeźwo poczęła znajomość, a Płacha gościa ośmielił do tyła, że Szarski powoli nabrał odwagi, nadziei, i przestąpiwszy próg ubogiego dworku, uczuł jakby do portu dopłynął... mógł spożąć nieco w niezupełnie już obcym domu.

Wewnątrz jak po wierzezu chata to tylko była czysta i porządna, w której wykwint i myśl zbytku nie powstała; ale pomimo tego, swobodnie i wesoło było w jasnych, białych, wyświeżonych izdebkach. W pierwszój kominek, siny piec kaflowy, stół z klapami, sofka wygodna, i na ścianie portret księcia Józefa, a obok flinta i skrzypka, była całą jej ozdobą; z drugiej wyglądało łóżeczko, kufry i zasób kawalerski, myśliwski i gospodarski...

— No, jakże się tam ma pocziwe Brancisko? spytał Płacha, posadziwszy gościa. Mało ja go znam, ale wiem, że to najpocziwsze człeczysko. Jak mu się tam powodzi przecię?

— Jak wszystkim pocziwym ludziom... nie bardzo dobrze idzie, bo się o to nie bardzo starają. Ale koniec końców, jest chleba kawałek i miłość u ludzi... Wybiera się tu kiedyś do was...

— Al tak zapewne jak się zbierał pisać, odpowiedział śmiejąc się Płacha. Nim się namysli i upakuje,

my i dzieci nasze poumieramy! Ale co to dziwnego? gdzie komu dobrze, niech siedzi! Nawet że nie pisuje, i tego mu za złe nie mam, bo ja sam wiem jak to się ciężko wziąć do pióra. Nieraz cztery tygodnie na kwitek się zbieram, plunę w końcu i wyrzeknę się... papieru cierpieć nie mogę, a atramentu nie wiem czy kropla w domu się znajdzie. Ostatnim razem posyłałem aż do Meszka arendarza po kałamarz,

To mówiąc, z wesołym uśmiechem przysiadł się pocziwy Litwin do gościa, położył rękę na jego kolanie, i z dobroduszością spytał go po cichu:

— Cóż to pana tu przypędziło?

— Co? tęsknica! rzekł ujęty całkiem Stanisław.

— Bądźmy szczerzy, jeśli przyjaciółmi być mamy, rzekł po chwili Płacha. Doktor mi tam coś pisze, ale ja pisanego nie bardzo rozumiem... to umarłe słowa; powiedz mi pan to żywemi... Jakże? wszak Szarski jesteś? słyszeliśmy cokolwiek o pańskich przygodach... Chcesz się widzieć z rodzicami? przeprosić ojca? Daruj natrętności, ale ja prosty człowiek i mówiąc rąbię jak myślę.

— Wszystko panu opowiem w krótkich słowach, odezwał się Stanisław ze łzami w oczach i głosie. Jestem winien przeciwko ojcu, bom go nie słuchał; poszedłem za moją wolą, nie za jego: wyrzekł się mnie!... Zniosłem to jako karę zasłużoną, ale srodze zatęskniło serce do swoich, chciałem choć zobaczyć kątek rodzinny... bo do Krasnobrodu mi nie wolno...

Płacha słuchał poważnie, z uczuciem głębokim, jak tylko ludzie prości a szczerzy słuchać umieją... przeszedł się po izbie kilka razy.

— Serce sobie rozrzniasz — rzekł, — oczu nie wy-

plakuj darmo... nie mówmy więcej... Poczciwe uczucie prowadziło cię tutaj; Bóg mu pobłogosławi może...

I podał rękę gościowi.

— Pamiętaj pan, pamiętaj: dom mój, dom twój... gospodarz z czeladką na usługi, rozporządzaj nami... szczerze proszę...

— Nie wiesz pan co się dzieje w Krasnobrodzie? spytał podziękowawszy mu Stanisław.

— Nic nie wiem. Krasnobród dla mnie jakby o mil dziesięć. Sędzia patrzeć na nas nie może, bo się wciąż kłócimy po staremu o granicę. Zresztą ja z nikim nie żyję, nie widuję się, siedzę jak pustelnik. To tylko wiem, że tam zdrowi wszyscy. Sędzia mi się czasem przemknął przed oczyma na poletku... i tyle tego. Ale powiedz kochany panie, z kim się chcesz widzieć? jak tam przystąpisz? co sobie poczniesz?

— Ja!... ja sam nie wiem, odpowiedział Stanisław. Z daleka popatrzę na wioskę naszą, popłaczę, pomodlę się i powrócę.

Gospodarz się zamyślił, a że pora wieczery nadchodziła, wyszedł wkrótce nią rozporządzić, więcej dumając o Stanisławie niż o niej. Przerwała się jednak rozmowa i wróciła do rzeczy obojętnych.

Po ciężkiej podróży, pełnej wrażeń, ale pracy też i niewygody, Stanisław pod tą słomianą strzechą, nad błotami, których mieszkańcy śpiewali mu pieśń z dzieciństwa znajomą, lżej i swobodniej oddychał, dziękując Bogu w duszy, że mu się dozwoili dostać do tego skromnego dworku, w którym go spotkała gościnność wygnana już ceremoniami zkadinał. Przyjęcie było proste, ubogie, ale pełne serca i otwartości, zaprawne ową chęcią przymilenia się, dogodzenia gościo-

wi, która należała do starych zgasłych cnot szlacheckich. Sam Płacha od pierwszego wieczora cały mu się jak na dłoni odmalował, a nie był to, mimo pozorów, pospolity człowiek. Dusza pełna poezji, głowa myśli pełna, serce wezbrane uczuciem, ale to wszystko zostawione samo sobie, w najdziwniejszy sposób, o swych siłach się wykształtowało. Płacha zaledwie skończył trzy klasy powiatowe, i niecierpliw do życia wiejskiego powrócił. Najulubieńszem jego zajęciem było gospodarstwo i myśliwstwo, i żywot pod gołęb niebem, wśród wieśniaków; najukochańszem schronieniem chata własna, ciepła, cicha, w której mógł robić co mu się zamarzyło, ubrać się jak było wygodniej i mówić co pomyślał. Nie cierpiąc przymusu, udawania i ceremonii, nie mógł się pogodzić ze światem dalszym, który zawsze pewnych ofiar wymaga, ani też myślał się weń puszczać i wystarczał sam sobie.

Pomimo najzupełniejszej ciemnoty w przedmiotach naukowych, Płacha był poetą, usposobienie miał marzycielskie. Całemi wieczorami zasłuchiwał się nad bajkami i pieśniami ludowymi, wygrywał na skrzypce śpiewki i tańce wiejskie z ogniem i akcentem dzikim, ale pełnym charakteru; a nieczepsuty sercem, pędził dni szczęśliwe w sferze, w której się czuł jak ryba w wodzie, i tak był rad ze swego położenia, majątku i życia, że nie mieniałby był ich na żadne inne.

Wielki łowiec i kochanek natury, znacznieszą część dnia spędzał ze strzelbą w polu, w lesie, to słuchając ptaka, to przypatrując się obyczajom dzikiego zwierzęcia, to rozkoszując się widokiem okolicy, którą kochał nad wszystkie.

Ludźmi się nie brzydził jak piórem, papierem i książką, ale się bez nich łatwo obchodził, a w stóskach szukał swobody i najwyżej ją cenił. Wciąż obcując z naturą, z żywą pieśnią i poezją żywą, nie dziw, że utworów sztuki nie rozumiał ani ich lubił. Powiadał, że żaden poemat nie wart śpiewki ludu nóconej na polu z towarzyszeniem wiatru, skowronka, woni wiosennej i słońca, a żadna powieść nie może iść w zapasy z prostą baśnią opowiadaną przy łuczywie na wieczornicy lub doświtce.

W domu prócz Kalendarza i Złotego Ołtarzyka nie miał też nic drukowanego, i prawie był zapomniat pisać i czytać, tak go oba te zajęcia niecierpliwiły i męczyły.

— Cóż tam może być w książkach? rzekł zaraz pierwszego wieczoru Stasiowi, widząc ich kilka w jego łomoczk. Co tam być może, czego by wprzód nie było w świecie żywym, w żywej mowie? To tylko zasuszone ziółka bez barwy i zapachu! Trzeba jeszcze odgadywać, jak były malowane i czém pachniały za życia. U mnie poezya panie, to gdy na pogrzebie zawiedzie chłopka od serca żalem, co mi i łez dobiedzie, i pierś rozedrze! poezya, gdy się wśród wesela odezwą z odwieczną pieśnią korowaju! gdy na łanie chórem zahuczą mi żniwarze!... a wasze tego wszystkiego naśladowania! ho! daleko im do oryginału! I muzyki też dla mnie nie ma nad wiejską i prostą: to zboże, co karmi, a wasze sztuczki, wódka już wydystylowana, która spoi, ale nie pożywi.

Taki był pan Płacha. Spotkanie tego dziwnego człowieka, któremu mimo umyślnego zdziczenia nie można było odmówić wielkich przymiotów serca i głowy, należało do najbardziej zajmujących wypadków

podróży Stanisława, i uczyniło na nim niespodziane wrażenie. Umysł ten świeży, nie nadziany nauką, nie skrzywiony mimowolném naśladownictwem, często błyskał zupełnie niespodziewanemi i samoistnemi światłami, w których znać było energię ducha i silne piętno wyciśnione na niém przywiązaniem do swej ziemi, kąta i zagona, do całego tego czarodziejskiego kręgu, z którego nie wychodził. Sąd jego bywał fałszywy przez niewiedomość, przez namiętną jednostronność; ale dziwnie się odbijał ze swą porywczością, prostotą, siłą, przy bladych, pospolitych, nieśmiałych i startych wyrokach ogółu. Wszystko brał ze strony poetycznej, błyszczącej, jasnej, i wejrzenie jak wiare miał całkiem ludową... brał z ludu, z którym żył, namiętności, wady i cnoty, jego poezye i ducha.

Na dobitkę jeszcze, co go w tym stanie zdziczenia na wieki przykuć musiało, to nieszczęśliwa miłość dla prostej wiejskiej dziewczyny... brakło mu jeszcze trochę odwagi, by się z nią ożenić, a już opuścić jęj nie mógł. Horpyna od dawna jak pani rozkazywała na dworku, którego prawa strona do nięj należała, i piasowała już na ręku dwuletnią dziecinę. Płacha walcząc z sobą, sam nie wiedział na czém skończy; ale miłość przerastała już w przywiązanie i nałóg, wcielała się w jego życie. Może być, że oprócz innych powodów odstręczających go od świata, i to położenie jego stawało na przeszkodzie do wejścia w społeczność, krzywem spoglądającą okiem na to, co się śmie zbyt jasno i śmiało ukazywać przed nią, a nie godzi się z jęj prawami, nazywać się zdając, zamiast przebaczenia prosić. Nie idzie tu tyle o sam występpek, co o formę. Płacha musiał żyć z sobą, bo wszyscy wiedzieli o miłości jego dla wieśniaczki, a choć to

dziewczę było i wdzięczne, i pocziwe, i przywiązanie do niej pana Płachy wkrótce miało być przez kościół pobłogosławione, jakże szlachcicowi przebaczyć ożenienie jego z prostą chłopką? Gardząc tymi, z którymi zrozumieć się nie mógł, Płacha często na prostej kałamaszce obok Horpyny jeździł w święto do kościółka parafialnego, i nie wstydał się jęć, umyślnie pokazując, że drwi z ludzkich języków; ale też od czasu jak się tak parę razy wybrał z nią na nabożeństwo, nikt już do niego nie gadał.

Drugiego dnia pobytu w Jasińcach, Szarski uczuł się tak złamanym i słabym, że zmuszony został przez okno tylko swęj izdebki oglądać na dwór krasnobrodzki, a gospodarz widząc go podupadłym na siłach i chorym prawie, nie pozwolił mu wyjść ani na krok. Zrobił nawet dla niego tę ofiarę, że sam wysiedział z nim zamknięty dzień cały, i w kilkanaście godzin tak się dobrze poznali, jak gdyby z sobą wiek cały przeżyli. Obaj nie umieli się taić, potrzebowali wynurzać, zwierzać się więc sobie wzajemnie z przygód, uczuć i myśli. Płacha, nieprzywykły do takięj przyjacielskięj spółki, ciągle był wzruszony głęboko, łązy mu się nieustannie kręciły pod powieką, ścisnął rękę młodego chłopca, ale gdy został wezwany do rady, nie znaleźć nie umiał. Rada jego ograniczała się tak prostemi i gwałtownie do celu zmierzającemi środkami, że Staś użyć ich nie mógł.

Nazajutrz tęsknica, która tu przynęcała Szarskiego, wywiodła go z domku pod wieczór, wyrwał się i poszedł sam w pole. Przez błotko i bród były kładki, które suchą nogą przejść je dozwalały, a raz na drugą stronę się dostawszy, na ziemi własnej nie potrzebował Staś przewodnika. Uniesiony uczuciem, pognął

znajomą drogą wprost ku dworowi krasnobrodzkiemu... Dopiero gdy się ku niemu zbliżył na staję, gdy żywo stanął przed jego oczyma surowy ojciec, zadrżały pod nim nogi, zakręciła się głowa i usiąść musiał na brzegu rowu. Tu pogrążony w myśli byłby może noc całą przesiedział, poglądając na drzewa ogrodu i kominy dworu, którego dach całą drogą mu rodzinę pokrywał, gdyby głos silny nie zabrzmiał nad jego uchem.

Po schrypnięciu i akcencie właściwym, poznał przelekle z razu Szarski trochę podpiętego Falszewicza, który powracał z karczemki od arendarza, ale że zakazano było dawać mu wódkę, Żyd go nigdy całkiem nie poił, znał miarę jego głowy i kwaterką zaspakał nieugaszone pragnienie.

Falszewicz często używany do gospodarstwa i niejako obowiązany do pilnowania porządku we wsi, zbliżywszy się do siedzącego i przy blasku porzy wieczornęj poznawszy Stanisława, krzyknął z podziwienią

— A pan tu co robisz? Jezu Chryste!

Stanisław powstał zmieszany.

— Widzisz, rzekł: patrzę na dom i płaczę.

— A! gdyby się pan sędzia dowiedział, zmiłuj się pan! uciekaj! Szczęście jeszcze, że leży chory!

— Chory? zawołał syn łamiąc ręce.

— E! nie, tak sobie, nogę przytłukł trochę. Ale po co pan tutaj? Jak? dalibóg, nie rozumiem, czy mara, czy zjawisko... co pan myślisz?

— Myślę, że powiesz o tém, żeś mnie tu widział, matce, siostrom, braciom. O kilkanaście od nich kroków czekam: może wybiegną zobaczyć się ze mną... może mnie pocieszą...

— A! gdzie ja się tam będę w to wdawał! zatę-

kając uszy zawołał Falszewicz. O tobym sobie napytał biedy, gdyby się sędzia dowiedział!... Kobiety to zawsze, z przeproszeniem, gadatliwe, wyszeptalyby się... Daj mi pan pokój! to być nie może!

— I może być i będzie! rzekł stanowczo młodzieniec. Ty masz dobre serce i...

— Zapewne, że mam dobre serce, ale i głowa niczego, a głowa serca nie puści.

— Tylko jedną powiesz matce.

— Dalibóg nie, nie, nie... idź pan sobie z Panem Bogiem, i niech to tak będzie, zem ja pana nawet nie spotkał i nie widział.

— Jeśli mi odmówisz, pójdę sam do dworu.

— Umywam ręce, umywam ręce! rzekł Falszewicz; nie chcę znać, nie chcę wiedzieć! Pan wie, że gdyby sędzia zwąchał, bez ceremonii gotówby mi za pośrednictwo dać na kilimku trzydzieści, jeśli nie pięćdziesiąt.

— Gorzej będzie...

— A już gorzej być nie może!

Falszewicz począł się cofać ku dworowi, ale Stanisław dowiedziawszy się od niego, że ojciec leży w łóżku, pośpieszył za nim drogą. Preceptor ciągle się niespokojnie oglądał, i widząc, że się od Stanisława nie wykręci, a przybywszy z nim razem, o spółkę posadzony być może, wstrzymał się, jął namyślać, i posadziwszy Stanisława na kamieniu, rzekł szybko:

— Al licha mi pana nadało! Siedźże przynajmniej tutaj! Powiem matce i Mani, ale więcej nikomu; albo jedna lub druga przyjdzie. Więcej dalibóg zrobić niepodobna, choć dla rodzonego brata... Do dworu się pan już nie zbliżaj, bo albo psy pokaleczą, albo lu-

dzie poznają, domysła, się doniosą i bieda! będzie wszystkim...

Staś przekonany i złamany usiadł; a uwolniony od grożącego niebezpieczeństwa, Falszewicz jak strzala poleciał do dworu.

Już dobrze zmierzchać poczynąło, gdy postać w bieli szybkim krokiem zbliżyła się od dworu, zdając się szukać w ciemności zapadającej kamienia, na którym siedział Stanisław.

Ten wstał i podbiegł, ale to nie była matka, której się spodziewał; była to starsza jego siostra, poczciwa Mania, ze szlochaniem i łzami rzucająca mu się na szyję.

— Staś! kochany Staś! zawołała: a! jak ty wyrosłeś! jakieś się odmienił! o mój Boże! Żebyś ty wiedział, cośmy oczu wypłakali po tobie... a ojcu ani wspomnieć. Już mu i ksiądz słyszę z ambony przemawiał z tekstu o synu marnotrawnym, a serca jego skruszyć nie mógł. Matka! a! ty wiesz, ani się może odezwać.

— Matka... nie przyjdzie? spytał słabnącym głosem Stanisław.

— Nie, mój drogi, siedzi przy łóżku ojca. Ojciec na nogę chory, a niecierpliwi się i żżyma, że leżeć musi... O! onaby tak chciała zobaczyć ciebie... Ale powiedzże mi, zkąd ty tu? co robisz? gdzie się podziewasz? jak żyjesz? jakim przypadkiem jesteś w Krasnobrodzie?

— To nie przypadek, rzekł Stanisław: przyszedłem tu z Wilna, pieszo, o kiju, umyślnie, byleby tylko was zobaczyć.

Tu począł opowiadać zapłakaną siostrze całe ży-

cie swoje Stanisław, i noc ich zaskoczyła wśród zwieżeń, zapytań i westchnień. Biedne dziewczę gdy ujrzało otaczające je ciemności, zadrżało ze strachu.

— Muszę powracać, zawołała; trzeba się rozstać. Albo nie, słuchaj: przejdziemy oboje przez ogród, zaprowadzę cię do altanki, ukryjesz się w niej do rana, tam nikt cię nie zobaczy, a matka wybiegnie może choć na chwilę pobłogosławić cię jeszcze.

I szli tak razem ku bramce za ogrodem na pole wiodącej, a Staś po cichu dopytywał Mani, która mu ze drżeniem głosu miarkując odpowiadała, to znowu ona badać poczyniała, a on z życia się jęj swojego spowiadał.

Mania była najstarszą z córek sędziego i najpodobniejszą do Stasia, dziś już pod tą srogością wychowania i pracy za wczasu sercem dojrzała niewiasta. Często rady jęj i pomocy używała nawet matka, bo choć nikt sędziemu ani sprzeciwić się nie mógł, ani go przebłagać, Mania czasem potrafiła wynaleźć jaki środek, gdy szło o wyśliznięcie się bez kłamstwa i fałszu z pod tyrańskich rządów jego. I teraz dając dowód wielkiej odwagi, pomyślała, by brata ukryć w altanie, a matce z nim ułatwić choć krótkie widzenie się i rozmowę.

— A matka? a ojciec? pytał nieustannie Stanisław.

— Nic! nic się tu nie zmieniło — odpowiadało dziewczę — na włos, na szpilkę... Poznajemy tylko po coraz krótszych sukienkach moich, Julki i Basi, że czas uchodzi, że się powoli starzejemy. Matka trochę słabsza i bojaźliwsza codzień, ojciec ten sam zawsze.

Westchnęła.

— I nigdy nie wspomnieliście o mnie? spytał Stanisław.

— Głośno, nigdy! od razu wszystkim zakazał imię twe wymawiać, a ty wiesz jak go słuchają wszyscy.

Spuścił głowę biedny chłopiec, i jak na stracenie idąc, w milczeniu przekradł się przez fórtkę, przez znajome dawniej uliczki... otworzył drzwi starłej altany, których zamek znał dobrze, i płacząc rzucił się na stojącą w niej ławę, a Mania żywym krokiem do dworu pobiegła.

Niedługo jednak trwały te lzy wywołane wspomnieniami: bliskość dworu, światło z jego okien bijące, ta myśl, że tam jest ojciec i matka, wywiodły go ku domowi. Wyszedł zapominając ostrożności, jak złodziej podkradając się pod okna, a serce powiodło go pod te, przez które mógł ojca i matkę zobaczyć.

W izbie sędziego, przy zakrytej zasłonką świecy, w słabym jęj blasku ujrzał Stanisław wspartego na poduszkach starca, który nogę jedną trzymał na krześle i ponuro zdawał się zamyślony. Obok siedziała żona, w białym czepcu, tuląc cierpiącego i podając mu napój jakiś, który z odrazą ręką odpychał... Po niespokojnie rzucanych wejrzeniach matki, po jęj ruchach poznał Stanisław, że już wie o nim, a serce jęj bije zarówno miłością i strachem.

Obraz ten tak go pociągał niepojętym urokiem, że pomimo wrażenia postrachu, jaki na nim czynił srogi i nieublagany ojciec, pozostał długo przyrosły do okna, nie mogąc się od niego oderwać. Wszystko aż do drobnych szczegółów tego wnętrza, które znał tak dobrze, chwyciło jego oczy; dziwił się, że nic się tu nie zmieniło, krzesło nawet żadne i sprzęt drobny miejsca nie stracił. Zwracając się ku ojcu z bojaźnią i wpatrując w jego rysy, w twarz matki, wielką z razu znalazł różnicę między obrazem zachowanym w du-

szy, a tym, który miał przed sobą... Znalazł ich oboje starszymi, zbladłymi, a na licu starca, obok surowości, głęboko wryty w zmarszczkach smutek.. Ale po chwili stało się to pierwsze wrażenie, i w obojgu znajdował tych, których od lat tyłu porzucił, jakby wczoraj żegnanych dopiero.

— Pójdę—rzekł w duchu—do nóg im upadnę, a przebaczyć mi muszą.

Ale gdy pomyślał, że przebaczenie to okupi ofiarą dni swoich, uczuć, myśli, swobody, zadrżał i sił mu zabrakło. Najbardziej kochające serce może się wzdręgnąć na tak wielką ofiarę, może się wstrzymać nad jęj brzegiem.

Stał tak Stanisław, gdy cień matki wychodzącej na palcach z izdebki, i nadzieja zobaczenia jęj choć na chwilę, spędziła go z pod okna do altany. Tu znalazł tylko przeleżką Manię, szukającą go wszędzie, niemogącą pojąć, co się z nim stało, i obawiającą się już skutków zbyt śmiałego kroku. Przyniosła mu ona, jak kobieta pamiętając o jego potrzebach; co gdzie pochwycić mogła, owoców, chleba, szklanke herbaty swoją.

— Gdzieś był? zawołała do wracającego. Al czy cię tylko kto nie zobaczył!

— Nie obawiaj się! nikt mnie nie widział, stałem tylko pod oknem ojca... kto wie czy go raz jeszcze w życiu zobaczę!

Po chwili szelest sukni dał się słyszeć u wnijścia. Stanisław padł na kolana, i uczuł tylko jak drżące ręce ścisnęły mu głowę, a gorące usta staruszeki spoczęły na jego czole, które zwilżyło się łzami.

— Stanisławie! Stanisławie! odezwała się łkając

po chwili: co ty nas łez kosztujesz! mnie... nas! wszystkich! ojca nawet! Tak! widziałam go nieraz płaczącym, choć łyżę polykał przed ludźmi!

— Więc mi przebaczył! ja nic nie pragnę więcej.

— Nie, Stanisławie, nie łudź się tą prózną nadzieją: on płacze, ale w tobie nie da złego przykładu reszcie dzieci; zaklął się, a co raz powiedział, tego nigdy nie zmieni. Bóg jeden, co zna serca ludzkie, wie co będzie: ja się nie śmiem spodziewać. Mówże mi drogie dziecko o sobie!

Stanisław powoli rozpoczął znowu te dzieje, ale nie utyskując wcale na los swój, aby nie zakrwawiać serca matki.

— Przy pracy—rzekł—chleb mieć będę... a któż nie pracuje? to dola człowieka. Ciężko mi jeszcze, ale komuż w początku nie ciężko?

Pytania następowały po pytaniach, a rozstać się tak było trudno! Biedna matka chciała choć zobaczyć tego syna, który był dla niej jak stracony, którego głos mężki słyszała tylko; ale światło w altanie o tój porze byłoby ich zdradziło, a wprowadzić go do domu obawiała się. Znać było walkę serca z obawą niepokonaną, i serce biedne ustąpić jęj musiało. Trzymała ręce jego w swych rękach, pieściła głowę zbolalą, odgadywała myślą i sercem syna, który wyrósł na mężczyznę; płakała, że oczy jęj przypatrzeć mu się nawet nie mogą.

— Idź! rzekła nareszcie po godzinie cichój rozmowy; idź, jeszcze się zobaczymy może. Kiedy jesteś w Jasińcach... jutro może wyjść mi będzie wolno na przechadzkę z Manią... spotkamy się u granicy nad wieczór, nikt nas tam nie zobaczy.

I po tysiącznych pożegnaniach i błogosławień-

stwach, pocieszany, nienasycony, rozmarzony tylko do-
znanymi uczuciami, biedny Stanisław wykradłszy się
znów fórtką na pole, poszedł czarną już nocą ku Ja-
sińcom.

Była to niedziela, jedno z tych świąt rocznych,
w które najmuńiej nawet pobożni parafianie czują się
obowiązani zjeżdżać do kościoła i pokazać, że w ser-
cach ich tli jeszcze iskierka przywiązania do wiary.

Dzień piękny jesienny sprzyjał nabożeństwu; gos-
pody też w miasteczku, cmentarz i plac przed sta-
rym, czarnym, gontami od dołu do góry obitym koś-
ciółkiem w S... pełne były kocyków, koczobryków,
bryk, wózków, kałamaszek i prostych wozów.

Kościółek, ledwie mogący natłok przybyłych po-
mieścić, coraz się bardziej napelniał różnego stanu
ludźmi, którzy zalegali go od krated presbiterium
do drzwi wielkich i kruchty. W pierwszych ławach,
pokrytych czerwoną sukienną, od wosku pokapaną opo-
ną, *honoratiores loci*, wcześniej zajęli miejsca swoje;
a wybredniejsi, co i z Panem Bogiem rozmawiając,
nie radzi żeby kto innego stanu do ich konwersacyi
się mieszał, gardząc ławką dla wszystkich otwartą,
na krzesłach i taburetach własnych rozsiedli się bli-
żej wielkiego ołtarza.

Tu i pan Adam Szarski, i żona jego, i księżna pa-
ni ich córka, i zmuszony do pobożności dla oka sam
książe, kupą się trzymając, posiadali na fotelach fun-
datorskich, poklekali na wyszywanych herbowych po-
duszkach, i nim się modlić zaczęli, rzucali okiem na

lud boży, by schwycić może wzorek do rozmowy przy
obiedzie.

W pierwszej ławce z prawej strony zasiadł pan
sędzia Szarski z małżonką i starszemi córkami, a tuż
Falszewicz stał na straży dwóch chłopaków. Zbladła,
surowego wyrazu, ale poważna twarz sędziego, na tle
ściśnionych głów ludu, odbijała się tak jakoś wyra-
ziście, że nawet książe spytał pana Adama, kto jest ten
jegomość? Na to krztusząc się, ni to ni owo odpo-
wiedział pan Adam, skłamawszy nawet odrobinę, bo
do kuzynostwa nie życzył sobie przyznać się choć
w kościele. Niedaleko od téj ławy, pod bocznym oł-
tarzem, wsparty o słup drewniany, równie jak sędzia
bił w oczy wszystkich nieznajomy młody człowiek,
którego rysy, wyraz twarzy, piękna postawa, szla-
chetne oblicze wzbudzały ciekawość wszystkich. Był
to Stanisław Szarski, obok którego w szarój taratat-
ce, ogorzały, stał dobrze znajomy wszystkim pan
Płacha.

Są twarze, na których żywot i myśli piętnują się
jak głoski na papierze, tak do wyczytania snadne,
że najniewprawniejsze oko pozna, co Bóg w duszy te-
go oblicza położył. Taka w téj chwili młodzieńczego
rozkwitu i boleści była twarz Stanisława, przypomi-
niająca młodego Schillera, gdy tworzył swych *Rozbój-
ników*. Więcej tylko może łagodności, wytrwania,
chrześcijańskiego męztwa było w tych rysach regular-
nych i poważnych mimo młodości. Jadąc do kościół-
ka, Szarski, choć nie myślał o ludziach, wdział jednak
na siebie co miał najlepszego, i wśród téj ciżby wiej-
skiej, proste jego ubranie wyróżniało się jakoś sma-
kownością swoją.

W chwili gdy Stanisław nieznacznie przecisnąwszy

się przez tłum, stanął na odcach ojca i rodziny swojej, nikt z nich nie miał w tę stronę zwróconego wejścia, a matka, choć go może dostrzegła i poznała nie patrząc nawet, spuściwszy oczy ku książce, udawać musiała, że nic nie widzi. Sędzia pomimo bólu w nodze, klęczał i modlił się ze Złotego Ołtarzyka, nie zwracając uwagi na to, co go otaczało. Dopiero gdy zabrzmiały dzwonki i gwiazdka na chórze, zwiastując *Podniesienie*, starzec obrócił oczy ku ołtarzowi, spotkał syna stojącego ze skłonioną głową, i pobladł. Wzruszenie jego było tak wielkie, że upuścił książkę z rąk i osłupiał, bo mimo kilku lat ubiegłych poznał Stanisława od razu. Matka od dawna już wiedziała o nim, postrzegła także co się działo z mężem, ale bała się dać poznać mu, że wie, dla czego tak jest zmieszany, modliła się, modliła, trzęsła ze strachu i znikła prawie w głębi ławek.

Po krótkiej chwili oprzytomniał stary, podniósł Ołtarzyk swój, zdawał się w nim szukać przerwanej modlitwy, ale ręce mu drżały widocznie, a oczy próżno zwracane na karty, biegły ku dziecięciu. Jakie uczucia miotają twardą tą duszą, trudno już było poznać po twarzy powleczonej znów zimną, obojętną, nieruchomą jakąś maską. Ale się modlić nie mógł, ale patrzył i patrzył na to dziecko stracone, na marnotrawnego syna, który się zjawił przed nim w kościele, jakby w imię Boga, co wszystkim przebaczył, o przebaczenie błagał.

Niepodobna wyrazić co się działo z przełęczą matką, Manią i resztą rodzeństwa; przestach ich widać było na twarzach, i obojętni nawet spostrzegali, że się im coś stać musiało, tak wszyscy byli pomieszani. Stanisław zbladły modlił się gorąco.

Właśnie gdy oczy załzawione wzniosł ku niebu, piękna księżna Adela, która ciągle z książki swęj w złociste klamry oprawnej, czarnemi oczyma latała po kościółku, spojrzała nań, i oko jej zatrzymało się na poecie. Rzekłabyś, że rumieniec miał na bladą twarz jej wypłynąć, ale nie... popatrzała tylko, odwróciła się, spojrzała jeszcze, i zdawała się już z zimną tylko rozwałą czynić wnioski ze stroju o cłowiku.

A! krótką ma pamięć serce kobiety, i dobrze Fredro powiedział, że kto swe życie bluszczowi temu powierzył, upadnie w przepaść, bo go bluszcz nie wstrzyma. Któżby się mógł domyślić, że ta piękna pani przed kilku laty z przysięgą niezłomną, łzami oblaną niezapominając dała temu biednemu chłopcu! Ciekawe tylko i niespokojne biegło jej oko od Stanisława do jego rodziców, i ledwiebyś się nie domyślił, że zdawała się wyrozumiewać z czepka pani sędziny, czy czasem ci krewni nie myślą jej swoją wizytą po mszy w oczach księcia skompromitować. Tego świata ludzie najstraszniej się w oczach swoich kompromitują źle skrojonym frakiem, starą chustką, suknią nie-modną i człowiekiem nieumiejącym po francuzku.

Tak, w obec tego wielkiego ołtarza i Ofiary, odegrywał się, jak wszędzie na świecie, jak zawsze na świecie, dramat łzawy i komedia próżności ludzkiej. Tu płakał syn i ojciec, drżała matka omdlewająca z przestachu, a dalej śmieszna laleczka troszczyła się o bańkę mydlaną.

Nabożeństwo przedłużało się jeszcze. Na twarzach żadnej nie widać było zmiany; tylko sędzia mimo niezmiernej mocy nad sobą, niekiedy zdawał się gwał-

towniejszego doznawać uczucia, które hamował zaraz wolą nawiąkną do rozkazywania.

Nareszcie odśpiewano supplikacye, ten szczytny śpiew, a raczej wołanie do Boga, niezrównane w swój prostocie, jak krzyk duszy wyrrywający się z niej głosem potężnym, — i gdy ostatnie dźwięki dobrzmiały, lud począł odpływać na cmentarz, zgromadzenie rozchodziło się różnemi drogami.

Państwo Adamowie ujrzawszy Szarskich, których sama grzeczność nakazywała im prosić do blizkiego dworu na obiad, oboje jak córka bojąc się kompromitacyi przed zięciem, udając, że nie postrzegli krewnych, nie przez środek kościoła jak byli zwykli, ale pokornie bokiemi uszli za ławkami, pośpieszając, żeby ich orszak długi krewniaków nie napędził przy wsiedaniu do powozów. Trudno opisać co wycierpień za swą próżność, daremny ukarany strachem.

Sędzia modlił się jeszcze i modlił, Stanisław z miejsca się nie ruszał, a biedna matka, gdy jej przyszło chować do woreczka książkę, różaniec i chustkę, z kolei wszystko poupuszczała na ziemię.

Kościółek już prawie był próżny, gdy nareszcie starzec się podniósł, wyprostował, i nie rzuciwszy już okiem ku słupowi, przy którym widział syna, przykląkł i poszedł, wiedząc za sobą rodzinę swoją ku wnijściu. W chodzie jego, zazwyczaj śmiałym i pewnym, znać było jakieś wahanie, jak gdyby go co w tył ciągnęło, jakby nogami nie władał. Szedł i chwycił się za ławki, a zanurzwszy wzrok w ziemię, gdy stanął u kropielnicy, szukać jej musiał kilkakroć palcami, nim się opamiętał i znalazł wodę święconą.

Idący za nim milczeli wszyscy, nie śmiejąc nawet spojrzeć na niego.

W progu odwrócił się sędzia i spojrzał na kościół. Powóz zachodził; on nie ruszył się, ale nie mówił słowa; wszyscy czekali jak on, a serce matki bijące dotąd strachem tylko, poczęło się poruszać odrobiną nadziei.

Po chwili oczekiwania pokazał się Stanisław, który już może nie spodziewał się spotkać ojca, a ujrzawszy go przed sobą, zacofał się przestraszony, ale natychmiast wzruszenie odebrało mu bojaźń i pamięć, poskoczył i padł na kolana...

Błada twarz sędziego straszna była jak marmurowy posąg sprawiedliwości mściwej i nieubłaganej. Brwi jego ściągnęły się gwałtownie, usta poczęły drgać, ręka miotać, ale oczy napelnily się łzami, wyciągnął ramiona do syna i przycisnął go do piersi.

Matka, bracia, siostry, otaczali ich kołem, i Stanisław uczuł się w uścisku wszystkich. Ale niedługo trwała ta chwila zapomnienia; starzec po rozczuleniu mimowolnem, wrócił do surowości całego życia.

— W imię tego Boga rozpiętego na krzyżu, rzekł poważnie, wskazując drewnianą figurę cmentarza: przebaczam ci... i błogosławię... przyjdź i usiądź za stołem naszym raz jeszcze, pokosztuj jak chleb rodzinny i miłość rodzinna jest wielką rozkoszą... ale dla przykładu, przebacząc ci sercem, dłonią i głową darować nie mogę przewinienia. Na rodzinie stoi związek społeczny; na posłuszeństwie świat cały. Zerwałeś z nami, chciałeś swobody przed czasem, okupiłeś ją drogo, ale masz coś chciał. Jesteś synem moim, bom przebaczył; ale nigdy nie będziesz spadkobiercą, ani towarzyszem siostr i braci. Przyjdiesz i pójdziesz jako obcy, powrócisz jako gość... aleś swobodny, nie-

zależny, nie nam nie winien, i my też nic ci nie jesteśmy winni.

Stanisław nie odpowiedzieć nie mógł na wyrok ojcowski, usiadł na wskazaném mu miejscu w wózku, który wioził Falszewicza i braci jego, a tak był szczęśliwy, że choć wiedział, iż niecofnięte słowo ojca wydziedziczało go ze wszelkiej pomocy i udziału majątności, za jeden ten uścisk byłby do ofiary dodał chętnie część swojego życia.

Sędzia odbył drogę całą w ponurém zamyśleniu. Sędzina płacząc, całowała ręce jego. Mania kradła lzy swoje przed nimi, udając, że z powozu wygląda, a na wózku Falszewicz kiwał głową tylko, przypatrując się jak Stanisław nie mógł się braćmi młodszymi i ich wesołą swawolą nacieszyć. Tak przybyli do Krasnobrodu, a gdy wysiadać poczęli, znowu strach ogarnął Stanisława; ale sędzia z rozpogodzoną już twarzą czekał na niego w ganku, i jak obcego prawie do domu wprowadził.

Jeszcze raz padł mu do nóg syn, ale nie prócz powtórzonego błogosławieństwa nie zyskał.

— Słuchaj! rzekł nieubłagany starzec: jako ojciec ci przebaczyłem, ale nie jako głowa rodziny... Obcy nam będziesz, boś chciał być obcym; łańcuch ten raz rozerwany, już się nie wiąże nawet skrucą, żalem i przebaczeniem.

— Ja też nic nie żądam prócz przebaczenia i serca, rzekł Stanisław.

— A jutro—dodał sędzia, wracając do swego charakteru,—jutro waćpan pojedziesz ze mną do akt i napiszesz zupełne zrzeczenie się wszelkiego spadku po mnie; tego pod błogosławieństwem wymagam.

Ani matka, ani bracia i siostry młodsze nie śmiały

już przemówić za bratem; samo przebaczenie zdawało im się takim cudem bożym, że więcej pożądać nie śmieli. Sędzia wyszedł, powiedziawszy te słowa, a Stanisław ujrzał się znowu w kółku rodziny, pod strzechą domową, szczęśliwy, rozweselony, lekki, pełny słodkich nadziei przyszłości.

Gniew tylko ojca mu ciążył; ubóstwo było dla niego tak z dawna przewidzianym końcem, że na nie spoglądać nauczył się bez obawy. Oddał się więc cały niespodzianej rozkoszy rozmowy z matką, nie mogącą mu się napatrzeć, z braćmi i siostrami, które go obstępowały, szarpiąc na wszystkie strony. Pierwszą to godzinę od dawna mógł nazwać szczęśliwą!

Kiedy się ta scena odegrywała na progu kościółka, cmentarz już prawie był pusty; jednak znalazło się kilkunastu ciekawych, znajdujących się wszędzie, gdzie coś podpatrzeć lub podsłuchać można, i co byli z dala świadkami ojcowskiego przebaczenia. Zaraz więc gruchnęła wieść po sąsiedztwie, tak upiększona, tak udramatyzowana, że nawet ci, co wypadku byli świadkami, każdy inaczej opisując, relacji swych współzawodników dziwili się jak nowości. Z tych wszystkich opowiadań, eklektycy, bajarze z professyi, zbudowali sobie wersję autentyczną, ostateczną, poprawną, i poemat ów poszedł jako materyał między podania ludowe na własność ogółu.

Nawet do dworu państwa Adamowstwa, przez pana komornika Bortyllę zaraz dnia tego doszła wiadomość o pojednaniu syna z ojcem, ale ją po cichu

powtarzano, żeby ciekawości księcia nie obudzić. Sama księżna dowiedziała się niektórych apokryfowych, ale dobrze doszukanowanych szczegółów od swojej garderobiany, i zamyśliła się głęboko, związując na noc włosy.

— Musi to być nieokrzeseane stworzeńko, mówiła w duchu; ale wcale ładny mężczyzna, ma coś poetycznego w sobie... Poeta! poeta! Gdyby mi nie szło o męża, który się tych krewnych z drugiego świata nastraszyć może, prosiłbym go kazała przez papę.. A! pośmielibyśmy się szczerze z naszych dzieciennych miłostek!

Westchnęła w duchu.

— A... dobre to podobno były czasy; przecież nie zamieniałabym ich na dzisiejsze. Nie! nie! ale na godzinę, na chwilę, gdyby do białej sukienki owęj, do tych uczuć, do tego ogródka i kwiatków powrócić można!

Westchnęła raz jeszcze uśmiechając się do siebie w zwierciadle, tak jęj z tym smutkiem ładnie było!

— Co za dzieciństwo! co za dzieciństwo! zawołała: *que je suis bête!*

Mimo to, nazajutrz była mowa między nią a rodzicami o Szarskim; napomknęła księżna, że możeby się godziło, gdy księżę pojedzie w sąsiedztwo, prosić Stanisława... Na tém się skończyło.

Dość takiej myśli zarodka, żeby rozpieszczone dziecko uparło się fantazji swojej dogodzić. Adela wyprawwszy na dwa dni męża w sąsiedztwo na polowanie, nazajutrz zaraz wyrobić potrafiła na ojcu, że po Stanisława posłał.

Wielkie zaprawdę było podziwienie jego, gdy grzeczno-zimny bilecik kuzynka odebrał; ale ojciec

i matka naglili na niego, żeby pojechał. Staś nie śmiał się im przyznać, jak raz ostatni rozstali się z panem Adamem, i choć z niemalym wstrętem, musiał usiąść i pojechać.

Myśl o Adeli przychodziła mu często, ale słyszana w drodze rozmowa na wieki oziębila go dla niej: nie uczuł już jak dawniej na wspomnienie jęj wzmagającego się bicia serca; niepokój jakiś tylko w nim jeszcze pozostał. Ten wzrósł, gdy się zbliżył do miejsca pamiętnego mu w życiu jedną chwilą nadziei, i Stanisław wysiadł ze swęj biednej bryczki onieśmielony przeszłością, zagłuszony państwem i przepychem, który tu teraz z powodu zięcia z mitrą, jeszcze był widoczniejszy niż kiedykolwiek.

W salonie nie znalazł nikogo jeszcze, a porozrzucane książki świadczyły, że literatura miała tu zwolenników. Zróbmy tu nawiasowo uwagę, że czytanie musi być dla wielu przykrością i pańszczyzną niemałą, kiedy się z niem tak popisują i chwalą. Nie ma pokoju, w którym się gości przyjmuje, gdzieby zapytonych kilka książek nie świadczyło, że—gospodarz ich nie czyta. Są to zwykle pięknie oprawne i ozdobne wydania tych nicości, których nikt w rękę nie biorąc, używa za świadectwo stopnia swęj cywilizacyi. Gdzieindziej znajdziesz w ten sposób porozrzucane nowości literackie, których naturalnie dopóki nie zestarzeją, nikomu wziąć nie wolno, boby stolik stracił ubranie swoje; a czasem nóż kościany wsunięty we środek ma być niezłomnym dowodem, że się tam zastanowił czytelnik, a raczję, niestety! ten, co karty przecinał. Jest też w modzie—a ktoby się na tém nie poznał!—że przyjmując pisarza, dzieło jego kładną na stoliku; ale trzeba być nie wiem jak zarożumiałym, żeby ten kom-

plement, kosztujący często wystękanym kilkanaście złotych, wziąć za dobrą monetę. Trafia się, że w podobnym razie uczą się grzeczni gospodarze i kilku opinij lub ducha autora... Żeby też połowę téj komedyi, téj pracy użyć na coś pocziwie szczerego, jakby to stokroć było lepsze! Kłamstwo w naszym terazniejszym świecie ma tę wielką niedogodność, że nie skłamać nie umie, a zawsze tego, co go użył, poniża.

Stanisław, któremu te mody i zwyczaje były rzeczą obcą, przywykły brać wszystko co do joty jak było, zdziwił się postrzegłszy wczoraj podobno u pana dzierżawcy pożyczony i rzucony swój poemat na wspartym stole palisandrowym, obok romansu Dumas'a i poematu Soumet'a.

Serce uderzyło mu wdzięcznością, i uczuł się usposobionym wszystko tym ludziom przebaczyć! A! i poeci są ludźmi! Wziąwszy do ręki jakąś książkę, zatopił się w myślach, i nie spostrzegł, jak piękna Adela wśliznęła się do salonu.

Szelest jedwabnej jęj sukni i lekki umyślny kaszelek obudził go z zamyślenia, które można było wziąć za udane, tak było głębokie. Księżna, strojna jak stan jęj wymagał, od aksamitów i atlasów, cała w pierścieniach i fraszkach błyszczących, miała minę pięknej lalki, ale blado-melancholijnie wyglądała, i choć trochę przebrała miarę w ubiorze, czémś istotnie arystokratycznym się odznaczała. Na widok jęj Stanisław zmieszał się, ale ta nowa Adela mało, mało przypominała dawniejszą... była to może jęj siostra, ale nie ona!

Przesuwając pierścionki na białych ślicznych paluszkach, księżna rozparta w fotelu, poczęła od nie-

chcenia rozmowę, wśród której wzrok jęj zwracał się często na młodzieńca, onieśmielonego jęj wielkością i tonem. To wejrzenie było w ciągłym sporze z postawą i pełną dumy twarzą, gdyż niekiedy zdawało się promykiem dawnego polyskiwać uczucia; ale Stanisław do siebie nie przypuszczał przypomnień.

Po chwili księżna pani wstała, i biorąc parasolik do ręki, skinęła na Stanisława.

— Możebyśmy poszli się przejść po ogrodzie, rzekła z nieopisanym uśmiechem: papa i mama nie nadejdą rychło, a ranek tak ładny! Dawnoś pan nie widział mruczynieckiego ogrodu; zobaczmy czy się też bardzo odmienił.

— Pewno mniej niż ludzie, co po nim chodzą, odpowiedział dość wesoło i powoli ośmielając się Stanisław. Wszystko się zmienia, a najwięcej ludzie!

— Prawda, dodała księżna: wszystko, wszystko; świat byłby bardzo nudny, gdyby tak trwał jednostajnie..

— Zapewne, rzekł Stanisław; bierzmy świat jak jest, bo go przerobić niepodobna.

To mówiąc, Staś otworzył fórtkę i weszli tą właśnie ulicą, którą przed kilku laty biegli oboje tak wesoło i dłoń w dłoni, ku cienistym w głębi lipom. W istocie, ogród był bardzo zmieniony, bo sprowadzony Niemiec wiele w nim podosadzał, powycinał, poustawiał ławy i stoły kamienne, porcelanowe jakieś siedzenia i t. p. Stanisław nie mógł się pokierować ku miejscu znajomym, i stanął zdziwiony.

— Nie prawdaż? spytała go księżna śmiejąc się: niepodobna poznać ogrodu, tak teraz ładny i nowo wygląda.

— Nowy, to prawda, ale żeby był piękniejszy od dawnego, nie powiem, rzekł Szarski z westchnieniem. Ja tak cenię wspomnienia!

Księżna rozśmiała się tylko, powoli się posuwając.

— A więc pan zapewne szukasz tu ławki drewnianej i ulicy, gdzieśmy biegali razem. O! jakież z pana dziecko jeszcze!

— Dziecko! prawda! żywo przerwał Stanisław; bo szukam więcej czegoś niż ławki i ulicy... bom jeszcze niedawno nosił na piersi...

— A! pewnie sławną ową niezapominajkę, która mi w tej chwili na myśl przychodzi.. Jak to było śmieszne! cha! cha! cha! jakże to było śmieszne! I pan ją nosisz może jeszcze? spytała Adela.

— Nie, już nie mam, rzekł Stanisław.

Księżny twarz zmieniła się i przybrała wyraz surowszy.

— To lepiej, odpowiedziała po chwili; nie trzeba zbyt długo być dzieckiem, choćby się kto urodził poetą; bo nic śmieszniejszego nad przedłużone dzieciństwo.

— A przyspieszona starość? zapytał śmielój Stanisław.

— Ta smutną tylko być może, ale śmieszna nie est, przerwała dumniejąc Adela, której oczy na ziemię się jednak zwróciły.—Widać było, że się nie spodziewała takiej śmiałości w kuzynku, i sądząc, że się jej odpowiadać nie odważy, w tę niebezpieczną wdała się rozmowę; ale Staś nic już nie mając do stracenia, nie czuł potrzeby tajenia myśli swojej.

— Ogród się bardzo odmienił—rzekł po chwili młody poeta zbliżając się do lip starych nieco pocinanych, którym nowe nadano kształty dla ukaza-

nia dalszego pejzażu;—ale starych przyjaciół poznaje serce... jakżeby ja tych pocziwych lip nie poznał?.. Wszakże to miejsce przysięgi! zawołał ze śmiechem.

Księżna wyzwana w ten sposób, widocznie się zmieszała, i trochę rozdrażniona odpowiedziała pytaniem:

— Doprawdy?

— Wprawdzie świadkom jej pocinano głowy, ale i tak przecię trafić na nich można.

— Prawda! przymuszonym śmiechem przerywając zawołała nagle Adela; wszakżeś mi pan przysięgł wieczną i niezgasłą miłość! O! jakżeśmy byli śmieszni, seryo, ze łzami zamieniając przysięgi i niezapomnij!

— Prawda! to było niezmiernie śmieszne, rzekł Stanisław: dwoje dzieci, które nie znały świata, które świat dzielił cały... po kilku dniach, po kilku serca uderzeniach... za wcześniej to było! za wcześniej! A jednak pani—dodał poważnie Stanisław—z całego życia mojego jest to jedyna chwila może, której nigdy nie zapomnę, tak mi się głęboko wypiętnowała na duszy.

Piękna pani uśmiechnęła się tylko.

— Dzieciństwo jeszcze! powtórzyła przez białe ząbki.

— Nie przeczę! ale mi żal tej ślicznej Adeli, która naówczas nie była jeszcze księżną, ani panią, ani może tak piękną jak dziś pani jesteś, ale miała na sobie skrzydła anielskie i aureolę idealnego świata.

Coraz bardziej zdziwiona i zmieszana odwagą ubożego chłopaka, Adela odwróciła się z twarzą surową i obiecała stroić sobie żarciki, ale bała się rozmowy, zwracając w stronę uczucia niebezpieczną i.. nudną.

— Przepraszam, rzekł widząc to Stanisław: sa-

maś pani podobno wywołała te niepotrzebne stare wspomnienia, a ja nie w sobie tać nie umiem.

— To bardzo zły zwyczaj!

— Dla prostych jak ja ludzi to obowiązek.

Księżna ruszyła ramionami.

— Chodźmy, chodźmy, rzekła: żebyś się już pan wspomnieniem téj Adelki nie rozrzewniał na próżno.

— Al pani, dodał śmiejąc się choć z goryczą Staś: co chwilabyśmy tak w życiu rozrzewniać się musieli, oplakując zmarłych-żywych, których poznać z serca ani z twarzy nie można... Takie prawo życia... przeboleć trzeba i mileżeć.

Rozmowa była na tak niebezpiecznej drodze, że się co chwila stoczyć mogła w wyraźniejsze jeszcze wymówki i żale. Księżna postrzegłszy to i widząc, że żarty z nieśmiałego kuzynka wcale się już udać nie mogą, pośpieszyła nazad ku domowi kwaśna, nadsana i dumna.

Gdy weszli do pokoju, w którym już zastali oboje państwo Szarskich, Adela padła na krzesło, wzięła książkę do ręki i zamilkła zupełnie. Stanisław mówił śmiało, i rozogniony wyrządzoną sobie na nowo krzywdą bolesną, targał więzy, które go jakąś grzeczności resztą i uszanowaniem dla bogactwa łączyły z tym domem. W miarę jednak jak on stawał się śmielszy i mniej zważał na ich popisywanie się wielkością i państwem, oni stawali się coraz grzeczniejsi, pobłażliwsi, delikatniejsi, chcąc go ukołysać. Adela tylko, uporczywie zajmując się czytaniem, milczała.

Wśród obiadu, turkot niespodziany powozu nastraszyl niepomaleu wszystkich, a gdy poznano konie i ekwipaż księcia, pomieszała się bardziej jeszcze. Książę wszedł do sali, i pierwszym rzutem oka po-

strzegłszy między domowymi nieznanego, którego fizyognomia go uderzyła przypomnieniem rysów gdzieś znajomych, zastanowił się, szukając po głowie, toby to był taki?

Po obejściu się jego z Szarskimi znać było, że czuł jaką robił łaskę, zostając ich zięciem; oni znowu aż do zbytku korząc się przed nim, zdawali się potwierdzać postępowaniem swoim jego przekonanie, tak dziwnie mu nadszaliwali. Gospodarz łamał sobie głowę, jak tu zaprezentować przybysza, którego nie chciał nazwać kuzynkiem, a nie mógł inaczej?...

— Mam honor prezentować w. książęcej mości mego... tu coś połknął i udławił się jak kością—pana Stanisława Szarskiego.

Książę ucho miał dobre i pamięć niezgorszą; przysła mu zaraz na myśl scena owa ze Stanisławem w Wilnie, w której nie najpiękniejszą odegrał rolę ale udał, że nie poznał Szarskiego, zamilkł i skłonił się grzecznie. Mina jego jednak okazywała, że mu ten gość nie był do smaku, bo się skrzywił, nosem zakręcił, i pod pozorem odpoczynku i zmiany ubioru, znikł natychmiast z pokoju.

Obiad skończył się milcząco, a wprędce po nim Stanisław, nie zatrzymywany, pożegnał krewnych, swobodniej oddychając wyjechawszy z pod ich dachu, nie bez żalu jednak po Adeli, tak dziwnie, tak niepojęcie zmienionéj.

Pobył Stanisława w Krasnobrodzie nie przeciągnął się też długo; gdyż od pierwszego dnia przekonał się

Stanisław, że ojciec choć mu przebaczył, nie dla niego nie uczyni. Potrzeba było samemu myśleć o sobie i znowu wieś opuścić, szukając w mieście ciężkiego chleba, którego za myśl kupić tak trudno! Pożegnanie było rozczulające z matką i rodzeństwem, z ojcem chłodne. Starzec może miał jaką łzę w oczach, ale jęj wybiedz nie dozwolił; jeszcze raz tylko powtórzył Stanisławowi, że jako syn nic się po nim nie ma spodziewać, i pobłogosławiwszy go na drogę, nie spytał nawet czy ma ją o czém odbyć. Matka, bracia, siostry, wszyscy złożyli się ze swego ubożego mienia dla wygnańca; ale Staś z udanem weselem pocziwy dar ich odrzucił, zapewniając, że nic nie potrzebuje. Odesłany nie dalej niż do Jasiniec, do Płachy, znalazł się znowu sam, samiuteńki na całym bożym świecie.

O! tęskno mu było, ale kiedyż to w życiu nie tęskno? są chwile pogody, ale tło jego szare, ale na dnie tych przelotnych błyskawic zawsze panują ciemności. Lżej teraz jednak wybierał się w podróż z błogosławieństwem rodzicielskim, nie zostawując za sobą ciężaru ojcowskiego gniewu, chociaż żadna z trudności życia rozwiązana mu nie była, i z zupełną swobodą, wszelką troskę o przyszłość wziął na barki swoje.

O mało nie zapłakał nad odjeżdżającym chłopakiem z Krasnobrodu, który go tu przywiózł, jak go do szkół woził; a gdy kałamaszka znikła z dziedzińca, tak się uczuł sam i smutny, że uciekł ze łzami do swojej izdebki.

Szczęściem Płacha umiał tę serdeczną tęsknicę poszanować i nie przyszedł go pocieszać, ani go też nazajutrz wstrzymywał, gdy się wyjeżdżał napierał;

bo rozumiał, że bliskość Krasnobrodu musi zakrwawiać serce dziecka, wyprawionego tak w świat o własnych siłach.

Nazajutrz rano wyszukał mu Żydka, mającego jakoby jechać za swoim interesem do Wilna, sprowadził go z blizkiego miasteczka, i po gospodarsku napechawszy wózek wyprawą złożoną z wędlin, serów, pierogów, masła i pieczystego, tak urządził podróż Stanisławowi, aby go nie prawie nie kosztowała.

Pocziwy Litwin pokochał jakoś poetę, i umiał się tak nad położeniem jego litować, że podobno tajemnie Żydka opłacił, a wiedząc, że Szarski w drodze sobie rady nie da z Izraelitą, wysłał z nim jeszcze własnego sługę, starego Piotra. Piotr dawno już, po śmierci ojca Płachy, uwolniony został od dworskiej służby i osiadł w chacie na roli; ale w wielkich wypadkach posługiwał się nim Płacha, choć już ani ubioru porządnego, ani bótów nie miał, i chodził w łapciach i sukmanie.

Był to mruk, posępny, mało mówiący, nadzwyczaj podejrzliwy człeczyna, ale wypróbowanej pocziwości i statku. Jemu na ręce zdał Płacha gościa swojego, i upłakawszy się w ganku, wyprawił go spokojniejszy na sercu, że co mógł zrobił dla niego. A potrzebując rozrywki po pożegnaniu, które go nieco rozmazało, bo się aż na łyzy zebrał ów wąsacz, wziął flintę na ramię i ruszył ze psami w pole.

Stanisław znów jechał w świat, zadumany po swemu i już cały w sobie, bo szczęściem nie potrzebował myśleć o podróży, i mógł zdać całkiem kierunek jej na starego Piotra. Droga, choć nędzną szkap parą, po piaskach, ale teraz szła już raźniej i prędzej, bo się nigdzie nie zatrzymywali, i choć prawie

stępa jadąc, po kilka mil na dzień ujechać mogli. Żyd niewiele mówić potrzebował, Piotr całe życie milczał, i gwałtownie tylko zapytany, gdy się kiwnieniem głowy wyratować nie mógł, głowę otwierał i ręką machał. Staś też nie miał ochoty do gawędy, i tak milcząc posuwali się ku Wilnu.

Któregoś tam dnia tej pośepnej drogi, w gęsty deszczyk jesienny, kropiący od czterdziestu ośmiu godzin, pokazało się nagle miasto ze swemi wieżycami i tumanem dymów, któremi wiatr jak wielką powiewał zasłoną; a Stanisław powitał je ze smutkiem jakimś i przecuciem chwil ciężkich, które go tam czekały.

Na Trockiej ulicy, że to była pora dla pana Horyłki werbowania do swego domu, ujrzał go Szarski pod parasolem czatującego na przejeżdżających, a Hersza w odwodzie przytulonego do bramy. Nie mogła się już wymknąć im ofiara; jakoż uścisk Horyłki i kapiący jego parasol wstrzymał Stanisława, a wózek jego zatoczył się w znajome podwórze.

— Stancya pańska czeka na pana! rzekł biegnąc przodem z kluczami gospodarz. Znowu ją odnowić kazałem: lamperye pomalowane klejowo, okna podwójne dopasowane, bo zimę nam kalendarz prorokuje okrutną.

— A jakże się tam panu powodzi? zapytał Stanisław: jak się ma żona pańska?

— Żona! nie mam żony! to ostatnia łajdaczka! niech mi jej pan nie wspomina! zawołał Horyłka.

— Jak to? wszakże się okazało, że to były potwarze?

— Okazało się, że znowu dyabli ją w świat ponieśli; ale jak, proszę pana! Ot co było! Przyjechała

tu truppa komedyantów, co hece pokazują... a ja ich tu zainstalowałem, nie nie przeczuwając. Ta, za pozwoleniem, szanując uszy pańskie, niegodziwa... upodobawszy sobie entrepreneur, porozumiała się z nim i bryznęła... Ale basta! dodał Horyłka: teraz mi się już nie wytłómaczy; więcej do domu nie przyjmę... baba z wozu, koniom lżej... Ot, pański pokój! pokoi-czek! albo nie caca? ha? Dla kawalera nie ma w całym mieście weselszego apartamentu; okno na ulicę, ulica ludna a cicha.

Appartament ten, tak sławiony, wcale nie zyskał od czasu jak go znał Stanisław; owszem coraz bardziej znać na nim było lata, ale miał wielki przymiot tanioci, i Szarski musiał się w nim znowu umieścić, choć izdebka bez dawnych towarzyszków smutniejsza była jeszcze niż przedtem.

Nazajutrz zaraz, zostawiwszy Piotra wypoczywającego przy rzeczach, Staś pobiegł do doktora Branta, którego zastał w fotelu z książką w ręku i ze snem się pasującego.

— Ha! jak się masz wędrowcze? List mi pewnie przywiozłeś od moich?

— Tylko od jednego! rzekł Staś.

— A reszta?

— Kilka lat jak ich już na świecie nie ma.

— Patrzaj, jak to ludzie umierają! westchnął doktor; nie poczekali nawet, żebym ich odwiedził! No! a młody Płacha?

— Żyje, i oto list, na który się zebrał.

— Połóż go, przeczytam wolnym czasem; odparł Brant wzdykając. Siadaj, i powiedz jak cię przyjęli?

— Z sercem po bratersku!

— Płachy byłem pewien, młody pocziwie być musi z kośćmi Litwinisko... a jakże mu się tam powodzi?

— Tak, że lepiej nie żąda choć ma mało; powiada, że nie mieniałby się na żadne inne położenie w świecie.

— A twoi? ojciec? matka? rodzeństwo? byłeś? widziałeś ich? spytał niespokojnie doktor.

Stanisław opowiedział mu szczerze całą podróż swoją, w ciągu której lekarz zażywał a zażywał tabakę.

— Wszystko to dobrze, rzekł; ale co teraz poczniesz powróciwszy?

— Będę pracował!

— I to ślicznie; ale co umiesz i co możesz robić?

— Mam rozpoczęty poemat, dramat, historię.

Brant ruszył ramionami.

— Słuchaj-no, rzekł: choć to z Trockiej ulicy dość do mnie daleko... ale wiesz jaka się do mnie na starość bieda przypłatała?.. straciłem apetyt... gdy nie mam z kim mówić w czasie obiadu, jeść nie mogę. Żebyś ty mi tę łaskę zrobił, a do mnie na obiad przychodził..

Staś się rozśmiał, bo istotnie Brant trochę go już za nadto sądził naiwnym.

— Ale słuchaj-no! zakrzyknął Brant, bijąc się w piersi: kłnę ci się Boerhavem, Broussaim, kim chcesz, nawet Eskulapem i Chironem i mityczną Hygią, że nie bałamucę. Głupi żołądek psuje mi się; dowiedziona jest zkądiną rzeczą, że rozmowa zaosacza apetyt.

— Kochany doktorze! przyjmuję twój obiad; ależ nie myśl znowu, bym się na tém nie poznał, że mi chcesz dopomódz, bojąc się, bym z głodu nie umarł.

— Śmieszny jesteś: z głodu dziś nikt nie umiera, nawet literaci... Ale istotnie nie ja tobie, ty mnie łaskę zrobisz; bo tak jest co do słowa jak ja mówię: jeść nie mogę, gdy nie mam z kim gadać... Punkt o pierwszej regularissime siadam do stołu.

Stanisław ścisnął pocziwą dłoń jego, i wymknąwszy się wzruszony, poleciał do księgarni, gdzie trafił właśnie na bibliopolę w cichej jakiejś naradzie z Bazylewiczem. Ujrawszy wchodzącego, przerwali rozmowę, i gospodarz podszedł ku niemu, podając mu rękę z miną zaambarasowaną.

— A! przecie pan nam powraca!

— Jak mnie pan widzi... na usługi... A cóż? wyszły moje poezye?

— Tak... to jest... to jest... wydrukowane, tylko się zszywają.

— Alem ja już widział egzemplarze po świecie.

— Pierwszych kilkadziesiąt egzemplarzy, reszta u introligatora.

— Nie mógłbym moich odebrać?

— Chyba później, kochany panie, chyba później. Szarski głos zniżył.

— A nie dałbyś mi pan jakiego zajęcia? zapytał nieśmiało.

Bibliopola zatarł ręce, podrapał się po twarzy, pomyślał.

— Nie! nie nie mamy w projekcie... wątpię, czy się co znajdzie.

— Czy nie wakuje u pana miejsce korektora lub coś podobnego?

— Nie, nie... a potem—dodał z uśmiechem gospodarz—poeci zwykle są najgorszymi korektorami.

Świadkiem własne poezye pańskie, które po nim musiałem jeszcze dwa razy kazać przeglądać.

Zatrzymał się.

— Ale, ale! możebyś pan tłómaczył? zapytał.

— Będę tłómaczył, rzekł Stanisław.

W téj chwili zbliżył się i Bazylewicz, z uśmiechem dwuznacznym poglądając na towarzysza.

— O co to panom chodzi? rzekł wtrącając się do rozmowy—jeśli wiedzieć można?

— Mnie po prostu o zajęcie i chleb idzie, odpowiedział Stanisław.

Księgarz i literat spojrzeli na siebie, a Bazylewicz usta wydał z litością szyderską.

— Znajdziemy ci coś.. rzekł namyślając się: przyjdź-no do mnie.

— Gdzie mieszkasz?

— Ja? Ale z podkomorzym Kłapciem! bo i on tu przybył z familią na zimowisko. Gdyby nie córka w której się formalnie kocham, porzuciłbym już sa-fandulę... Stoimy gdzieś na Bakszcie, mam pokoik osobny.

Księgarz tymczasem chodził zadumany po sklepie, nadarł sobie trochę włosów z twarzy, i ujawszy wreszcie za łokieć Stasia, rzekł do niego:

— Przyjdź-no pan do mnie jutro rano... namyślimy się.

Bazylewicz, który się już do odejścia wybierał i rękawiczki naciągał, zaprosił Stasia z sobą na rozmowę, a nie chcąc go wlec aż na Baksztę, wszedł z nim do pierwszej z brzegu cukierni, gdzie kazawszy podać ulubionego naówczas akademikom glühweynu, zasiadł badać przybyłca.

— No! cóż myślisz? spytał: starać się o guwernerkę?

— Nie, rzekł Stanisław: jest to powołanie, do którego nie czuję się usposobionym; a sumienie nie pozwala mi podjąć się tego, czegobym nie był w stanie spełnić uczciwie.

— Będiesz więc żył z pióra?

— Z jakiegokolwiek pracy, choćby z przepisywania... ale swobodny i niezależny.

— Daj ci Boże szczęście! rzekł Bazylewicz. Mnie suż to guwernerowanie choć krótkie dojadło; jeśli mi się Emilki wykraść nie uda, nad czém pracuję, matkę już po trosze mając za sobą, rzucę to wszystko do licha, a wezmę się do wydawania przez prenumeratę. Lepszy to kawałek chleba niż pisanie; księgarze żyją z niego przecię.

— Ale... o czémżeście się tak tajemniczo naradzali z panem X.?

— Tymczasowie podjąłem się wydawania dzieł Naruszewicza... coś mi to przyniesie. Fabrykujemy, między nami mówiąc, parę Od, dla tego, żebyśmy powiedziec mogli na tytule, że są w naszej nowéj edycji rzeczy całkiem niewydane... Cha! cha! żebyś ty wiedział, jak dobrze mi się udało pochwycić manierę Naruszewiczowską, i ten styl, w jakim naprzykład walił ksiądz biskup odę do słońca, zowiąc je:

Prawicy Twórczej najdroższym sygnetem!

Stanisław zdumiał się bezczelności, z jaką to mówił Bazylewicz; ale w pierwszej chwili tak był zdumiony, że się odezwać nie śmiał.

— Szachraj księgarz myśli, że mnie w pole wyprowadzi, mówił dalej Bazylewicz, potrząsając głową; ale

zje licha! trafiła kosa na kamień; zobaczymy kto tu kogo odrwi.

Mowa ta dziwnie boleśnie zabrzmiała w uszach człowieka, który powołanie pisarskie przywykł był widzieć z cale innéj strony... jako poświęcenie i kapłaństwo.

— Ha! rzekł: nie spodziewałem się, byś w podobne brudy umoczyć miał rękę.

Bazylewicz się uśmiechnął.

— Nigdy z ciebie nic nie będzie, odparł zapalając fajkę. Dajmy temu pokój i nie mówmy o tém... Ja tak lub owak dobiję się czegoś na świecie; ty albo się musisz odmienić, albo umrzeć z głodu.

— Wydałeś to, na co ogłosiłeś prenumeratę?

— Jeszcze nie, rzekł zimno literat: łaję z góry prenumeratorów, którzy się dopominają, a powoli drukuję. Że zaś pieniądze dawno stracone, każe się im dla nieprzewidzianych kosztów dopłacać przy odbieraniu książki.

Po tych wyznaniach, taki wstręt i oburzenie chwyciło Szarskiego, że nagle wstawszy z miejsca, nie mając nawet odwagi podać ręki Bazylewiczowi, uciekł cały w płomieniach z cukierni.

Krąg jego dawnych znajomości kończył się prawie na Bazylewiczu, bo professora Hipolita nie było jeszcze w Wilnie, a Iglickim tak się Szarski brzydził, jak spekulantom, z którym tylko co zerwał. Poszedł więc do samotnej swojej izdebki ze ściśniętém sercem, a jakiś stary nałóg bezmyślny powiodł go przez Niemiecką ulicę. Oko jego przywykłe szukać tu kogoś w oknie, podniosło się na kamienicę Dawida Białostockiego, ale w niej było pusto i ciemno, sklep

nawet stał zamknięty, z kartką do najęcia. Staś zatrzymał się niby spytać o dawnych znajomych, ale nie znalazł od kogoby się o nich dowiedział.

W ten sposób rozpoczęło się tęskno nowe jego życie, wśród niczém niezaludnionej pustki, ze smutkiem w sercu nieuleczonym i jakimś chłodnym rozczarowaniem. Jedno tylko miał lekarstwo na wszystko, wszechwładne panaceum... pracę. Wsparty nad książką, zwieszony nad papierem, cofając się w przeszłość, zaszywając w cudzą skórę i cudze życie, uciekał od terażniejszości, wśród której był obcym i niepożrebny. Praca też stała się dla niego koniecznością, warunkiem prawie przyszłego życia, którego stanowiła dźwignię jedyną. Nic dotąd nie sterowało jej kierunkowi, prócz wewnętrznego usposobienia i potrzeby duszy; pisał więc co chciał, badał co go pociągało, pracował jak zapragnął, ale nadchodziła chwila, w której się to zmienić musiało.

Nazajutrz zaraz, gdy o ósmej przyszedł do księgarza i zastał go już nad rachunkami, bibliopola zaproponował tłómaczenie.

— Co pan chcesz, bym tłómaczył? zapytał Szarski.

— Naturalnie romans, rzekł księgarz: romanse ogromnie się czytają i rozprzedają. Wprawdzie to, co czyta u nas, czyta prawie powszechnie po francuzku; ale jest klasa, która tamtych małpuje, a nie umie języka; dla téj trzeba tłómaczeń.

To mówiąc, bibliopola chwycił z półki powieść sześciotomową, z angielskiego na francuzki przełożoną, i pokazał ją Szarskiemu.

— Warunki zaś—dodał—są następujące: najprzód, żebyś się pan na tłómaczeniu podpisał..

— Zgoda na to! rzekł nie zastanawiając się Stanisław.

— I położymy wprost: tłumaczenie z angielskiego.

— Tego ja napisać nie mogę, boby to było fałszem. Księgarz się rozśmiał.

— No! no! kochany panie, zrobimy tak, żeby był i wilk syty, i owca cała, napiszemy tylko: tłumaczenie z Bulwera...

Staś zwiesiwszy głowę zamikł, rozpatrując dość spore tomy przyszlęj roboty swojej.

— Za to ofiaruję panu...

Tu połknął ofiarę księgarz, pewnie ją zmniejszając w myśli.

— Ofiaruję panu... powtórzył.

Ale ofiara przez usta przecisnąć się nie mogła.

Nareszcie zdobywszy się na determinację, dodał cicho:

— Po sto pięćdziesiąt... złotych.

— Jak to? zawołał Stanisław: za arkusze czy za tom?

— Za tom! za tom! Może i to nawet za wiele, bo są, którzyby mi to zrobili i taniej; ale ja znając talent pański, ufając, że to będzie coś lepszego od tuzinkowych przekładów...

— Ale kochany panie! odparł uśmiechając się Szarski: gdybyś kazał tylko przepisywać...

— Jak pan chce! jak pan chce! rzekł szybko na półkę zakładając książki bibliopola: więcej w żaden sposób dać nie mogę. Za sześć tomów to wynosi dziewięćset złotych, piękny grosz! śliczny grosik! A nim się to odbierze, sprzedając po egzemplarzyku... dobrze trzeba poczekać. Zresztą to robota lekka i miła się

dziesz pan i żartując napiszesz, potem poprawisz nie przepisując, a dziewięćset złotych zostanie w kieszeni!

Stanisław sam nie wiedział co począć, ale całego majątku pozostało mu czterdzieści złotych w kieszeni, a nikomu ciężarem być nie chciał, i z przykrém uczuciem konieczności wziął książki podane mu skwapliwie przez przedsiębiorcę, którego oczy zabłysły ukontentowaniem.

— Ale mi to potrzebne prędko, rzekł księgarz: pilno, bardzo pilno; najdalej za miesiąc lub półtora...

Nic już na to nie odpowiadając, wyszedł najęty robotnik, aby się zaraz zamknąć przy nowej pracy. Nie spodziewał się, żeby mu szła tak ciężko, żeby tak była dławiącą i niezdolną. Mając w duszy własnej wlewające się z niej myśli bogate, czując mierność tego co przekładał, mozolnie i ciężko tłumaczył co mu się w duszy nie zdawało wartém ukazać się w szacie nowego języka. Przykuty do słów, do formy, do myśli innemi drogami i ku innemu celowi idący był jak niewolnik, którego łańcuch do taczki kępuje... ale potrzebował chleba i dalej iść musiał!

Jednego z tych dni nużących jednostajném powtarzaniem zimnych jakichś i obcych mu myśli, szarym mrokiem, wyszedł Stanisław przejść się trochę i odechnąć świeżem powietrzem. Widok ulic, ruchu ich i wrzawy jakoś go krzepił złamanego ślęceniem nad utrapioną robotą, niemal machinalną, która nie pozwalając mu własnych rozwinać pomysłów, krzyżowała je tylko. Wieczór był piękny, mimo pory roku spóźnionej i zimy już blizkiej; mnóstwo osób przesuwalo się po trotuarach; krążyły powozy i ulice rozlegały się piosenkami sług idących po wodę, wesołych chłopaków i dziewczątek.

Stanisław z Trockiej skierował się ku ognisku miasta, pod mury uniwersyteckie, koło których wila się znowu młodzież akademicka, obca już dla wyzwolonego Szarskiego, a tak mu jego niedawne czasy przypominająca, bo dzisiejszą swobodę chętnie byłby na mundur zamienił.

Tu w rogu Kardynalii, znało mu Żydek Jankiel, roznoszący książki stare, zatrzymał dawnego swojego klienta, pomnąc, że nieraz już u niego stary surdut za starszą jeszcze wymieniał książkę.

— Niech-no pan zobaczy, rzekł; proszę-no pana zobaczyć... Piękne mam rzeczy! Solikowskiego... Fredrę... Kobierzyckiego... a nawet raritas Włodka! Włodka! Pan wiel w Rzymie drukowany!

Stanisław choć wcale nie miał ochoty kupować, wstrzymał się jednak dla tego tak szumnie zapowiedzianego Włodka, którego dzieło, z powodu miejsca druku, jest istotną w handlu rzadkością. Przy Żydzie stał maleńki staruszek w wyszarzanym surducinie, w okularach, już tego Włodka trzymający w ręku i z pod oprawnych w mosiądz szkiełek pełne strachu rzucił wejrzenie na nowego współzawodnika, któremu nie puszczając z rąk egzemplarza, tytuł tylko jego w milczeniu ukazał.

— No! bierzesz ukata? rzekł staruszek żywo.

— Ten pan więc dał odparł Żydek, mrugając na Stasia.

— Ja i tego ci nie dam, zawołał Stanisław: bo kupować nie myślę.

— Nul to zrobim handel! przerwał Jankiel śmiejąc się.

— I handlu nie będzie!

— Egzemplarz powalany, z dopiskami, dodał staruszek: i tego nie wart...

— Aj gwałt! na to się pan skarży, że z dopiskami! a to jeszcze droższy!

— Jak chcesz! dukata daję... z rąk nie puszczając rzekł stary, który widocznie ślinkę połykał. No! bierzesz czy nie?

Zawahał się widocznie spekulant.

— Nie mogę! odparł.

— No! to więc feniga złamanego nie dam!

Już odchodził ów oryginalny, niepoczesny staruszek, gdy Jankiel przekonany, że wytargował co tylko było można, wetknął mu w rękę Włodka, a biblioman obejrawszy go bacznie raz jeszcze, dostał sakiewki nicianej, i wysypując z niej po złotówce i berlinie powoli z westchnieniem, dopełnił summy złotych dwudziestu, od których niewiele mu coś zostało.

Jankiel pogonił za kimś innym, a dwaj nieznajomi pozostali z sobą oko w oko. Na licu staruszka swobodnie teraz malowała się radość i uśmiech igrał filuterny; widocznie był w wysmienitym humorze z powodu nabycia.

— A pan — także — zapytał: amator bibuły?

— Amator, ale nie kupuję.

— Bardzo panu dziękuję, żeś mi nie podrożył Włodka. A mogę spytać o szanowne imię pańskie? Szarski powiedział jej; staruszek się zamyślił.

— A, to pan wydałeś poezye?

— Tak, to ja...

Skrzywił się nieznacznie okularowy jegomość.

— *De gustibus non est disputandum*, rzekł. Choć poezye pańskie, w swoim rodzaju, na którym się ja

nie znam, piękne być mogą, ja téj szkoły zwolennikiem nie jestem...

Poszli dalej w jedną stronę; rozmowa, choć przerwana, ciągnęła się powoli.

— Ja jestem klasyk, zabity klasyk, dodał staruszek. Panu być musi znajome imię Benedykta Pleśniaka; poezye moje były drukowane z oklaskami w *Dzienniku Wileńskim*; słyszeć musiałeś o poemacie moim *Władysławiada*, nad którym bez przechwałki lat już dwadzieścia i pięć pracuję... były z niego gwałtem mi porwane niektóre kawałki w *Tygodniku Żółkowskiego*.

Szarski skłonił głowę.

— Bardzo mi miło poznać pana dobrodzieja...

— A ja panu bardzo wdzięczny jestem, żeś mi przez figiel młodości nie podrożył mego Włodka.. Radbym to panu odwdziżyć. Masz pan czas?

— Trochę.

— Gdybyś pan zaszedł do mnie, przeczytałbym mu kawałek *Władysławiady*! pokazałbym mu nieco książek...

— Najchętniej! najchętniej, pójdziemy!

— Choć to prawdę rzekłszy—dodał Pleśniak—poezya panu nie będzie do smaku. Waćpanowie mitologii nie lubicie... cha! cha!—roześmiał się stary—ale ja szczęśliwą i oryginalną myśl powziąłem, pan wie? zastąpiłem mitologię allegoryami... Jowisz zowie się u mnie Przedwieczny; Juno zrobiłem Opatrznością; Marsa duchem wojny; Wenus miłością; aby tych wstrętliwych dziś imion uniknąć, a maszyny się nie wyrzekać.

Tak rozprawiając, staruszek z Zamkowej ulicy poprowadził swego towarzysza zaułkiem, a w dziedzińcu

jakiś stariej kamieniczki, dopadłszy schodków i galeryi, pociągnął za sobą Szarskiego w ciemny zakątek. Tu dobytym kluczem drzwi otworzył i wprowadził go do ciasnej izdebki, w której już całkiem było ciemno, choć oczy wykół.

— Nie ruszajże się asan dobrodziej—rzekł gospodarz—póki ja ognia nie rozświecę; bo mógłbyś na-deptać skarb jaki... tych tu wszędzie pełno... Ot, zaraz, tylko krzesiwo znajdę.

Nierychło jednak poznajdowały się krzesiwko, palone płótno, siarniczki i świeca, której blask rozszedł się nareszcie po lichéj komórcie, całej zapchanéj książkami.

— Ha! ha! rzekł Stanisław rozglądając się: pan tu pokutujesz jak szczur w serze.

— To praca życia całego! to skarby nieocenione! zawołał staruszek, z dumą wskazując półki. Rzadkości, kruki białe... czarne łabędzie... unikaty! Moja biblioteka, komu nie potrzeba, warta milion... słyszy pan? milion! Ja się znam na tém—dodał Pleśniak—i po swojemu robię fortunę. Cena książek idzie w górę!

— Więc pan to zbierasz...?

— Trochę z zamięłowania rzeczy, ale też i przez spekulacyę, uśmiechnął się stary: moi spadkobiercy gotowy znajdą majątek w tych szpargałach, które ja po ulicach zbierałem. Karta po kartce niemal wylałem tu Bielskiego in quarto! i dwa przepyszne egzemplarze dwóch wydań arkuszowych Paprockiego, w którego herbach jednéj mi literki nie brakniel i Okolskiego z podwójnemi kartkami, najrzadszą rzecz w świecie!

Mówił, a oczy mu się iskrzyły, uśmiech rozświecał usta jego blade, i znać było że ożył.

— Ale nie traćmy czasu—rzekł—bo świecy kawałek mamy, a *Władysławiady* dużo; mógłbym panu parę ustępów przeczytać. Siadaj pan na tym kuferku i słuchaj; wynajdę co już mi się zdaje więcej skończoném... choć wiele jest jeszcze do zrobienia, wiele! Ot, na przykład, piąty już rok medytuję, czy lepiej w wierszu 893 użyć: *rękę wyprzeż*, czy *rękę wyteż*... Korrespondowałem w tym przedmiocie z najslawniejszymi krytykami naszego wieku; zdania są podzielone, niepewność wielka, sam nie wiem jeszcze na czém stanie. Czasem rok cały pozostaję przy wyprężeniu, to mi je znów wyteżeniem zastąpić przychodzi. Sześć razy skrobałem ten wiersz 893, przepisywałem całą stronicę dla tego jednego wiersza, i boję się, by małe śmierć nie zaskoczyła w téj niepewności!

Po téj przedmowie, doskonale malującej człowieka utopionego w drobnostkach, stary rozpoczął deklamacyę wstępu *Władysławiady* swojej, gdyż wybór wśród jéj piękności zdał mu się za trudny. Stanisław słuchał cierpliwie, ale nie dziw, że to chłodne wierszowanie wyrazów i budowa z lodu rozgrzać go nie mogły. Zresztą nie potrzebował Pleśniak, by mu ukazywano piękności, gdyż sam na nie zwracał uwagę, i wszelkimi sposobami wymuszał na czytelniku pochwały. Cała pierwsza pieśń bez oddechu została połknięta; szczęściem świeczka zaczęła pryszczeć, trzaskać, dogorywać, drugiey nie było i czytanie przerwać się musiało.

Staś chwalił mało, i Pleśniak nie bardzo był rad ze słuchacza: zimno więc dosyć poczęli żegnać się z sobą, i Szarski miał już wychodzić, gdy drzwiczki się otwarły i wpadł professor Hipolit, tylko co ze wsi przybyły.

— Al a ty tu co robisz? młody molu! zapytał śmiejąc się Stanisława, zobaczywszy go u drzwi; co robisz u tego starego skapca? czy jak ja przychodzisz pożyczać książki i słuchać ustępów nieśmiertelnéj *Władysławiady*?

— Poznaliśmy się dzisiaj przypadkiem...

— Ale spodziewam się, że cię *Władysławiada* nie minęła? rzekł śmiejąc się professor.

— Pieśń pierwsza...

— Później przyjdą następne, do dwudziestéj czwartéj, bo jest ich dwa tuziny... Panie Benedykie—odwrócił się do gospodarza—przychodzę wysłuchać pieśni szóstéj i prosić cię o pożyczenie poezyj Grochowskiego i Miaskowskiego.

— Miaskowski Kacper! rzadki! o! rzadki. Rytm! mam! Grochowski w oddzielnych broszurach także niełatwy do dostania, ale i to tu jest!

— Wszak święcie pożyczone oddaję?

— Ani słowa!

— Pieśń szósta... rzekł niespokojnie poprawując resztkę świecy stary: jesteście w obozie...

— Słucham, odparł z westchnieniem professor—i ja i Szarski... Poczém będę prosić, o książki i zmykam bo czasu nie mam.

— Zaraz, ale cóż pocznę ze świecą! zawołał stary; nie mam świecy!

— Gdyby też kiedy jaki funt smarkaczek kupił! rozśmiał się Hipolit.

— O! zapewne kupił! ofuknął się stary: dobrze to gadać! albo to ja bogacz jaki? tyle ekspensując na książki, żebym jeszcze świece kupował! Lokatorowie mi dają po kawałku i tak się żywię... Pójdę na dół, dostanę może... bo podobno pieśń szósta jest jedną

z najlepszych. Zwłaszcza opis bitwy, w której się bez Marsa obeszło, chociaż go czuć wszędzie... i armaty grają a nigdzie, po imieniu ich nie zwałem, i to sztuka! Tylko mi książki nie ruszajcie !!

To mówiąc, pan Pleśniak poszedł po świecę, zostawując na chwilę sam na sam Stanisława z Hipolitem.

— Co to za oryginał! odezwał się Szarski.

— Jeszcze go znasz mało, rzekł Hipolit. Jest to jeden z tysiąca typów przeszłości, literat, poeta i spekulant książkowy, biblioman, który kupuje kapitalizując grosz w papierze... a przytém skąpiec, żywiący się, jak widzisz, resztkami ogarków od lokatorów swoich, choć jest właścicielem kamienicy i autorem *Władysławiady!* Nie pamiętam już ile lat tworzy, poprawia poemat swój i czyta go wszystkim kogo tylko złapie... Będziemy dziś mieli pieśń szóstą... muszę jęj wysłuchać dla miłości Grochowskiego i Miaskowskiego, a ty dla mojej!

Stary wpadł szybko z łożówką w rękę, rzucając niespokojném okiem po książkach, i chwyciwszy rękopism, rozpoczął zaraz pieśń szóstą od inwokacji Ducha Wojny... Zagrzmiały ogniowne trzaski kłody (działa), zionęły paszcze ich płomieniem i gradem, i dobre pół godziny trwał bój okrutny rzeczy ze słowami, myśli z szatą, w której się ukazywała,—nareszcie niecierpliwy Hipolit klasnął w ręce i wstał.

— Wiesz zacny panie Benedykie—rzekł żartobliwie—w tej pieśni przeszedłeś sam siebie. Nic podobnego nie znam w całej literaturze naszej... bój homeeryczny, a największa sztuka, że wszystko umiesz powiedzieć unikając trywialności, przez omówienia pełne kunsztu i dowcipu... Kończ tylko, a uwijemy ci wiece...

— No! no! dosyć kpiarzu jakiś! uśmiechając się odparł Pleśniak. A kiedy mi odniesiesz Grochowskiego i pana Kaspra?

— Przygotuj-no tylko pieśń siódmą i Samuela ze Skrzypnój Twardowskiego, a będziesz mnie miał rychło.—To mówiąc ujął książki w jedną rękę, drugą pochwycił Szarskiego, i wyszli od pana Pleśniaka, który natychmiast świecę zdmuchnął i drzwi za nimi zarzynał.

— Masz tu jedną tylko próbkę literata—rzekł schodząc ostrożnie po przepaścistych schodkach Hipolit— a raczej tego, co ze słabiej głowy naśladownictwo zrobić może. Oto lat kilkanaście życia, których mógł użyć korzystnie na uczciwe poszukiwania historyczne, pogrzebał w tym poemacie, w którym poezji nie ma ani kropli, sensu ani odrobiny, żadnej myśli świeżej, jednej formy nowiej. Ale takich jak Pleśniak znajdziesz w różnym rodzaju po naszym świecie tysiące, przeznaczeniem ich było małpiarstwo, i ci nie mogą powiedzieć, że swojej nie spełnili misji. Rodzą się istotami biernymi, a los stanowi o tem co małpować mają; zaleci ich coś nowego czy starego, już pochwycili temat, i dość im na całe życie wątku do mozolnej łataniny. Jest coś w takich umysłach osobliwszego, ta naiwność, z jaką cudze biorą za swoje. Wczoraj powiedziałeś im myśl jaką, oni ci ją jutro oddają popsutą za własną, nową, za wyrosłą z ich głowy. Dość dla nich przespać się na cudzém, aby się stało ich własnością. Nie dodadzą nic nowego, nie wyrobiają, nie rozszerzają, ale zżują i wyrzucają, czego strawić nie mogli. Mniejsza o poemat, którego nikt czytać nie będzie; ale massy ksiąg wychodzą naksztalt tego poematu tworzonych na cudzej przędzy. Musi to

być na coś potrzebne, kiedy się ten fenomen powtarza, kiedy się to drukuje i rozchodzi; ale ja zawsze nie dziwię się niczemu więcej nad zrozumiałość tych ludzi, co pożyczanem piszą, pewni będąc, że się nikt na tém nie pozna. Pleśniak zresztą jest maruderem wielkiej armii klasyków, która nie uznawszy się za zwyciężoną, zwróciła ku larom i penatom, trąbiąc na odwrot jak na zwycięstwo...

Oprócz niego znajdziesz dokoła mnóstwo ludzi, co jak on, wierni dawnym bogom, palą im ofiary jeszcze, i literaturę po staremu za jakąś uważając zabawkę, trapią się akrostychami jak zadaniem kwadratury koła, lub po setny raz tłómaczą Ody Horacyusza, co raz je czyniąc niezrozumialszemi. W rodzaju Pleśniaka mamy historyków piszących od lat dwudziestu dzieje naprzykład trzech lat trzynastego wieku, o których trzech słów sumiennie powiedzieć trudno; zbierających materyały bez końca, bo nie wiedzą co zrobić z niemi. Geniusz odgaduje—oni gotowego nawet zrozumieć nie umieją; zawsze im mało jeszcze, zawsze czegoś braknie, zawsze pozostaną zawahani, czy bohater ich nazywał się tak lub owak, lub czy się z 15-go na 16-ty, czy z 16-go na 17-ty grudnia urodził.

Świat ludzi oddanych myśli i pióru jest tak ogromny, rozmaity i ciekawy—ciągnął przerywając sobie chwila mi professor Hipolit—jak inne światy boże; a kto weń spojrzy bacznie, napatrzy się dowoli osobliwości.

Oto na szczycie prawdziwi a niepohamowani poeci, których boleść, zapal święty, wiara gorąca, miłość wielka uczyniły wieszczami. Są to arcykapłani świątyni, wielcy ludzie, gdy z trójnoga ogłaszają wyrocznię ludowi, często znów do niepoznania drobną, gdy z niego zejść na ziemię. Jedna połowa ich życia za-

bija drugą. Kazałbym im jak cesarzowi chińskiemu schować się za zasłonę, i nigdy nie pokazywać inaczej, tylko w wielkich chyba uroczystościach; lub jak Sybilom rzucić księgi ludowi, a samym zniknąć. Żaden z tych olbrzymów nie może być ani całe życie sobie równym, ani ciągle poetą; ztąd męki dla niego i zdumienie ludzi. Śpiew nawet, który z ust ich nie ich wiedzą i wolą wychodzi, co lat kilka jest inny i barwę odmienia... słabnie... zwraca się w różnych kierunkach, ucicha. Poeta w końcu jak lampa, w której się olej wypalił, pozostaje zimnym naczyniem... Szczęśliwi, których pieśń młodzieńcza była śpiewem łabędzim. Niejeden z noszonych na rękę, który miał w piersi jedno tylko słowo do wypowiedzenia światu, nie umiając umrzeć w porę, to jedno słowo powtarza, gdy już dziesiąte po nim inne wygłosiły usta...

W drugim rzędzie stoją poeci jeszcze, ale to już nie olbrzymy owe, choć w nich płonie isierka czegoś, myśł jakaś drobna, dar jakiś maluczki. Czasem w ich żywocie jest chwila, że głosem wieszczów śpiewają, i omamiony tłum poklaskuje im jak wieszczom; ale resztę życia bawią się złapanym oklaskiem, nie mogąc nań drugi raz zasłużyć. Kiedy w nich młoda isierka zagaśnie, a popioły wyleją i zastygną, ludzie ci nie padają martwo jak wieszcz olbrzymy u ołtarza, żyją zręcznością i sprytem. Jak płazy, których rozcięte członki ruszają się długo nim skostnieją, oni też nieżywi udają życie. Nauczyli się, z obserwacji drugich i siebie, którędy chodzi uczucie, jak wygląda i jakim mówi głosem; udają więc wybornie czego już w nich nie ma, i zwodzą tych, co nie mają instynktu piękna, przez malpiarstwo tylko wznosząc ku niemu oczy. Są to poeci klasy niepoetycznej ludu, dla któ-

rój w sam raz te pieśni, jak dla pewnych pijaków bez smaku w gębie fałszowane wino szampańskie. Ci poeci będą ci robili i robili nieźle wszystko, poemat, dramat, odę, satyrę, bajki, epigrammata, według mody, formy i upodobania wieku... bo im to wszystko jedno czy szyć buty czy trzewiki... są to majstrowie-poeci...

Za nimi czy przed nimi idą, nie wiem, ci ludzie, którym Bóg dał poezję w duszy a związał usta, nie dając formy i sposobu wypowiedzenia co czują... Są to prozatorowie-poeci, coś nakształt lubowników muzyki, u których dusza pełna śpiewu, a w gardle brak głosu... litujmy się nad nieszczęśliwymi!

I dalej szeregiem długim... słudzy myśli, miłośnicy wiedzy... i kapłani, i massy...

Ludzie myślący są rzadcy: nie liczę tu tych, co jedną tylko myśl w życiu mieli i na nią zawsze jak Św. Marcin na białym koniu jeżdżą; ale o tych mówię, w których myśl żyje, wyrabia się, rośnie, potężnieje i samoistnie przerabia czego tylko dotknie. Ci są najnieszczęśliwsi z całego świata, wyjąwszy poetów. Oni wypowiadają, co wyśpiewują tamci... słowo przyszłości. Oni przepowiadają jutro, ale teraźniejszość jak Sokratesowi zawsze im płaci cykutą, oszczerstwem lub kamieniem za odwagę, z jaką zaglądają w drogę dla innych ciemną. Myśliciele rodzą myśl najczęściej, nie umiając ani wykołysać, ani wyhodować, ani nauczyć jej mówić... dzieci ich jak podrzutki Jana Jakóba chowają się w szpitalu. Pierwszy lepszy człek miernych zdolności i pracy przypije się do tego niemowlęcia i wyhodowawszy je, za swoje podaje światu. Z tych, których ludzie mieli za geniusze wielkie, połowa przynajmniej była tylko zręcznymi przywłaszczy-

cielami, którzy cudzym groszem kupili sobie sławę nieśmiertelną. Myśl rodzi się prawie zawsze w jakimś bezimiennym mózgu, a dojrzewa powoli w drugim, i często trzecie dopiero usta roznoszą ją po świecie, czyniąc dla ogółu przystępną:

Sic vos non vobis.

Za tymi idą miłośnicy wiedzy, którzy się obżerają faktami, i siakim takim cementem lepiąc te gruzy, uchodzą za wielkich budowniczych... Ich głowy mieszczą w sobie ogrom ładunku jak wielkie kupieckie okręty, a często samo zestawienie tego mnóstwa danych obok siebie, z porównania ich między sobą, daje coś nowego i niespodzianego. Do ostatniego rzędu ludzi tego rodzaju należą szperacze mozolni, komentatorowie, uczeni drobnostkowi, którzy czasem całe życie spędzają zasklepieni w jednej dacie i służą swym następcom za wyborny materiał, bo nie w tym makrokosmosie ducha nie jest bez użytku i celu.

Ludzie mniejszego talentu zawsze pracowitsi bywają od geniuszów, których natchnienie zabija, ale i ci mają przyczynę bytu i potrzebne stanowisko. Przy wielkiej budowie trzeba i wyrobnika, coby plac oczyścił, i tragarza, coby cegłę nosił, i osła nawet, coby woził wodę, i mistrza, któryby kierował robotą, stojąc sam z założonemi rękami, i bezmyślnych rzemieślników, coby w naznaczonej przezeń linii kładli wapno i kamień...

Dalekobyśmy zaszli, gdybyśmy chcieli całą tę rozmaitość umysłów i cały ten tłum pracowników przeglądać.. Naostatku położyłem podobno pisarzy-kapłanów, przejętych świętością powołania swego, bo ci też w naszym się wieku urodzili, a najmniej ich mamy...

Literatura, jak wszystko w dziejach świata, miała swe niemowlęce, młodzieńcze i dojrzałe lata. Zawsze byli poeci i pisarze kapłani, ale dziś dopiero może wiemy o kapłaństwie naszym, i szanujemy w sobie prawdę, której ołtarz otaczamy...

Ztąd żywot prywatny pisarzy uledeć musi potężnej reformie; bośmy się postrzegli, że z nieczystą ręką nie godzi się do świętych przystępować tajemnic. Pamiętamy jeszcze czasy, gdy nietylko geniusz, ale lada jaki talencik, do próżnowania, rozpusty i rozpasy dawał prawa; dziś jest lub być powinno wcale inaczej... geniusz i talent obowiązują do poświęceń i przykładu...

Tak rozmawiając, zaszli aż na Trocką ulicę; a Hipolit rozśmiał się z siebie, gdy postrzegł, że go tak daleko zaprowadziła rozprawa na *Władysławiadzie* poczęta.

— Dobranoc ci poeto — rzekł — i życzę, by ci się nie śniły ani pieśń pierwsza, ani szósta poematu starego naszego kolegi.

Tłómaczenie Bulwera, po przezwyciężeniu wstępu, szło dosyć szybko, a że księgarz chciał je wydać co najprędzej, by go kto nie uprzedził, i już był nawet wystąpił z szumnym prospektem, gdy mu tom pierwszy skończony przyniósł Szarski, zaraz go drukować kazał.

Z wypłatami jak zwykle były ceregiele, trudności, zwłoki i drobne szachrajstwa, ale na to nie było sposobu. Około czwartego tomu coraz gorszą i kwaśniejszą miną począł bibliopola przyjmować swego tłómacza.

Parę razy spotykał się u niego Szarski z Bazylewiczem; ale ostatni obrażony widocznie znalezieniem się Stanisława w cukierni, uchodził jak go tylko zobaczył.

— Coś to pan zrobił Bazylewiczowi? spytał wreszcie księgarz Szarskiego; co przewiniłeś przeciw majestatowi Iglickiego? Wszyscy są przeciwko panu.

— Ja? rzekł zdziwiony Szarski: prawdziwie nie wiem, czém się im mogłem narazić; chyba tém, że zawsze prawdę mówię lub uczuć ją daję.

— Jest to bardzo zły system, odparł bibliopola zimno: prawda nie zawsze jest rzeczą strawną...

— Ale zawsze potrzebną, dodał Szarski. Iglickiemu nie kłaniam się, nie pochlebiam, nie czapkuje, nie poję go, bo dla niego nie mam szacunku.

— Złote pióro! złote pióro! rzekł składając ręce księgarz. Każ mu pan co chcesz *ex abrupto* napisać, siędzie i taie aż strach! Szkoda jednak, że pan z nim źle jesteś... Co się tyczy Bazylewicza, talent zdaje się niewielki, ale takt ogromny, spryt przerażający, zna interes... pójdzie daleko! Ze wszystkimi dobrze, każdemu pochlebia, choć nie ma z kogoby nie drwił w duchu. Niby na oko ostro mówiąc prawdę, zawsze wie gdzie kogo szamerować, i wypowiada się z naganą tam, gdzie nie lubią tego, komu łatki przypina. A jeśli przypadkiem wśród klasyków napadnie na klasycyzm, trzeba widzieć jak on to robi zręcznie! Uchodzi więc za weredyka, a z ust jego słodkie słówko podwójną ma cenę... Doskonale zna przytém zakulisowe sprawy literatury, fizyologię prospektu, charakterystykę ogłoszenia; fascynacyę tytułu, siłę rzuconego dwuznacznie słówka... Szkoda, że pan nie masz jego zręczności, szkoda żeś go czémś obraził... Od niejakiego czasu z przekąsem mówi o panu...

— Cóż robić! odparł Stanisław z uśmiechem.

— On, Iglicki i kupa innych za nimi, krzykną na pana; a do początkującego jak tylko kilka strzałów choć z wiatrówek wypali, dosyć by, go zabić.

— To pewna, rzekł Stanisław: że ja zbyt może z wysoka i poważnie widzę literaturę, i nie mogę po-niewierać się w intrygach jakichś dla sławy. Jeśli mi jest co zarzucić, nie chcę, by milczano; prawda prędzej czy później musi się wykluć na wierzch. Jeśli zarzuty będą niesprawiedliwe, osobistością i niechęcią techną, odpowiem na nie; sąd ogółu zawyrokuję między nami.

— Ogół—rzekł coraz zimniej księgarz—jest zawsze za tymi, co drwią, nie za tymi, co rzeczy biorą poważnie. Druga zaś reguła: jeśli jeden przeczy, drugi twierdzi, przeczenie u ogółu ma zawsze dziesięć szans przeciwko jednój.

— Tém gorzej dla ogółu, rzekł Stanisław.

— Ale nie lepiej i dla pana, dodał bibliopola. Przyznam się mu szczerze, że jeszcze tłómaczenie pańskie nie wyszło, a już słyszę o krytyce... musiałem użyć całego mojego wpływu, żeby ją powstrzymać, szkaradnie, by rozkupowi zaszkodziła.

Stanisław nie miał dłużej ochoty rozprawiać, i ze wstrętem ledwie dosłuchawszy aforyzmów księgarza, wyszedł od niego zniechęcony. Szczęściem, bezpieczniejszy teraz trochę o chleb powszedni, którego wiele nie potrzebował, mógł znowu pracować swobodniej, iść gdzie go myśl niesła skrzydłata, i w tych zachwytach tworzenia znajdował nagrodę za kwasy i gorycze drugiej życia swego połowy.

W ciszy swój izdebki, sam z myślą swą tylko, nie-jeden wieczór spędził w rozkosznym marzeniu i wi-

dzeniach, na których wypowiedzenie nigdy może się mu nie miało wystarczyć.

Jasno stawały przed nim piękności tysiące, szleszcząc skrzydłami; ale ich obraz, ledwie pochwycy on okiem, znikał kiedy go chciał zatrzymać. Ten bój z ideałami uciekającymi w niebiosy, to rozbratanie się ze światem pospolitym i codziennym, dla drugiego lepszego, codzień więcej miało dla niego ponęty.

Zadumany, siadał jak bramin, otaczając się tworamami wyobraźni, i czytał wielką księgę dzieł, na którychby napisanie nie starczyło życia. Tysięczne pomysły, obrazy, plany wysuwały się dla niego z obłoków, przeciągały przed nim i nikły.

Życie poziome szło tymczasem w poręcz zaprzężone z rumakiem niebiańskiego rydwanu, zastanawiając co chwila w polocie pegaza brakiem siły i znużenia. Trzeba było rzucać poemat zaczęty, by tłómaczyć Bulwera dla chleba powszedniego, lub iść się z księgarzem ujadać, który był zawsze niekontent, czy z wolności, czy z pośpiechu w robocie.

Tomy téj nieszczęśliwej pracy drukowały się szybko i nareszcie wyszły na świat, a szumna reklama, dość niezgrabnie napisana, ukazanie się ich zwiastowała w sposób tak przesadny i niezręczny, że sam Stanisław przepowiedział drwiny, do których ona powodem być musiała.

Jakoż niedługo czekając, zjawił się w gazecie artykuł obejmujący niby rzut oka na pierwsze prace Szarskiego, a w istocie będący nielitościwem z niego i ostatniej jego roboty szyderstwem. Artykuł ten był bezimienny, ale w niektórych jego ustępach rozpoznać było łatwo złote pióro Iglickiego na tle mogącym do Bazylewiczca należeć. Numer gazety zawierający ten

paszkwil, sam bibliopola jako powód może do niedopłacenia za ostatni tom przekładu, przysłał Stanisławowi, który go z razu przeczytał zimno, ale rozmyśliwszy się, okrutnie zgryzł się i oburzył.

Sąd nie mógł być niesprawiedliwszy, ale za to płynął strugą żółci i sarkazmu. Pierwsze poezye u Dworca wydane, poemat Pryska i ostatnie tłómaczenie zgnieciono na miazgę, tam zarzucając naśladownictwo, ówdzie wyrzucaniem słowy próżnego dowodząc ugania się za oryginalnością. W ostatku sama rozmaitość rodzajów, w których próbował się Szarski, bronią się stała przeciwko niemu. Nazwano go *Deus ex machina* za to, że gotów był pisać poemat i tłómaczyć Bulwera jednym zamachem, tą gotowością zabijając talent jego. W tłómaczeniu pokazano nieznaną języka, błędy grammatyczne (o co przy pomyłkach druku było łatwo), pośpiech i pracę dla chleba.

Wszystko to osolone było tak mocno, że łyży potoczyły się z oczu biednemu chłopcu, czującemu się jakby zbryzganym tém błotem, jakby we własnych poniżonym oczach. Zwątpił on o powołaniu, o talencie, o przyszłości, o potędze myśli własnej, o wszystkiem.

Wieczór przeszedł w tych konwulsjach i miotaniu się, jakie wywołuje zawsze pierwsza w życiu doświadczona niesprawiedliwość.

I byłby może Stanisław skruszył pióro, w inny rzucając się zawód, gdyby professor Hipolit, przeczuwający wrażenie, jakie robi na nowicyuszu ten krwawy policzek nieprzyjaciół, nie nadbiegł ze słowem pociechy.

Dość mu było spojrzeć na Stanisława, by stopień jego rozpaczyny odgadnąć. Na stole zresztą leżała gazeta.

— Widzę jak na dłoni—rzekł śmiejąc się—co się z tobą dzieje. Myślisz porzucić pióro, chcesz się bić, chcesz odpowiadać, wściekasz się, gryziesz, wątpisz!

— W istocie, jest to wszystko razem co mówisz, i więcej jeszcze.

— Al' wszystko to jak ospa miniel! zawołał Hipolit. Zaszczepią ci obojętność jak mnie. Najprzód rozbierzmy, kto to pisał? Bazylewicz, którego obraziłeś śmiertelnie okazaną mu pogardą; Iglicki, który się darmo współuczestnictwa wypiera... Spotkałem go na ulicy: przysięga się że niewinien, ale go zdradza szpilkowanie. Jego krytyka jest czémś naksztalt wymyślonej owój bajecznej męczarni chrześcijańskich dzieci przez Żydów; całe ciało szpilkuje drobnutkami razami.

— Ale oni mogą mieć słuszność! zawołał Stanisław: ja może nie mam talentu!

— Zróbmy próbę, rzekł Hipolit: upój dziś Iglickiego, pogódź się z Bazylewiczem, a jutro ci napiszą *unctis viribus* apologię.

— Al' wartoż to żyć na takim świecie?

— Warto, żeby się śmiać z niego jak ja. Nie wszystko zresztą jest takim błotem jak ci panowie.

— Szkarada! o! szkarada!

— No! ale nie przerobimy ich... przerabiamy tymczasem siebie.

— Ja? siebie? jak to?

— Nie zrozumiałeś mnie: zostań czém jesteś, a przerób tylko nieszczęsną drażliwość swoją.

— Ja im muszę odpisać! zawołał Stanisław.

— Niewarto, bo ci iudzie sami nie wierzą w to co piszą... Ale jeśli ci koniecznie potrzeba splunąć, to co masz na sercu, wal, a mocno!

I tak Stanisław siadł do swojego drugiego artykułu do gazety, który silnie miał być apostylowany, żeby dostał honorów druku.

Wśród tych głosów tysiąca, które dyktują osobistość, niechęci, uprzedzenie, interesa, zawiść, ubarwione tysiącami ślicznymi powodami, kiedy się ozwie głos szczery, z serca, młody, szlachetny i czysty, dziwnie się odbija wśród téj brudnej wrzawy. Jest w nim coś tak waryacko-szczytnego jak w wyprawie Don Kichota. W historii krytyki od czasu jak Zoilów zastąpili ludzie co się niby na pewnej opierając teorii, poważnie o rzeczach sądzić mają... ledwie znajdziemy kilka głosów zupełnie beznamietnych, niepodejrzanych i sumiennych... są to fenomena i wyjątki. Reszta tłumy pisze, aby się odznaczać, aby błysnąć, aby pisać, podpisać się i popisać, aby zrobić bolesną komuś incyzję, a innemu przysługę i t. p. Nie powiem, żeby ci nawet krytycy z fantazyi, z potrzeby, zapłaceni, uproszeni, zniechęceni, nie mieli czasem trafić na coś słusznego i prawdziwego; owszem twory ludzkie ile ich jest, tak są wielostronne, że w nich łatwo zle odkryć i dobre. Krytyk, który chce być sprawiedliwym, szuka jednego i drugiego; namietny kosztem jednej podnosi drugą stronę, i w tém jest właśnie niesprawiedliwość i fałsz. W sądzie jego niknie cała jakaś strona utworu, a występuje dzieło przepołowione i rozcięte, czy je pochwała, czy gani.

Rzadki i bardzo rzadki jest człowiek sumienny, coby nieprzyjacielowi oddał sprawiedliwość, a przyja-

cielowi powiedział prawdę nagą; to też gdy głos podobny da się słyszeć, samą swą nowością i siłą pociąga ku sobie.

Takie wrażenie uczynił artykuł, który Stanisław napisał w swojej obronie... Nie była to prosta *oratio pro domo sua*, ale teoria krytyki, myśl wzniosła o posłannictwie i obowiązkach, przyznanie się do winy, śmiałe wskazanie grzechów własnych i cudzych... coś tak z serca wylanego, pełnego życia, ognia i talentu, że i gazeta chętnie tę gorącą umieściła obronę, i Szarski wyżej nią może stanął w opinii, niżeli wszystkiem co dotąd uczynił. Zresztą pokazawszy i odwagę, i siłę, onieśmielił swych nieprzyjaciół, którzy postanowili ostrożniej chodzić koło niego lub więcej mu w drogę nie wlażyć.

Po ukazaniu się téj odpowiedzi, przez kilka dni o niczem w Wilnie nie mówiono tylko o niej. Wrywano ją sobie w kawiarniach i cukierniach, czytano głośno po domach, a z powodu rozgłosu, jaki miała, i dawne pisma Stanisława ściągnęły więcej uwagi. Było w niej trochę ironii bolesnej, i niejedno namietne słowo podyktowane cierpieniem, któreby teraz, zimniej się zastanawiając, odmienił może Szarski; ale to właśnie może czyniło ten artykuł tak ponętym.

Iglicki spuścił nosa, ale teraz bardziej niż kiedykolwiek wypierał się zaczepki, a Bazylewicz umywał od niej ręce całkowicie. I stało się wypadkiem, że to, co najwięcej zaszkodzić miało poecie, najbardziej mu podobno pomogło.

Odebrał zaraz grzeczny bilecik od bibliopoli, zapraszający go na kilka słów do księgarni; a po ulicach tak go łapali najmniej znajomi, tak zapraszali

ledwie raz widziani ludzie, że Szarski nie mógł się téj zmianie usposobienia powszechnego wydziwić.

— Widzisz—rzekł Hipolit, który serdecznie radował się powodzeniu przyjaciela,—nie zawsze krytyka najzłośliwsza trafia do celu. Ci, których najczęściej przesładują, najwyżej z łaski jęj idą. Imię się rozgłasza, walka literacka je roznosi, i powoli to, co miało sławie zaszkodzić, daje sławę. To pewna, że Iglicki i Bazylewicz o kilka stopni wyżej niż byłeś na ramionach cię swoich podnieśli, do czego przyznać się wstydzą, choć i ich to w oczy kole. Zabójcza taktyka milczenia daleko jest szkodliwsza i rozumniejsza... ale jęj tylko wytrawni używają nieprzyjaciele. Umieć milczeć i nie widzieć, gdy co w oczy skacze, jest zawsze niepoślednią sztuką.

Szarski pobiegł do księgarza, który... o cudło! prosił go nawet siedzieć i potraktował hawańskiemi cygarrem. Nie było już mowy o tłómaczeniu.

— Pan dałeś dowód takiego talentu w nowém swém wystąpieniu—rzekł spekulant,—że literatura ma prawo po panu wymagać oryginalnego dzieła. Niechże ja to dziecię do chrztu trzymam... A nie masz pan czego gotowego?

— Coś jednego tylko, w nieokreślonym rodzaju, fantazyje, jakieś obrazy, coś nakształt powieści, niby romansu ułomki... ale prozą.

— A na miły Bóg, dawajże mi to pan! zawołał ściskając go księgarz, dawaj, natychmiast drukuję.

— Ale muszę wykończyć, poprawić...

— Pan popsujesz tylko! Rzeczy takie tracą na opiólowywaniu, trzeba je zostawić jak były stworzone... Kończenie i przekończenie to robota klasyków... Kie-

dyż to będziemy oglądali? a nadewszystko jaki będzie tytuł?

— Tytuł jest... *Fantasmagorye*...—rzekł Stanisław.

— Śliczny, cudny! wyborny tytuł! zawołał bibliopola w uniesieniu pan masz istotnie szczególny talent do tytułów! Jaka jest objętość rękopismu? dwa, trzy...?

— Ale jeden, i to mały tomik.

— Nie możnaby go nadsztukować, powiększyć? bo jednotomowe dzieła źle się sprzedają!

— Więcej nie dam nad to co jest... to nie moja rzecz zresztą, ale pańska.

— No, ileż pan chcesz za ten tomik?

Stanisław miał wstręt do targu, i od razu zerwał rozmowę, ale nie dał się tak łatwo odpędzić księgarz, i póty nalegał, póki owych fantasmagoryj nie nabył.

Było to coś w istocie bardzo dziwnego, jakby marzenia Jean-Paula, pomieszane z obrazkami Hoffmanna, ze śmiechem Molierowskim, z wykrzykami boleści Shakespearowskiemi; obok scen komicznych, dramat i tragedia, sielanka i satyra. I jak w godzinach wieczornych myśl puszczonej swobodnie snuje się, kłębi, barwi, ulata, fantastyczne wspomnień, nadziei i dziwacznych snów przybierając postacie... tak tu się mieszały sceny najsprzeczniejsze, stanowiące niby jedną całość, niedobrze zszytą dla tych, co lubią, by im scena za sceną jak żołnierze w szeregu stały, ale jednak jednolitą i pełną.

Wszystkie głosy duszy odzywały się w téj książeczce, w której autor chciał spróbować z kolei każdej struny swego ducha.

W literaturze była to właśnie chwila innowacyj, i ten silny wylew młodej duszy nie mógł przejść nie-

postrzeżony, bo się odcechowywał na tle ogólnem, właściwemi znamionami. Jak każdy młody, Stanisław więcej do niego czerpał z siebie niż ze świata, i to może czyniło go żywszym, prawdziwszym, bo wzór stał przed malarzem cierpliwie.

Nie dał mu pokoju bibliopola, póki rozrzuconych kartek, mających składać tę książczynę, nie połapał, nie pozszywał i nie schwycił, wcześniej ogłaszając arcydzieło.

I zła to była i dobra taktyka... Pół przynajmniej czytelników wierzy w arcydzieło przychodzące z patentem gotowym, drugie połowie mającej w sobie ducha opozycji, zawsze co ogłaszają co doskonałe, wyda się bladą. Dość jest cokolwiek bądź zbyt zachwalić, by się mniej dobrem pokazało. Że jednak ci, co sami przez się nie sądzą, liczniejsi są od tych, którzy własny jaki sąd mają, więc bibliopola dobrze się obrachował, trąbiąc za wczasu, że drukuje rzecz niezmiernie oryginalną, nową i przeznaczoną do wielkiego rozgłosu... kłamał nawet dziwy o wrażeniu, jakie rękopism zrobił na tych, co go czytać mieli, i t. p.

Tymczasem podrastający w sławę pisarz prowadził życie nędzy i rozkoszy, od jakiego począł swój zawód: marzył głodno, tworzył ze łzami, pojąc się pracą samą i nadzieją, że na głos jego tysiąc serc uderzy. Sława z jego ówczesnego stanowiska zdawała mu się tylko współczuciem spotęgowanem, zidealizowaniem, podniesionem do jednolitości chóru pełnego niebiańskich harmonij.

Nie rozbierał on jak Iglicki elementów sławy ludzkiej, która się składa, niestety! chemicznie ją biorąc z ciekawości, z głupstwa, z małpiarstwa, a najmniej może ze współczucia rzeczywistego, którego kropelka

na spodzie najróżniejszych ingrydyencyj leży utopiona w morzu obojętnych żywiołów.

Brał więc z wdzięcznością wszystkie otaczające go oznaki ciekawości za sympatyę, na której siłę rachować coś było można. Nie brak mu teraz było i znajomych, i zapraszających, i przyjaciół, którym słodko było nosić po mieście słowa jego powykręcane, mówiąc, że je z ust jego wczoraj jeszcze tak a tak słyszeli. W początku chodził wszędzie, tracąc czas na próżne przysłuchiwanie się czemuś szelestowi wyrazów i grzeczności; ale wprędce poczuł, że to nie karmi, że to jest życie, w którym przyzwoitości i formy wszystko a wszystko zastępują, a na korzyść ślepych nikomu nie wolno przyznać się, że od nich widzi więcej. Błądził więc wśród tego zbiorowiska ludzkiego osamotniony znowu, smutniejszy niż kiedy, bo nie miał ani Sary, którejby spojrzenie śpiewało mu poemata, ani widoku boleści Dormudowej, dojmującej, ale wyzywającej do czynnego udziału, ani pocziwych towarzysów, wiążących się z nim tylu wspólnymi myślami.

Wszystko to rozleciało się po świecie, rozniosło, znikło, rozwiało... Stanisław chodził jeszcze często na ulicę Niemiecką, a mijając dom Dawida Białostockiego, spoglądał w okna ku swojemu poddaszu, a nigdy nic tu nie przypominało mu chwil bezpowrotnie, ciężko, ale rozkosznie spędzonych. O Sarę zapytać nie śmiał; szukał ję tylko oczyma napróżno i znaleźć nie mógł.

Dawni znajomi przenieśli się gdzieś wszyscy daleko, a tak ich serce pragnęło!

Raz czy dwa przemknął mu się powóz księcia Jana i Adeli, i temu nawet rad był zjawisku, choć na widok Adeli pierś się już nie poruszała.

W domach, w których bywał, nie do niego głębiej nie przemawiało; śmiały się usta, iskrzyły oczy, wyciągały dłonie, ale z nich nie dobywało się nic istotnie sympatycznego; ludzie zimni nie dają się pokochać gorąco. Ze starych przyjaciół jeden mu pozostał Hipolit...

Tęskno było Szarskiemu, ale i tęsknica sieje poezję w duszy; błogosławić ją był powinien, choć nie raz oblewał łzami. Któż nie cierpiąc był poetą? i komu za piastunkę nie służyły boleści? Szczęście usypia tylko...

Tajemnica, okrywająca dla niego los Sary, której rozwiązać nie mógł czy nie chciał, jedna jeszcze jakimś węzłem łączyła go ze straconą przeszłością. Nie łatwiejszego może nie było nad pytanie o nią; ale Staś tak się obawiał znaleźć swój ideał splugawionym, spopolitowanym, uwiedłym, że wołał nosić go w duszy, jakim mu pozostał. Wiedział już smutnym doświadczeniem, że piękne kwiaty wiosny przerastają w dziki chwast i burzany, w których potem ich nie poznać. A tak smutno! tak smutno patrzeć na tę metamorfozę!

Serce młode musi czémś żyć przecie, nie może pozostać próżnym: potrzeba mu albo wspomnień przeszłości, albo nadziei, albo marzenia i gorących uczuć, któreby niém miały codzień, w nowe rzucając otchłanie, codzień na nowe unosząc wyżyny.

Dla Szarskiego tém życiem była uboga jego przeszłość, i choć dni spędzone na strychu w żydowskim domu ciężkimi opłacił prywacyami i nędzą, miło mu było przywozić je na pamięć, z obrazem pięknej Sary. Jój wejrzenie gonilo za nim ciągle, a wzrok, któ-

ry spotkał, gdy raz ostatni zjechali się na ulicy, tkwił w nim jak pocisk gorący.

Gdziekolwiek wyszedł, machinalnie kierował się zawsze jeszcze przez tę brzydką i niemiłą Niemiecką ulicę, teraz pustą, ale pociągającą go ku sobie. Zdawał się czuć, że z przeszłością nie zerwał jeszcze całkowicie, że w losach jego ten dom, te lata muszą się jakąś boleścią odezwać.

Jednego wieczoru w godzinie mroku, powracając od doktora Branta na ulicę Trocką, skierował się wedle zwyczaju przez Niemiecką. U kamienicy Dawida zwołnił kroku, i wzrok sam poszedł szukać w oknach, czego w nich od dawna nie znajdował. Pierwszy raz podobno od czasu, jak się tędy przechadzał, w jednym z okien pierwszego piętra poruszyła się firanka, mignęło światelko, a tego drobnego znaku życia dość było, by wywołać marzenia, bicie serca i niepokój. Stanisław jednak przeszedł szybko, nie zatrzymując się nawet, i wpadł do izdebki, wyrzucając sobie słabość swoją.

— Co za dzieciństwo! wołał gniewając się i miotając: dozwolić sercu takiego panowania nad głową! Między nią a mną może być co wspólnego? byłoż co wspólnego? byłoż co kiedy jednoczącego nas prawdziwie? Trochę litości mogłaż mnie sobie zakupić na zawsze? Jest-li to tylko wdzięczność? czy niepohamowane jakieś bez nazwiska uczucie?

Wstrząsł się na myśl namiętności niedorzecznej, do której dość było iskierki, aby ją rozniecić z niedogasłych popiołów.

I począł własnymi rękami rozwalać zażarcie budowę wyobraźni i rozkołysanego serca.

— Na chwilę wydać dobre to i piękne izraelskie

dziewczę wydać mi się mogło czémś idealném.... a! bo idealnie była piękną!!... ale dziś! kiedy z nię zapewne prosta już tylko Żydówka, kiedy dziewiczy urok jęj roz-
wiał się dotknięciem życia, trzeba być szalonym, aże-
by marzyć jeszcze, szalonym i słabym—by kochać...

Nie pomogły nic jednak rozumowania i walka z so-
bą: Stanisław położył się rozmarzony na całonocną
bezsensność. Księżyc, który wkrótce izdebkę rozświe-
cił, do snu mu jeszcze swym blaskiem przeszkadzał,
i po próżnych usiłowaniach sklejenia powiek zmęczo-
nych, Stanisław jakby w gorączce jakiejś wstał, ubrał
się i wyleciał na miasto.

Oświecone księżycem w pełni ulice, już prawie by-
ły puste, a długie linie tych białych murów, połama-
ne głębokimi cieniami, tworzyły dziwny obraz jakie-
goś zaczarowanego, skamieniałego grodu. Chwilami
nie nie rozbijało tego uroku fantastycznego, bo żywa
dusza nie pokazywała się nigdzie.

Szarski opanowany wspomnieniami, pobiegł wprost
na ulicę Niemiecką... W kamienicy Dawida na pierw-
szem piętrze widać było trzy okna oświecone... Po-
znał, że to pokój Sary; sam nie wiedząc dla czego sta-
nął u bramy.

Wtém stara Żydowica, dawna sługa domu, z zało-
żonemi rękoma czekająca na coś u wrot, zobaczywszy
go, chwilę już stojącego nieruchomie na miejscu, zbli-
żyła się i zajrzała mu w oczy, a poznawszy go aż krzyk-
nęła.

— Aj! Gewalt! a to jegomość! A co jegomość tu ro-
bisz?

— Gdzie twoja pani?

— Jaka pani? kupcowa Dawidowa?

— Nie... córka jęj, Sara.. — dodał ciszej, obawia-
jąc się swego głosu.

— Herszt! a gdzie ma być? tu jest! My dziś tu
z Kowna przyjechali w gości... A cóż wy chcecie?

— Nic nie chcę... nie... ale Sara.. zdrowa?

— Niekoniecznie, pokiwała głową mruczając Ży-
dówka; a widząc, że Szarski powoli się oddala, weszła
także do kamienicy.

Stanisław dobiegł do końca ulicy Niemieckiej, i za-
wrócił się znowu. oczu nie mogąc oderwać od oświe-
conych okien. Gniewał się i burzył przeciwko sobie,
ale to nic nie pomagało; wzburzone serce miotало nim
jak chciało.

Raz i drugi przeszedł się pod oknami, noc coraz
stawała się cichszą, ciemniejszą, miasto poczynalo uspa-
kając się i usypiać, gdy po raz trzeci mijając kamie-
nicę, (przysięgał sobie, że to ma być ostatni), zdało
mu się, że postrzegł jakby cień jakiś białych we wro-
tach. Zastanowił się, oddech wstrzymując; postać po-
stała nieśmiało, i Stanisław pchnięty jakimś prze-
czuciem, w progu bramy spotkał się z Sarą, na któ-
rą twarz zbladła, zmienioną, zbolala, padły promienie
księżycy.

Nic nie mówiąc, Izraelitka chwyciła go za rękę,
i dysząc wstrzymała go tak chwilę przy sobie, topiąc
w nim czarne swe oczy. On także chciwie po tak dłu-
giem niewidzeniu przypatrywał się tój, której obraz
w sercu nosił—ale zaledwie mógł ją poznać! Cień to
był tylko pięknój Sary!

Znikł z jęj lica ów kwiat młodości, owa świeżość
rozlana po całej twarzy, a oczy tylko palniejsze jeszcze,
płomienistsze, gorzały na tych ruinach. Usta jęj drga-
ły niewysłowioném uczuciem, ale przemówić nie mogła.

I stali tak chwilę w rozkoszném a pełném niepokoju milczeniu.

— Dowiedziałam się... domyśliłam... przeczułam, odezwała się nareszcie Sara głosem przerywanym.

— A ja!—odparł Stanisław gwałtownie—nie wiedząc czemu, nie mogłem dziś wyjść z téj zakłętéj ulicy.

Mówił to do kobiety, do której nigdy inném niż zimném nie odezwał się dotąd słowem, i zdało mu się w tém odurzeniu gorączkowém, że wszystkie myśli, cierpienia, całe dzieje serca jego były jég znane i jawne. Sara nie zdziwiła się temu ciągle trzymała rękę jego drżąc, ze strachu, czy wzruszenia.

— A! dobrze—zawołała cichym, słabnącym głosem,—dobrze, żeś was znalazła... Wybawisz mnie, uratujesz... Ja jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa...

Dwie łzy błysnęły w jég oczach,

— Ja! gdybym mógł rzekł Szarski,—ale cóż ja mogę?

— Ja nie wiem... trzeba, byś mnie ratował, bo umieram, bo ginę...

Pierwszy to raz Sara przemówiła tak namiętnie, z takim wyrazem boleści, a w mowie jég znać było, że wprzód już językiem tym mówiła sama z sobą, że się stał jég własnym i jedynym.

— Cóż mam robić? mów... zrobę co zechcesz!

— A! uwolnij mnie od nich! Ja z nimi żyć nie mogę... mnie to życie zabija... Ucieczem, skryjem się...

To mówiąc, zapłakała.

— Mąż, jego rodzina, wszyscy, aż do moich, do tych, co mnie kochali, uwzięli się mnie dręczyć... Ja im mówiłam, że nie będę niczyją, że chcę pozostać

wolną; oni mnie ciągną gwałtem w swój krąg, w swój świat... nie mają litości! nie mają litości!

— Ale cóż począć! zawołał Stanisław. Ja tak nie znam życia, że nie wiem sposobu... sam sobą kierować nie umiem. Mów, co mam zrobić?

— Co robić! a! w świat uciekać! krzyknęła Sara rzucając mu się na szyję — daleko, gdzieś, daleko, gdzieby mnie ani dziad Abram, ani mąż, ani teść, ani nikt z nich dogonić nie mógł... Szpiegują mnie... do zobaczenia... jutro!

To mówiąc, na szelest jakiś w podwórzu, Sara wyrwała mu się i znikła; a Stanisław instynktowym pchnięty strachem, szybko oddalił się od kamienicy.

Zdało mu się w początku, jak gdyby ktoś biegł za nim i gonił, kilka razy mignął cień w ulicy, kryjąc się po załomach, ale to widzenie zaraz z oczu mu znikło. Nie ośmielił się jednak wprost wrócić do domu, bojąc się jakiegoś szpiegowstwa i pokluczywszy po ulicach, późno bardzo powrócił na Trocką.

Chwila téj rozmowy w bramie była dla niego jakby nowego jakiegoś życia początkiem. Kilka jég słów bolesnych, skargi, żale, prośby, wszystko to razem z gorącym uściśnięciem dłoni, z tą twarzą, na której boleść wyrzyła ślady tak straszliwe, wraziło się w bijące uczuciem serce jego. Rozpoczął nowy żywot od nieznanéj mu jeszcze męczarni. Co miał przedsiębrać na jutro? opuścić ją, czy pójść znowu? mógłże jég być pomocnym? gdzie z nią uciekać? jak jég ułatwić ucieczkę? nie mając o czém, nie wiedząc jak pierwszy krok postawić? Godziłoż się znowu rzucać ją obojętnie na pastwę dręczącym ludziom bez serca?

Myślał, rwał się i łamał ręce, przekonany o nieudolności swojej; a niczyjéj rady zasięgnąć nie mógł

bo cudzą tajemnicą dzielić się nie godziło. Ranek schwytał go w tój niepewności, a dzień dopiero jasny uspokoił nieco marzenia, które w blaskach jego zdały się gorączkowemi przywidzeniami. Padł na łóżko i usnął snem kamiennym. Mrok już znowu szarzał, gdy się Szarski przebudził, i w jednéj chwili wszystko mu żywo i wyraziście przyszło na pamięć. Porwał się, sam nie wiedząc co pocznie i poleciał na ulicę Niemiecką.

Zgiełk na niéj był jeszcze wielki, a Szarski wmieszawszy się w płynącą ciżbę, puścił się przeciwną stroną ulicy, z którój mógł lepiej widzieć okna Dawida Białostockiego. Nic w nich jednak nie dostrzegł, coby życie oznajmowało; zasłony były spuszczone; w bramie jak na czatach stała wczorajsza Żydowica.

Obwinawszy się płaszczem, aby nie być poznany, przeszedł raz, drugi i trzeci pod oknami, czekając aż się ciżba przerzedzi; wreszcie gdy pusto się już zrobiło, podszedł pod wrota i zastanowił się. W chwilę potem uczuł się pochwyconym za rękę, i kobieta zakwefiona, obwinęta jakimś płaszczem, gwałtownie pociągnęła go za sobą.

Szarski nie wiedząc dokąd, począł biedz z nią razem przez kawał ulicy. Sara z instynktem dziwnym kierowała nim z ulicy jednéj na drugą, z zaułka w zaułek, i nie mówiąc słowa, przeleciała tak z nim aż na Ostre Przedmieście. Tu wreszcie znużona biegiem i przestachem, osunęła się i padła pod murem jakiegoś ogrodu, nie puszczając ręki Stanisława.

Długo jeszcze przemówić nie mogła; podniosła wreszcie głowę, spojrzała na niego, i błagającym zawołała głosem:

— A! uratujesz mnie! uratujesz!... Ja już tam po-

wrócić nie mogę... Prowadź mnie dokąd chcesz... pójdę za tobą...

— Ale oni cię ścigać, szukać i odkryć muszą nareszcie.

— Naówczas — odezwała się Sara — pójdę na Zielony most i w Wilię się rzucę... dość już mam tego życia.

To mówiąc poczęła płakać gorzko, zakrywając oczy; a na widok tych łez, Szarski poczuł w sobie odwagę i siłę... rozpacz jakaś otwierała mu oczy.

— Słuchaj Saro, rzekł: jeśli zostaniemy razem, oni ciebie odkryją.

— Uciekajmy daleko!

— Ja nie mam o czém uciekać, jam tak ubogi jak byłem, ze wstydem odezwał się Stanisław. Praca mnie tylko żywi.

— To, co mam, wystarczy dla nas obojga, odpowiedziała Sara; ale uciekać daleko! uciekać potrzeba! uciekać!

— Nie... rzekł Szarski czekaj.. W Wilnie bezpieczniej może niż gdzieindziej... Chodźmy i szukajmy sposobu ukrycia się. Nie poprowadzę cię do siebie, tamby nas najprędzej znalezione; musimy na czas jakiś się rozstać, bo szpiegować nas będą... ale ocale cię od ich prześladowania.

To mówiąc, Szarski zawołał przejeżdżającego dorożkarza, i nakazawszy milczenie Sarze, która płakała ciągle przytulona do niego, pojechał z nią razem ku ulicy Trockiej. Tu nie dojeżdżając do mieszkania swego, dorożkarzowi kazał się wstrzymać na ulicy, a sam pobiegł wprost do Horyłki.

Zacny gospodarz pił właśnie ponczyk w swéj izdebce, w którój zwykł był z kilku dobranymi przyja-

ciółmi przy maryaszu pędzić wieczory, gdy Stanisław zapukał i wywiódł go z sobą.

— Panie Horyłka — rzekł — potrzebuję twojej pomocy; musisz mi jęj udzielić... tyś tak uczciwy człowiek...

— Ale dalibóg pieniędzy nie mam! — przerwał poprawiając mykę Horyłka.

— Tu nie o to chodzi... możesz ich nawet dostać!

— Rzeczywiście, żem człek uczciwy i honorowy, to wszyscy wiedzą... No! co potrzeba, co potrzeba, byle nie pieniędzy!

— Potrzeba mi — rzekł rumieniać się Szarski — stancyjki skrytej trochę, nie na oczach, bezpiecznej.

Horyłka poprawił myki z drugiej strony, i rozśmiał się w kułak po cichu.

— Aha! złapał Kozak Tatarzyna... Nie mów pan da-léj... rozumiem... było się młodym... Taka stancyjka jest u mnie...

— Nie! tu być nie może... naraj mi gdzie domek na ustroniu, daleko..

— Czemuż nie u mnie? czemu nie u mnie?

— Nie, bo nie... wyszukaj co innego, panie Horyłko! Gospodarz się zamyślił.

— A jest — rzekł — za Zielonym mostem, cioteczny mój brat Gilgin; napiszę do niego karteczkę... ale...

— Pisz, a prędko...

— Kobieta? spytał Horyłka, ciekawie patrząc w oczy.

— Pisz, a prędko, a prędko!

— A za następczenie? coś kapnie?

— Co zechcesz!

— Ba! pobogaciałeś pan!... No! no! targować się

nie myślę... piszę, a w rachunku postawi się skromna cyferka... niech się pan nie obawia... Zaraz za Zielonym mostem, domek niepozorny, stancyjka na górze, niczego. Lokowały się już tam różne jejmoście i jejmościanki... ale to tak daleko, że już od roku izdebka pustką stoi podobno.

Porwawszy kartkę Horyłki, Stanisław wybiegł z gospody i pośpieszył do rzuconej na ulicy Sary, której się już obawiał nie zastać, ale czekała nań drżąca i przełknięta; a w chwilę później lecieli oboje do domku Gilgina.

Zaledwie miał czas umówić się o to mieszkanie i spojrzeć w twarz gospodarzowi Szarski, wnet lękając się pogoni, szpiegowstwa, śledzenia, ściśnięciem ręki tylko pożegnał Sarę nie wiedząc na jak długo. Nie mógł nawet przyrzec, że ją odwiedzi, póki mogące nań paść podejrzenia usunięte nie zostaną. W poł drogi na Trocką, niepokój opanował go nowy, i zawrócił do profesora Hipolita. Kosztowało go wiele, rady w tém jego zasięgać; ale czuł potrzebę ubezpieczenia Sary, a sam nie umiał przedsiębrać środków, których myśl jego nie szukała nigdy, o których nie marzyła.

Oślupiał professor, gdy rzuciwszy mu się na piersi Stanisław, opowiedział wszystko co go od dwóch dni spotkało.

— Zgubiony jesteś! zawołał: będziesz prześladowany, odkryty, rozkochasz się do rozpacz... Rzuć ją i sam uciekaj z Wilna.

— To być nie może! stanowczo rzekł Szarski Radź inaczej, daj mi dla niej jakie bezpieczne schronienie. Zginę, ale jęj nie opuszczę. Kocham ją, powierzyła mi się... to niepodobna.

Długo i usilnie starał się go odciągnąć od tego

postanowienia Hipolit; ale ulitowawszy się wreszcie męczarni, chwycił go za rękę i rzekł:

— Dotąd to tylko poświęcenie jeszcze, i miłość szalona, ale czysta... Cóż poczniesz, jeśli cię namiętność jój uniesie i spodli?

— Nie bój się, odpowiedział Szarski im więcéj ją kocham, tém pewniejszy jestem, że ją uszczynować potrafię.

— Ale pewienże jesteś, że ci się nie rzuci na szyję, że nie stracisz pamięci... że nie ulegniesz?...

— Na Boga! Hipolicie, dosyć dręczyć, radź i ratuj... czas uchodzi...

Professor Hipolit, po długim wahaniu, dał mu wskazówkę jakąś do domu położonego na Bakszcie, w którym dwa pokoiki niezajęte być miały; a Szarski zwrócił się znowu na Zielony most, odmieniwszy tylko zhasane konie.

Zastał Sarę leżącą na ziemi i płaczącą rzewnemi łzami... Na widok swojego zbawcy, rzuciła mu się na szyję, i łkając gwałtownie, poczęła go dopytywać, czy ich nie gonią?

— Zabieraj co masz, i jedź ze mną... co najprędzej... co najrychlej... nim się gospodarz opatrzy... Nie zupełnie pewien jestem Horyłki... trzeba gdzieindziej szukać schronienia.

Sara porwała tylko zawiniątko, otuliła się znowu swoim płaszczem, i pierwsza zbiegła ze schodów, a Gilgin ani się spostrzegł, jak mu lokatorowie uciekli.

Noc już była późna, gdy na zamówione mieszkanie u Bakszty przybyli, zastawszy je zimnem i ciemnem. Była to niemal pustka, z oknami na tył obróconemi; snadź dawno nikt w niej nie mieszkał, na dole tylko był jakiś rzemieślnik, który zawiadował kamieniczką,

a u niego niewiele się w co zaopatrzyć było można. Szczęściem żonę miał ciekawą i wścibską, od dawna skazaną na głód, bo nikt u nich nie mieszkał. Jój troskliwości powierzywszy Sarę, która bojąc się kradzieży, oddała odjeżdżającemu ciężkie jakieś pudelko zawierające jój mienie, Szarski znowu pośpieszył do domu.

Księżyc znowu jasno przyświecał, w ulicy widno było jak we dnie... z daleka już postrzegł Stanisław Horyłkę, Hersza i kogoś trzeciego, stojącego jakby na naradzie we wrotach. Na widok przybywającego, rozpierchli się zaraz, a Horyłka sam później nadszedł, gdy Stanisław wysiadał.

— A co? zapytał podstępnie pan spodziewam się kontent z lokaty? Izdebki wcale ładne... daleko to prawda... ale za to bezpieczne... Jakże się panu wydało?

— To bieda, rzekł Stanisław chmurno: że nie mam tam już kogo umieścić...

— No? jak to? co pan mówi? jakże? z wielką ciekawością przystępując, rzekł gospodarz. A cóż się z nią stało?

— Z nią? odparł Szarski... Osoba, o której mowa, jechać mi odmówiła, chociem się jój spodziewałem... nie chciała mi być ciężarem... powróciła do domu...

— Powróciła! splasnął w ręce Horyłka. Ot tobie masz! A moje trzy rubelkil wszak trzy?

— Zapłacę!

— Dziękuję panu, bo cóżem ja winien, że powró-

ciła? One to wszystkie takie ile ich jest... co do nogi... i moja nie lepsza... Ale jakże się to stało?

— Daj mi pokój panie Horyłka... jestem strudzony, potrzebuję spoczynku, a mówić o tém mnie boli.

— No! to dobranoc!

Gospodarz wyszedł, słyhać było jakieś szepty w korytarzu, długo w noc trwało chodzenie, narady, jakiś niepokój w gospodzie, nareszcie ucichło... Stanisław zarygłował drzwi, a pudełko powierzone mając jutro odwieźć do Branta, zarzucił tylko bielizną, aby go kto nie zobaczył.

O świcie niemal obudziło go gwałtowne stukanie do drzwi.

Był to usługny gospodarz, niosący sam kawę raną Szarskiemu.

— Dzień dobry! Myślałem, że już pan wstał... Jakże się spało? Może panu potrzeba usługi? Hersz poczciwy i sprawny stoi na rozkazy, i mój Piotrek także. Ale, ale! jest tu ktoś, co się chce widzieć z panem.

— Kto?

— Nie znam, podobno kupiec jakiś!

— Tak rano?

— Mówi, że to coś pilnego.

— Pilnego? wprowadźże go pan proszę...

Przeczuwał już Szarski co go czekało — jego, co kłamać nie umiał, któremu najmniejszy fałsz palił usta. Potrzeba było przyjąć albo walkę otwartą, niebezpieczną, zgubić ją, lub kłamać i udawać! Musiał, ale cierpiał, i płomień go oblewał na samą myśl fałszu, którym się splamić musiał.

Drzwi się otworzyły, i wszedł blady, z zaciętymi usty, z niespokojnym wejrzeniem Dawid Białostocki.. Nie kiwnąwszy nawet głową, nie skłoniwszy się, nie

rzekłszy słowa, wprost szybko przybliżył się do łóżka.

— Poznajesz mnie pan? począł z rozziewającym wyrazem rozpaczy. Com ja ci winien? co? powiedz?

— Co to zapytanie ma znaczyć? usiłując spokojną i zdziwioną przybrać minę, odpowiedział Stanisław. — Co to jest?

— Nie udawaj pan! — sucho i pogardliwie niemal zawołał Żyd. Ja wiem. Nikt inny nie mógł jęć pomóc do haniebnej ucieczki.

— Komu?

— Nie próbuj pan kłamstwa, to darmo! Widziano pana krążącego około domu wczoraj i pozawczoraj! Pan ją wywozłeś! Dokąd? nikt o tém prócz was nie wie. Powiedz pan, gdzieś ją ukrył? oddaj nam dziecko nasze! oszczędź wstydu!... Mów co chcesz, dam ci co zechcesz!

— To waryat! zakrzyknął rzucając się na łóżko Szarski.

Na krzyk ten Dawid schwycił go silnie za rękę.

— Milczeć! rzekł groźnie. Mówmy rozumnie, bo źle być może! Mój dom zostanie zhańbiony, ale pan pójdziesz pod sąd, w kajdany, na zsyłkę! Wyszukam córki, a twoją głowę kupię choćby tysiące kosztować miała!!

I oczy straszliwe groźbą wlepił w Stanisława, który znalazł w sobie siłę od tego wzroku nie zadrzeć.

— Kłamstwo się tu na nic nie przyda, dodał Żyd. Wiem o wszystkim. Widzieliście się pozawczoraj; wczoraj uwiozłeś ją pan za most Zielony do domku Gilgina... Gdzie ztamtąd?

— A cóż ci do tego, gdzie ja jakąś obcą tobie uwodził kobietę? zawołał Stanisław.

— To była Sara! to była córka moja!

Stanisław rozśmiał się, ale niezręcznie.

— Co ci jest panie Dawid? spytał jak mógł naj-
zimniej. Wszak córka twoja w Kownie? Prawda, że
wczoraj zawiózł kobietę do domku Gilgina, ale ta ko-
bieta...

— To była Sara! to była Sara! krzyknął Żyd wście-
kając się.

Stanisław zamilkł, bo usta jego nie puszczały
kłamstwa.

— Przywykliście gardzić Żydem, mówił dalej ku-
piec drżący cały. Zwałać dom jego to niczem dla was.
A i tu—rzekł w piersi się bijąc—i tu jest czucie i ser-
ce! i nam droga pocziwość i imię nasze! Co się
stało nikt nie wie jeszcze... oddaj nam pan Sarę...

— Ale ja nie wiem o czém i dla czego to do mnie
mówicie?...

Żyd w rozpaczliwój niecierpliwości przeszedł się
po izbie parę razy.

— Zginiesz więc! rzekł. Nasz wstyd nie pójdzie
darmo!

— Ja nie rozumiem czego chcesz odemnie?

Dawid wpatrzył się w niego.

— Mieszkałeś—odezwał się po chwili—pod dachem
naszym, jadłeś chleb mój, i zdradziłeś jak poganin,
co nie zna Boga! I to wy gardzicie Żydem? Cha! cha!
I to wasz Bóg każe wam żony porywać od mężów,
dzieci odbierać rodzicom, siwe kalać włosy, gubić ca-
łą rodzinę?... Ty wiesz, że ona bogata ze mnie i z mat-
ki... ty chcesz jój pieniędzy, nie piękności, którą wy-
plakała... Słuchaj, goimie przeklęty!—zawołał z gniewem—dam ci jój posag cały... Ale mi ją oddaj na-
tychmiast, póki się wstyd mój nie rozgłosi... Zapłacę

ci co zechcesz... Żyd skapy, mówicie... dam pół tego,
co mam—dam do ostatniego grosza...

Stanisław nie wiedział już co odpowiedzieć. Byłby
się może zdradził, ale wybladła twarz Sary stanęła
mu przed oczyma i litość ścisnęła za serce.

— Szalejesz waćpan, rzekł głośno; a jeśli straci-
łeś córkę, nie dziwię się boleści i przebaczam obel-
gi... Cóż chcesz, bym na to poradził? ja nic nie wiem!

Dawidowi oczy błysły, poskoczył do stolika, chwy-
cił z niego mały krucyfiks drewniany, który Szarski
miał od matki, i przynosząc go do łóżka, zakrzyknął:

— Przysiążże mi, zbójco, na twego Boga, żeś nie
winien?

I była chwila długiego, strasznego milczenia;
a Szarski śmiertelnym oblany potem, schwycił się
z łóżka, wołając o ratunek głosem potężnym, który
się rozległ po całym domu. Dawid rzucił krucyfiks
i znikł we drzwiach.

Tuż za nim Horyłka, Hersz, chłopiec, słudzy wpadli
do pokoju, wołając wszyscy:—Co się stało?—dopytu-
jąc o przyczynę krzyku. Ale Szarski nie mogąc wy-
mówić słowa, wskazał im tylko leżący krucyfiks.

W téj chwili doktor Brant, niespokojny o Szar-
skiego, którego dwa dni nie widział, wtoczył się tak-
że zdumiony tą wrzawą do pokoju...

Przyjście jego wybawiło może nieszczęśliwego od
napaści jeszcze niebezpieczniejszój i rozdrażnienia,
które mogło doprowadzić do szaleństwa. Jak ku
zbawcy swemu rzucił się ku niemu Stanisław wzru-

szony, ze łzami w oczach, z przerwanyim oddechem, w stanie trudnym do opisanja, a tak podobnym do choroby, że z razu lekarz wziął to za jakąś słabość i za puls go pochwycił.

— Co ci jest? zawołał: choryś?

— Nie, ale nieszczęśliwy! odpowiedział Stanisław— o! bardzo nieszczęśliwy...

— Mów, mów, może ci się zdam na co... Co to za wrzawa? co znaczy ten Żyd, który ztąd wybiegi? ten krucyfiks?

Ale Stanisław widząc przeze drzwi zagląających Horylkę, Hersza i sługi, nic odpowiedzieć nie mógł wyraźnie.

— Jakaś napaść dla mnie niepojęta, rzekł dając znaki doktorowi. Jedźmy razem, muszę się skarżyć... muszę ubezpieczyć...

Lekarz nic tego wszystkiego nie rozumiejąc, ruszył ramionami i usiadł, a Szarski żywo ubrawszy się i pod płaszcz włożywszy szkatuleczkę Sary, dał mu znak, że jechać mogą.

— Dokądże jedziemy? spytał doktor.

— Gdzie chcesz!... Teraz dopiero całe serce ci moje otworzyć mogę, rzekł Szarski, ujrzawszy się w ulicy. Słuchaj i ulituj się nademną.

I rozpoczął mu historję swoją, nie z niej nie opuszczając, aż do ostatniego niespodzianego jój rozwiązania. Brant milczał, tabakę zażywał, ramionami ruszał, ani dostrzedz było podobna co czuł i myślał.

Skończył wreszcie opowiadający, i chwytając dłoń lekarza zawołał:

— Ratuj mnie i ja, weź pod opiekę swoją. Oto jój mienie całe... Ja nie podolał prześladowcom. Żyd zagroził mi sądem, zsyłką; nie zląkłbym się tego, gdy-

by tu tylko o mnie chodziło, ale gdy ja zginę i ona zostanie bez podpory, bez przewodnika... Doktorze, w tobie jednym nadzieja!

— Ha! ha! odparł Brant powoli: zadanie do licha trudne... Ale czy tam tój nieszczęśliwej nie uprowadzili już z Bakszty do tój pory?... A cóż myślicie dalej? Ażeby ją móżdż wyrwać z ich rąk, potrzeba chyba wmówić w nią, by zmieniła wiarę... A jeśli ona niema Chrystusa w sercu... godziź się to? Myśl i mów!

— Najpilniejsza—rzekł żywo Stanisław—żeby jój Żydzii nie pochwycili; bo ją uwiozą tak, iż śladu po niej nie zostanie...

— Jadę więc na Baksztę, potém do urzędu, ażeby uprzedzić skargę... A ty?

— Ja za tobą pieszo pogonię... Pamiętaj, że nas śledzą, że co chwila i mieszkanie na Bakszcie odkryć mogą... Na Boga ratuj ją, ratuj!

— Wmieszałeś mnie w śliczną kaszę, nie ma co mówić! mruknął Brant, ruszając ramionami. Ale co z tobą robić? muszę słuchać, choćbym rad umyć ręce...

— Umyć ręce! doktorze! czyżby się godziło?

— A godziź się spokojnego doktora pakować w taką intrygę?... Do siebie, gdybym chciał, wziąć jój nie mogę... Ale jest obok mnie wolne mieszkanie; zamówię dla niej. Oko mieć będą... do urzędu pojedę... robię co tylko chcesz! Ruszajże na Baksztę!

— Mnie śledzą! dopóki nie powrócisz, niepodobna. Zabieraj szkatulkę, rób co ci podyktuje serce. Ratuj! ratuj!

To mówiąc, Stanisław wyskoczył z powozu i pobiegł ulicą, a poczciwy doktor namysliwszy się, pośpieszył wprost na Baksztę.

Kilka godzin spędził Szarski w rozdrażnieniu i najdziwniejszych myślach, krążąc bez celu po mieście, oglądając się, czy go kto nie śledzi; aż z południa wreszcie wyrachowawszy, że Brant już wszystkiego, co mu powierzone było, dokonać musiał, zawrócił do jego mieszkania.

Biło mu serce, gdy na wschody wchodził; ale uspokoił się widząc wypogodzoną twarz lekarza, występującego naprzeciw niemu.

— Sara jest już tu, rzekł mu po cichu, wskazując drzwi przeciwległe. Mamy dozór i opiekunów, potrafię u władz pomoc wyjednać; ale musiałem skłamać jój żądanie chrztu, gdyż inaczej niczem się ucieczka usprawiedliwić nie mogła. Żydzi już zanieśli skargę, ale być możesz spokojnym... Idź do niej. Widziałem ją, potrzebuje pociechy. Powiedz jój wszystko, gdyż dziś jeszcze przyjdzie po zeznanie urzędnik.

Stanisław ledwie miał czas wzrokiem podziękować pocziwemu starcowi, i nie wstrzymując się, pośpieszył do Sary.

Zastał ją siedzącą w krześle, zapłakaną, upadłą na duchu, drżącą, tak, że gdy drzwi otworzył, wstrząsnęła się i krzyknęła. Chciała pobiedz przeciwko niemu, ale jój sił nie stało, i rękę tylko wyciągnęła wychudłą. Spojrzał na nią Stanisław: teraz dopiero po dniu lepiej mógł rozpoznać, jak straszliwie zmieniły ją doznane męczarnie. Śchudzona, blada, cieniem była delikatnej owój i świeżej dziewczeczki, której czarne oczy tajemniczymi blaski rozświeciły jego duszę; wzrok ten ognisty jeszcze, był prawie obłąkanym, zdziechałym i rozsrożonym. Ale jeszcze z tych szczątków piękności typu pełnego szlachetności i wdzięków,

artysta i kochanek mógł odbudować zachwycający ideał, bo z ruin patrzyła dusza.

— A! zbawco mój! odezwiała się Sara, przyciągając go ku sobie: powiedz mi, powiedz, że jestem bezpieczną, że mnie nikt nie odda znowu na niewolę, której kajdany zrzucone jeszcze ciążą na rękach, na myśli, na sercu. A! ty nic nie wiesz! nic nie wiesz panie! Biada tym, co ze swojego koła myśli wyszli dalej! Jakem się ja męczyła, com wycierpiała ze swym! tego język nie wypowie, tego płacz nie wyjęczy! Chcieli mnie zagrzebać w życiu swoim... Jam uciekła z niego, rwąc się do lepszego świata. Odbierano mi moich poetów, książki moje, pokarm duszy, zakazywano języka, który stał się myśli tłómaczem, a najgorszym z tyranów był ten, którego zwałam mężem moim... Człowiek ten nie miał litości... chciał mnie pokonać i nie mógł... i dręczył. Nie mogłam wytrwać, bo wszyscy z nim spiknęli się na mnie, a nikt za nieszczęśliwą nie przemówił... Wiesz resztę... mój zbawco... zobaczyłam cię i uciekłam.

— Saro, rzekł Stanisław: ja cię nie uratuję, jeśli ty nie uratujesz się sama... Zerwałaś z rodziną, trzeba wkupić się nową przysięgą do innej wielkiej rodziny: musisz przyjąć wiarę naszą...

Izraelitka zadrżała, wstrząsnęła się, ale zamilkła.

— Koniecznież to? zapytała po chwili. Jam nigdy jeszcze nie pomyślała o tém, bo zdało mi się, że jeden jest Bóg dla wszystkich, bom się obawiała tego przekłętwa, które ciąży na nowochrzcieńcach... Oni ani do jednej, ani do drugiej nie należą rodziny; obie ich odpychają z pogardą... Mógł ja dokonać tego bez przygotowania, bez zapалу, bez pragnienia, na zimno?

— Nie, rzekł Stanisław: anibym ja śmiał cię do świętokradztwa namawiać; ale inaczej wolną być nie możesz, dopóki tego nie objawisz... A tak jestem pewien, że promień światła musi ci otworzyć oczy, iż ręczyłbym za ciebie, dziś jeszcze...

— Ręczyłbyś? spytała ze smutnym uśmiechem: a znasz ty kobietę, za którą chcesz ręczyć? Jam tak pragnęła światła, żywota, myśli ducha... że co tylko wpadło w ręce moje, pożerałam, czytałam wszystko, przemarzyłam o wszystkiém... zepsułam się do ostatka... Zbawco mój... ja mam pragnienie... ale mi brak wiary; mam żądzę, ale dusza jeszcze do źródła trafić nie może...

— Bo go nie szukała, rzekł Stanisław.

— Mylisz się! mylisz się jeszcze!... bo się przesycała złemi myślami, bo się napiła fałszu, i prawda już do niej może nie trafi. Na dnie... wśród zburzonych słupów świątyni, jak w zniszczonej synagodze jerozolimskiej, leży zasłona kryjąca arkę przymierza, i stół ofiarny, i lichtarz siedmioramienny... Jam w sercu wygnanka... jam w sercu Izraelitka!

— A! Saro, nie mów mi tego, zawołał Szarski: jedno tylko przyjęcie wiary naszej wyswobodzić cię może.

— Przyjmę ją, odpowiedziała zimno. Aby się zbliżyć do ciebie—dodała cicho—nie ma ofiary, którąbym tego nie okupiła! A! ty nie wiesz! ty nie wiesz! jakim niewidzialnym, potężnym wpływem opanowałeś duszę moją! jak ona pragnęła ciebie, jak bolała, że się nie czuła ciebie godną, że nie śmiała spodziewać się nawet, by niepokalaną jak dziś przyszła kiedy dłonią gorącą przyciągnąć cię ku sobie i powiedzieć to, co mówię!

— Saro! rzekł rozrzuwiony Stanisław: nie mów mi tego... Dla człowieka, co nikogo nie ma na świecie, ani jednego serca, ani jednej ręki, na którąbym rachował, ponęta zbyt wielka... a tyś dla mnie zakazanym owocem.

— Tak! spuszczać głowę szepnęła Sara: obcą jestem, Żydówką! zwaną żoną cudzą! Tak! tak!... Alem ja niczyją nie była żoną! Kłamie kto powie... Byłam i jestem twoją... służą, niewolnicą... ale twoją.

To mówiąc rzuciła mu się do nóg, i ściskając go zapłakała tak boleśnie, tak serdecznie, tak rzewnie, że Staś dźwięku głosu tego przeląkł się i oszalał.

— Saro! rzekł: uspokój się, zaklinam cię na wszystko... uspokój się...

Zapukano do drzwi, i Żydówka porwała się z ziemi przelekniona. Powoli głowa starego lekarza wcisnęła się, ciekawym śledząc ich wzrokiem, i niespokojny głos wezwał Stanisława.

— Uchodź, rzekł doktor: idą... uchodź i skryj się u mnie.

— Kto idzie?

Ale nie było na odpowiedź czasu, i ledwie Szarski mógł się przemknąć, a już urzędnik z Dawidem był na wschodach. Brant przyjął ich w progu twarzą zimną, szepnął słowo urzędnikowi, który głową skinął i pozostał u wnijscia nieruchomy.

— Mam pozwolenie widzenia się z moją córką, rzekł Dawid, udając spokojność, ale z gniewem wrzącym.

— Tak jest, w mojej przytomności, dodał urzędnik.

— I w mojej, rzekł doktor. A najprzód spytam i zobaczę, czy to w tej chwili nastąpić może.

Przez wpół otwarte drzwi, Sara ujrzała ojca i krzyk-

nęła; a Dawid nie czekając pozwolenia, wparł się gwałtem do pokoju.

— Rozmowa ma być w języku dla nas zrozumiałym, ostrzegł doktor na wstępie.

Ale Dawid nie miał siły rozpocząć rozmowy; usta mu drgały, z oczu łzy płynęły, ręce załamał, głowę spuścił, stanął i stał tak przed córką żywym wyrzutem.

Sara była wzruszona, wsparła się na krzesło, chciała wstać, upadła na nie i zakryła oczy.

— Sara! Sara! zawołał nareszcie Dawid: ty to czy nie ty? ciebież to ja widzę szukającą schronienia między obcymi, przeciwko mnie, ojcu, przeciw matce, coś cię w pieczyotach wypielegnował?

— Przeciwno temu, któregoście mi kazali nazywać mężem, nie przeciwko wam... odpowiedziała córka siłując się na każde słowo.

— Chcesz? jutro rozwód otrzymam; rzekł Dawid, ale powracaj do nas... powracaj, a będziesz wolną.

— Nie! potrzęsała głową; to zapóźno! to za późno!

— Spójrz na mnie, na łzy moje!

— Nie, nie, nie! po stokroć nie!... porywając się dodała śmieiej Sara. Będę chrześcianką! jestem chrześcianką! Tyś mi ojcem zawsze, matka matką, alem...

— Teraz ja powiem ci: Nie! i po stokroć nie!.. wybuchnął Żyd z wściekłością. Tyś nie dziecko nasze! jam nie ojcem twoim, ani ci żona moja matką! Bądź przekłeta! bądź przekłeta!!

Chciał mu dłonią doktor zamknąć usta, ale nie-szczęsne słowo wyleciało, Sara upadła z krzykiem bezprzytomna... i głuche nastąpiło milczenie.

Dawid płakał i miotał się w rozpacz. Otrzeźwiono zemdlając; powiodła oczyma, ujrzała go, i chwytając

szkatułkę, którą z domu wyniosła, rzuciła pod nogi ojcu.

— Weź i to! zawołała. To posag mój, to klejnoty moje! posag córki, której się zaparłeś... Umrę z nędzy, ale go nie tknę.

Pomimo boleści i gniewu, Żyd schwycił szkatułkę skwapliwie, zawahał się, chciał coś przemówić po hebrajsku do córki; ale urzędnik i doktor co prędzej, widząc stan nieszczęśliwej, pośpieszyli go oddalić.

Sara pod przekleństwem rodzicielskim ugiąwszy głowę, siedziała tak nieprzytomna i przygnębiona, jakby w nią pioran uderzył. Lekarz w błysku nienaturalnym jej oczu, w oddechu, w biciu krwi po żyłach, dostrzegł choroby zbliżającej się i za chwilę mającej wybuchnąć.

Tymczasem w mieście potrzebującym pastwy jak każde inne — dla którego zabijają codzień kilka wołów na strawę ciała, a kilka ofiar na pokarm języka — wieść o dziwnym wypadku z córką bogatego kupca, uwiedzioną jakoby przez poetę Szarskiego, poczyniała się rozchodzić, ubarwiona tysiącem mniej więcej dowcipnych dodatków. Każdy ją stroił po swojemu, a że poecie łatwo przypisuje gmin najdziwniejsze czynności, nie żałowano poezji w historii pięknej Izraelitki. Skalano ją i jego, zrobiono z niej okropniejszy jeszcze dramat niżeli był w istocie; a że Dawid był bogaty a Szarski ubogi, połowa ludzi posądziła młodego człowieka o szkaradną rachubę.

Nie mogło mu to nie szkodzić w opinii... bo w ogólności każda nieco gwałtowniej wybuchająca namięt-

noś przeraża ludzi przywykłych do zaspakajania jój cichaczem. Iglicki dowcipował nielitościwie z tego tematu. Bazylewicz się srożył, oburzał, deklamował. Jedni mianowali Szarskiego zdrajcą, drudzy życzliwsi rachmistrzem, inni użalali się nad upodleniem, w jakie go miłość zawiodła... „Dobry szlachcic, mówili niektórzy naiwnie, nie poszanował pocziwego imienia.“ Ale najzjadlej na Stanisława zagniewani byli Szarscy i książę Jan z żoną; ci się go już zupełnie zaparli.

Dodawszy do historyi Sary wiadomość o nieporozumieniu z ojcem własnym i nieposłuszeństwie woli rodziców, które spowodowało zupełne wyłączenie z rodziny, łatwo go było jako człowieka odmalować najczarniejszymi barwami. Poszło tedy jako pewnik, że to był człowiek charakteru burzliwego, niepokonanego, namiętnego, dziwak przytém i pół szaleńca.

Jako poecie ta sława dziwactwa nie wadziła Stanisławowi, bo była dla tłumu dowodem, iż tyle miał poezyi w sobie, że ją aż w życie własne przelewać był zmuszony; ale jako od człowieka odstrychnęła ludzi i zamknęła mudomy przyjazne. Zbliżyła do niego znowu innych, postacie dwuznaczne, które potrzebowały poślazania w opinii, a których szlachetny charakter Stanisława odpychała,

W mieście, choć do nich nie pukał, ostrzeżony za wczasu, drzwi wszystkich domów były dla niego zamknięte, na ulicach odwracali się znajomi, udając, że go nie widzą; inni z ciekawością oburzającą śledzili go jakby jakie osobiwsze dziwadło, jakby teratologiczne studium. Położenie jego stało się nie do zniesienia; ale przywykły do utrapień, dźwigał je Stanisław mężném sercem, nie o sobie myśląc... Nie miał

on czasu spojrzeć na ludzi, tak silnie zajmowało go zadanie, które mu los na ramiona rzucił.

Kochał Sarę... ale ta miłość dziwna była jak marzenie senne; kochał ją i lękał się, i nie znał jój i czuł się obowiązany poświęcić jój wszystko, wycierpieć co go czekało, wypić do dna gorycze życia; ale mógłże się dla niój, dla siebie spodziewać szczęścia? Na drodze stawało najprzód ubóstwo, któremu zaradzić nie umiał. Nie mieli nic, tylko jego dwie ręce. A mógłże ręczyć, że dwie ich dusze, które z dala pociągała sympatya dziwna, zbliżone, spojone, złączone z sobą, nie odepchną się ze wstrętem? Miłość to była tak dziwna, że na dnie jój mogły się ukrywać najnieprzewidziańsze tajnie.

Sara pociągając ku sobie, przestraszała go razem wybuchami namiętności, która zamiast się z sobą ukrywać, wyrwała się w świat z zapamiętałością niepojętą. Ten zachwyt i uniesienie mogły trwać długo? ten płomień nie musiał-li zgasnąć?

Myśli przelatywały jedna po drugiej, ale im towarzyszył obraz Sary we łzach, błagającej, rozbitej męczarnią długą, i Stanisław odpychał je od siebie.

Za staraniem doktora zostawiono ich w spokoju; ale Żydzi nie poprzestali na uczynionych krokach: potrzeba było nieustannój pilności, oka, straży, żeby ją zasłonić od napaści i prześladowań codziennych. Choroba Sary, w której doglądał jój Brant, trwająca kilka tygodni, nie wstrzymała ich nawet, i przedłużyć się musiała nieustannemi wrazeniami, które ją zwiększały.

Przy łożu jój Stanisław nieodstępny był prawie, bo oko jój ledwie się otworzywszy, już go szukało, a usta niespokojne przybycia jego wołały. Dzięki

troskliwości i staraniom otaczającym Sarę, zaczęła wreszcie przychodzić do siebie i spokój jakiś z uśmiechem zjawiał się na jej czole i ustach. Zapragnęła książki, wzięła ją z rąk Stanisława, i zatopiła się w morzu myśli i obrazów, jakby chciała w niém obmyć się z wrażeń świata.

Nigdy nie pytając o jutro, tak była pewna, że jej nie opuści ten, któremu się powierzyła, iż na chwilę nie zwątpiła o przeszłości.

Stanisław tymczasem musiał zabijać się pracą, by wydołać zaciągniętemu obowiązkom nowym, by siebie i ją wyżywić. Przechodziło to prawie jego siły, ale czegoż miłość młoda nie zwycięży? Siedząc często za parawanem w pokoiku, w którym zasypiała Sara, noce trawił na przepisywaniu cudzych ramot, na poprawie druków, na tém rzemiośle literackiego śmieciarza, które nuży i zabija; ale każdy grosz zapracowany tą mechaniczną pracą, lżejszy mu był jeszcze niż sprzedawanie własnej myśli, której na zawołanie mieć nie mógł. Wolał więc być tragarzem.

Pół dnia spędzał zwykle w mieszkaniu swoim przy ulicy Trockiég, drugie pół w pokoju choréj Sary. Nie widywał nikogo, i życiu nowemu ledwie mógł podołać, w ciągłej będąc obawie od Żydów, którzy jego i nieszczęśliwą starali się wszelkimi sposobami prześladować.

Jednego poranku drzwi się otworzyły, i nieznajoma figurka, szeroko je rozwarłszy, weszła wymawiając nazwisko Szarskiego. Był to mężczyzna jasno blond, twarzy startéj i zupełnie nieznaczącéj, nadzwyczaj biały, różowy, oczu bladych, ust szerokich, wyrazu głupowatego i dumnego, ubrany wykwintnie,

obwieszony łańcuszkami, brelokami, pozapinany na mnóstwo szpilek i guzików.

— Pan Szarski? zapytał.

Stanisław wstał od stolika.

— Pisarz... literat? poeta? zapytał powtórę, nie zrzucając płaszcza nieznajomy.

— Ja jestem.

— Al! to dobrze, trafiłem widzę—rzekł ów pan, siadając bez ceremonii na łóżku i zdejmując nareszcie czapkę, chociaż płaszcza na ramionach zostawił. Mam tu do pana interesik.

— Słucham pana, czasu mam niewiele.

— Słuchaj pan, a uważnie.—Obejrzał się.—Jesteśmy sami?

— Najzupełniej.

— Nikt nie słucha?

Szarski ramionami ruszył. Nieznajomy poszedł, wyjrzał jeszcze za drzwi, i powrócił rozeprzeć się na łóżku.

— Jestem—rzekł—dosyć bogaty... bardzo bogaty.

— Bardzo panu winszuję, rzekł z bolesnym uśmiechem Szarski.

— Ale słuchaj-no pan... Mam talent i ochotę pisać—dodał—piszę, piszę... Napisałem świeżo dramat *Hidalgo*.

— Niezmiernie mnie to cieszy...

— Słuchaj-no pan tylko. Dramat ten potrzebuje... przepisania... *wykończenia*, a ja na to nie mam czasu... Chcę kogoś, co by mi to wygładził, wyrobił, a ja przejrzę później ostatecznie i wydám.

Staś ruszył ramionami; nieznajomy rzucił na stół pokreślony rękopism.

— Jutro przejrząwszy powiem panu, co uczynić mogę—odparł, chcąc się co najprędzej wywinąć Szarski.

— Zapłacę dobrze, rzekł nieznajomy. Pan masz

słyszę talent niczego; dodaj tam coś, okrzysz, a bardzo proszę, żeby to między nami dwoma zostało... rozumie pan?

— Wprzódby przejrzeć muszę...

— Jutro tedy będę, kładnąc czapkę na głowę, do dał autor dramatu.

Po wyjściu tego oryginała, Szarski wziął do ręki papiery; ale od pierwszego wiersza przekonał się, że czytać było rzeczą próżną: nie było w rękopiśmie ani sensu, ani nawet ortografii, a cóż dopiero mówić o talencie. Kilkanaście tysięcy słów zrzuconych chaotycznie na kupę, szamotało się, nie wiedząc czego chciały; a w téj dziwnéj rapsodyi odezwały się i tłumaczenia, i pożyczanki, i naśladowania niezgrabne, i najwyraźniejsze kradzieże... Dramat był doskonały... do wyrzucenia za okno na śmiecie.

Ruszył ramionami Szarski, ale tegoż dnia ostatni grosz zapłacił za lekarstwa i pomyślawszy o doskwierającym jutrze, przerażony niém, pobiegł do bibliopoli, chcąc coś od niego na przyszłą jaką robotę utargować. Księgarz znowu go przyjął zimno.

— Pan się zaawanturowałeś, rzekł ruszając ramionami, kompromitujesz i siebie, i dzieła swoje; boję się o ich rozprzedaż. Dziwy o panu mówią... Nie mogę nic nowego przedsiębrać, kassa moja pusta, prassy zajęte.

Stanisław nie umiał prosić ani nalegać; poszedł ze łzami w oczach: trzeba było dramat przerabiać!!

Nazajutrz dramaturg ów jasno-blond zjawił się w progu o naznaczonej godzinie.

— A co? zapytał: przejrzałeś pan?

— Przejrzałem, rzekł nieśmiało Szarski.

— No, i cóż powiadasz?

— Wszystko trzeba przerobić, żeby coś z tego było.

Nieznajomy nadął się i zamyślił.

— Jest materyał! jest! zrób pan z tego dobry dramat... ja to sobie później poprawię... No? ale co chcesz za to?

Wstrząsł się poeta na samą myśl targu takiéj pracy, zapomniał o Sarze i głodzie. „Pójdę... rzekł w duchu—pójdę z siekierą, ale tego nie potrafię!”

— Nie! nie! rzekł: ja się tego nie podejmę!

— Ależ ja zapłacę! rzekł dzwoniąc pieniędzmi blondyn.

— Słuchaj pan, odezwał się zniecierpliwiony poeta: zrobię ci dramat jeden, dwa, trzy, ile zechcesz, przedam ci go z imieniem mojem, bo na jutro chleba nie mam, a życie moje dostarczy do dramatu wątku; ale z tego—dodał, rzucając rękopism — nic być nie może...

Nieznajomy się zmieszał.

— Gorączka! rzekł po cichu: musi być bestya zdatny, a chleba nie ma.

— Zgoda! odparł głośno: dramat mi pan napiszesz... zapłacę, ale to pozostanie między nami...

Stanisław zgrzytnął zębami i leciał już za drzwi, gdy z za nich postrzegł posłańca od dektora i Sary, żelazna konieczność życia stanęła mu w oczach, zawrócił się.

— Co mi pan dajesz? zapytał.

Blondyn dobył sakiewki, z kilkudziesięciu dukatów wybrał dziesięć kulfonów i położył je rzędem na stole.

— Drugie tyle — rzekł — gdy dramat będzie gotów.

Księgarz pośpieszał z wydaniem *Fantasmagoryj*. Kłamał wyrzucając Szarskiemu, że książce szkodzić miało zaawanturowanie się autora, to bowiem nie tylko nie zubożniało czytelników, ale podniecając ciekawość, do rozkupu dopomóc mogło. Ludzie tak lubią karmić się żywem mięsem, tak uporeczywie szukają osobistości w świecie ducha i fantazyi, a między ideałami, znajomego sobie głupiego światka karłów i małpeczek, że wszystko obiecujące ich pokarmić tą strawą zgorszenia, chwytają z największą chciwością.

Za wczasu już oblizywano się na *Fantasmagorye*, bo w nich przeczuwano fałszywie coś lepij i bliżej dającego poznać dziwnego człowieka, o którym od niejakiego czasu wiele mówiono po świecie. Zaledwie się ukazała biedna książeczka, rozchwytała ją natychmiast, i w księgarstwie od dawna nie było podobnego fenomenu wziętości; ale wrażenie, jakie sprawiły te urywki dziwne, obrazki, niepokończony myśli, poobrywane i powiązane nieschwytanymi dla wielu węzłami... było wielce różne w indywidualach.

Jedni fantastyczności, żywiołu nowego w literaturze, w cokolwiek większej dozie i w prozie zrozumieć nie mogli; drudzy właśnie chwalili to, czego nie pojmowali zupełnie, żeby sobie zrobić sławę niepoślednich znawców; poeci krzyczeli na to, że książka była prozą; surowi klassycy, że była zbieraniną płochostek; kobiety, że w niej miłości było mało i nie do rzeczy, a ich wizerunki nielitościwą nakreślone ręką; intryganci w ostatku, co wszędzie czytają, tam nawet gdzie nie napisano, wyczytali i tu osobistości, satyrę, paszkwil, przytyki!!

Ta postać to pan N... a kulawy to oczywiście R... a ślepy to A... a głupi to M... Słowem, podkładając

tak żywe wzory pod wymarzone figury, całą książeczkę biedną uczynili niegodziwym jakimś paszkwilem. Są ludzie, którym się zdaje, że całkiem zajęciem pisarza, co odwzorowywa społeczność, jest wybieranie żywych typów i pakowanie ich na pióro, jak entomolog pakuje owady na szpilki.

Nie wiedzą niestety! że bez przyprawy, przerobienia, dodatku i ideału, najlepszy typ żywy na nic się nie zdał; że nawet ten, co szuka kogoby pożarł, podle używając pióra przeciwko żywym i umarłym, musi do startych rysów tych modeli dodać coś swojego, by je jako tako godnymi uczynić wystawienia. Dla nich byle rys podobieństwa najlżejszy, już to znajoma postać, i często w różnych okolicach, do jednego typu kilkanaście osób z zapalem się przyznaje. Jak gdyby pisarz, malarz, co garść mają pełną różnorodności twórców bożych, potrzebowali jednego nędznego oryginału na zalepienie próżnej kartki! Nigdzie ta śmieszność, niestety! nie jest posunięta tak daleko jak u nas; nigdzie miłość własna nie jest drażliwsza. Rzekłbyś, że im o to chodzi, by przekonać, że w szatach arlekina wystąpili na scenę oni, nie kto inny. W książeczce Szarskiego, będącej zbiorem energicznych postaci, mnóstwo się na nieszczęście znalazło takich, których blade odbicia tam i sam włóczyły się po ulicy. Nie był temu winien autor, ale talent może, który tworząc tak dalece odgadywał, że nie tylko typy, ale całe żywoty ludzi trafiało mu się wieszczę jakoś odtwarzać, tak jak się gdzieś po żywym świecie mignęły. Znalezione więc w książce podstatkiem powodu do zgorszenia i krzyku. A że to była chwila, w której literatura nasza, rozwijając się we właściwym sobie kierunku, raz pierwszy dotykała społeczeństwa

własnego, wychodząc z czystych idealnych światów do zidealizowanych przedmiotów narodowych,— na nieprzywykłych jeszcze do tego rodzaju utworów, czytelnikach, ten śmiały sposób malowania towarzystwa i świata znanego, przykre robił wrażenie. Na nie-szczęście trafiło się jeszcze, że i nazwiska dwóch Żmujdzinów jakichś znalazły się w książce przypadkiem... nuż larum!! nuż wołać na zgrozę! na poszkwil! na osobistość!

Księgarz korzystał z tego, bo każdy przez ciekawość kupował książkę; ale Stanisław cierpiał, milczący pożerając gorzkie pracy owoce. Myśl obwinięta w te obrazy pozostała jak mumia spowitą dla czytelników i nieznajomą; to, co chciał niemi powiedzieć, nie doszło do ich duszy, ale suknie i bandelety krajano nielitościwie. Krytyka szarpała książeczkę na kawałki; nawet wprowadzenie do niej języka życia codziennego, wyrazów, które dotąd w druku nie powstały, mowy poufałej i żywej, wywołało wrzawę grammatyków i purystów. Krzyczano na prowincjonalizmy, na wyrażenia grubiańskie, na koloryt jaskrawy, na dziwactwo, na wszystko, na co się było można porywać; a nikt nie osądził ani drogi nowój, którą otwierała książka, ani głębszej jej myśli, ani nowego rodzaju piękności ze wzorów ziemi rodzinną zapożyczoną, której była pierwszą próbą. Nazajutrz zaraz siedli ją przerabiać naśladowcy, karykaturować małpiarze, echem powtarzać sroczki; ale Szarski dla tych pasorzytów był jeszcze nienawistniejszym może niż dla innych.

Bazylewicz, którego Szarski nie widywał, na ten raz sam już bez pomocy Iglickiego usiadł do recenzji; a że wprzód przez dwa tygodnie zbierał do niej po ulicach materyały, łatwo mu ją zszyć było z cudzych

kawałków. Chował sobie do skarbonki myśli i uwagi; potem dobył je, zniżał, pokleił, przypasował, i artykuł był gotów

A że Bazylewicz więcej był usposobiony do deklamacji niż do szyderstwa, zrobił artykuł godny uwagi dla ogółu, obrachowany na efekt, i miły każdemu, bo w nim każdy coś swojego znalazł.

Rapsodya ta poczyniała się od jakiejś mglistej teorii literackiej, od ogólników, od narzekania, od filipki, a dalej tnąc nielitościwie i pocziwając nie zostawiając nitki, kończyła się potępieniem... To tylko z wielkiej swej łaski raczył dodać Arystarchus, że jeżeli młodzieńiec się poprawi, uzna swe błędy i wyprze się indywidualności, będzie mógł z czasem i pracą nosić tekę za drugimi. Artykuł był lichy w rzeczy, ale nie łatwiejszego niż zatumanić publikę: byle trochę wprawy, obejdzie się bez rozumu, może się nawet ściśle biorąc, obejść i bez sensu, dość pozorów obojga. Zwrócił więc uwagę i zrobił niejake wrażenie, gdy dostąpił honorów druku.

Tymczasem książka w świat poszła; powoli odzywały się o nią głosy różne, w coraz większej liczbie, w ogólności nieprzyjemne.

Któż kiedy sympatycznym wyrazem podeprze młodego, który występuje obcy wszystkim i bezbronny? Tacy ludzie służą pospolicie za łatwą pastwę głodnej rzeszy, a im dzieło jest oryginalniejsze, im myśl w niem żywotniej dysze, tém szersze dla krytyki pole. Trudno ująć nicość, łatwo pochwycić twór żywy.

I tu się tak stało właśnie. Każdy ułamek książki mógł być przedmiotem osobnej rozprawy: w jednym za nadto dziwaczny panował ideał; w drugim rzeczywistość była zbyt krzyczącymi narysowana barwami;

w trzecim brakło myśli, bo jój nie dojrzano, czepiając się franek wiszących u okna, przez które widać było światło; w czwartym nie dostawało moralnego celu; inny ułamek nie stanowił całości; inny w częściach był nieproporcjonalny; ten grzeszył przeciwko sztuce, ów przeciw etyce.

Ze smutkiem, ale już bez rozdrażnienia przeczytał Stanisław te sądy tak surowe, z których żaden nie był natchniony ani radą życzliwą, ani uczuciem piękną; bo nikt z sędziów nie pomyślał o wydobyciu z dzieła błyszczących w niem wdzięków, a każdy zajął się wyjadł wady.

Inaczej jednak oceniła *Fantasmagorie* opinia ustna i czytelnicy, w których pisarz znalazł sympatyę, chociaż i tu zbytek artystyczności, jakiś sposób niezwykajny uczuwania i przedstawiania piękności stał na zawadzie ogólniejszemu współczuciu. Stanisław malował w zapale, nie zważając jakich farb używa, i często mieszał tony za surowe, na które, oderwawszy je od całości, patrzeć było przykro. Ogół zaś czytelników sądził je nie w związku z tém, co poprzedzało i następowało, ale odrywając je, a przeto niesprawiedliwie; raził go rys pojedynczy, obok którego stojący drugi kosztem tylko tego kontrastu dobitniej mógł się dać ucałować.

Czytelnicy wszakże, znajdując po raz pierwszy w książce świat nie obcy, ale ze znanych im utworzonych materyałów, sympatyzowali z pisarzem, który się ośmielił zejść z drogi ubitej i wywlec przed sąd powszechny społeczność dotąd od niego wolną i brojącą bezkarnie. Kobiety obrażone uczuły się rozdrażnionemi, to w nich obudziło ciekawość, kilka słów wznioślejszych wstrząsnęło sercami, odezwało się w oklaskach

pocziwych dłoni, i wielu z tych; co siadali do książki obojętni, wstawało od niej nawróceni.

Razem wzięte książka i krytyka, znowu o jeden stopień, acz maluczki, podniosły człowieka, który w krótkim przeciągu czasu dał się poznać w pismach peryodycznych poezjami, powieścią, krytyką i próbą historyczną. A że u nas niezwykajną była ta różnorodność i obfitość — bo kto dwie ody Russa przełożył, a o trzeciej broń Boże myślał, już godził na nieśmiertelność i zajmował poczesne miejsce w literaturze, — poczęto więc krzyczeć na pośpiech, na płodności zbyt i rozrzucanie się w różne rodzaje.

Tu krytyka pozornie miała za sobą słuszość, i biła też silnie w płodność autora, której wedle prawideł starych *nonum praematur in annum*, pojąć nie była w stanie. A że literaci przeszłego wieku wszyscy byli próżniacy, i zlepwszy jedną w życiu książeczkę, wydychać jój na laurach spoczywając przez całe życie nie mogli, bo nie jeden żył samym projektem dzieła i reputacją, którą mu ono zrobić miało, — nie potrafił więc osądzić organizacyi odrębnej, niezwykłej, indywidualnej, podciągając ją pod regułę powszechną.

Wszyscy, którym ta obfitość groziła zapomnieniem i współzawodnictwem niebezpiecznym, uśmiechali się ironicznie i jak piłką rzucali sobie Szarskim. Historyk odpychał go do poezyi, poeta odsyłał do badań...

Wszystko to mogłoby zachwiać człowiekiem mniej w sobie wyrobionym niż Szarski, którego ostatnie lata ugruntowały w pewnych przekonaniach i zasadach niezachwianych. Wierzył on, że każdy wedle sił i możności pracować powinien, nie mierząc się nieczyją piędzią, nieczyją radą nie powodując, tylko przekonaniem własnym; wierzył, że uczucie piękna, które czło-

wiek wyrobi sam w swęj duszy, a nie żadna modła cudza, za prawidło tworom jego służyć powinno; wierzył jeszcze, że kto się poświęcił pióru, sumienną kształcąc się pracą o ile siły wystarczą, nie powinien się oglądać na krzyki otaczającej gawiedzi, ani pochlebiać ogółowi, ani święcić prawdy dla sławy, ani się nawet o sławę ubiegać. Nie o wieńce tu idzie jak dawniej, nie o marne oklaski, ale o wypowiedzenie tego, co Bóg posiał w duszy.

Każdy artysta powołany jest do wylania na świat piórem, ołówkiem czy dźwiękiem idei, z której zarodkiem się urodził, a którą do najwyższej potęgi rozwiniąć i wykształcić jest obowiązany. Jeden malując piękno, podnosi oczy ku Bóztwu i ideałowi, odzwierzcąjąc człowieka; drugi szle mu do duszy z dźwiękiem pieśni myśl, która nicią niewidzialną z nią się łączy; trzeci odtwarzając kształty natury, odkrywa w niej typ pierwotnej idei bożej i idealizując człowieka, świat, wskazuje niemal jaka dusza w tém cielem żyć powinna. Nic tu nie może stawać na przeszkodzie objawieniu myśli wewnętrznej; potrzeba ją z siebie wydobyć.

Na tych zasadach oparty Szarski, postanowił iść dalej. Ale ileż to razy westchnął gorzko, że los, co mu tyle zadań rzucił przed oczy, związał ręce jego nędzą i zawisłością od chleba kawałka! jakże zazdrościł tym, co mogli nie myśleć o jutrze i dać się wznieść skrzydłom natchnienia, nie oglądając się na ziemię!

Co krok to nędza zapierała mu drogę.

Al budzi ona duszę do energii i boju, wywołując z niej siły nowe, ale ileż razy zabijał! Księgi, ludzie, wzory, towarzystwo, wszystko ubogiemu, spętanemu niedostatkiem staje się niedostępnem. Książki biblio-

tek publicznych w istocie najczęściej tym służy, aby je kupić sobie mogli,— i tu ubogi ostatni do nich do-
stąpić może. Ludzie, których wykształcenie i stanowi-
sko silniej żywem słowem działać może od księgi,
dla ubogich stoją za wysoko; wzorów ani dostać, ani
ich widzieć niepodobna; do towarzystw trudno być
przypuszczonym na stopie równości, bo tu umysł jest
najostatniejszą zaletą, a ogół tak się lęka ludzi eks-
centrycznych, tak im nie ufa, tak ich zimną grzecz-
nością odpycha! Nikt też nie podtrzymywał Szarskie-
go słowem współczucia, nie popchnął go, nie dźwignął: trzeba mu było samemu z siebie dobywać siły,
a jedna tylko biedna Sara sercem całém słuchała je-
go poezyj, które dla niej wszystkie były arcydzieła-
mi. Staś uśmiechał się na ten sąd boleśnie: nie tego
mu było potrzeba!

Dzień za dniami płynęły tak w niepewności, w nę-
dzy, pracy i miłosnych marzeniach... Nareszcie ode-
brał Stanisław liścik od Adama Szarskiego, który mu
donosił, że żąda się z nim widzieć koniecznie i ma
mu coś powiedzieć od ojca. Nietrudno się było po-
słannictwa domyślić; Staś jednak poszedł z odwagą
w sercu. Zamieszkali już w Wilnie państwo Szarscy,
zajmowali piękny dom przy Wielkiej ulicy, a jako
spokrewnieni z księciem Janem i połączeni przez nie-
go z całą arystokracją miejscową, żyli na najwyższej
stopie dobrego tonu, starając się okazać, że nigdy
nie pojmowali życia inaczej, tylko w tej uprzywilejo-
wanej sferze.

Pani Adamowa miała appartement osobny; on zaj-
mował także kilka pokojów, gdzie mężkie w osobnym
salonie zgromadzało się towarzystwo; dom własny
księcia jegomości był niedaleko. Liberye, powozy, ku-

charz, appartamenta, wszystko to jak najokazalsze, a może aż do zbytku było wyprężone i okazałe.

Musiał więc Szarski przejść przez dwoiste meldunki lokajów i kamerdynerów, aż go nareszcie wpuszczono do gabinetu pana Adama. Pan Adam był do niepoznanania przerobiony na wielkiego pana i człowieka miejskiego; dumi przybyło mu jeszcze.

— A! to pan! rzekł nie wstając z fotelu i skłoniwszy tylko głową na widok bardzo skromnie odzianego krewniaka, a nie przestając na stole wśród kupy nagromadzonych papierów szukać jakiegoś zawieruszonego listu.

— Czytaj pan ten list, dodał nareszcie dobywając szarą ćwiartkę: to ręka ojca pańskiego.

Stanisław pochwycił pismo ręką drżącą i okiem przebiegł je niespokojnym. Sędzia pisał w niem do kuzyna, oświadczając na początku: że braknie mu sił, by do wyrodnego zwrócić się dziecka; że go zaklina, aby wszelkimi środkami zapobiegł wstydtowi, jaki na familię sprowadzić może ożenienie jego z Żydówką, z wychrzcianką...

Zaklinał w ostatku, żeby przez wpływy swe pan Adam starał się gdzie pomieścić Stanisława... wywieźć go z Wilna, lub t.p. Jeżeli zaś to wszystko nie pomogło, stanowczo zakazywał synowi nosić nazwisko Szarskich, i zapowiadał, że się go wyrzeczy aktem urzędowym.

W miarę jak to czytał Stanisław, słabo mu się robiło, oczy zaplaniały, serce biło; a pan Adam, widząc ten upadek ducha w człowieku, którego gwałtowności się obawiał, widocznie brał górę i coraz sroższą robił minę.

— Widzisz waćpan, rzekł po chwili milczenia: do czego to może doprowadzić życie próżniacze i bez celu... do rozpusty, wstydu i hańby.

Stanisław obudził się na te słowa.

— Ojcu—zawołał—wszystko wolno... nawet nie-sprawiedliwosci dopuścić się względem dziecka, które ją zniesie z pokorą; ale obcemu rzucić obelgę w oczy, bez żadnego prawa, nie okazawszy nigdy wprzód współczucia...

— Ja wchodzę dziś w prawa ojca, odezwał się gniewnie pan Adam: tu idzie o wspólne nam imię.

— Szanuję pana w tych prawach, póki mi radzisz; ale znaszże położenie, którego chcesz być sędzią? możeszże pan sumiennie powiedzieć, żem próżniak i rozpustnik?

— A cóż znaczy ta przekłeta Żydówka?

— Jest to nieszczęśliwa...

Pan Adam parsknął ze śmiechu.

— Co mi waćpan prawisz!

— Znaszże ją pan? spytał Stanisław.

— Słyszałem dosyć.

— Posłyszże i o demnie—przerwał młody człowiek—jeśli masz serce i zechcesz mnie z niem wysłuchać cierpliwie...

— Przyznam się panu, odparł dumnie pan Adam: że wcale nie mam ochoty głupich izraelskich roman-sów być konfidentem... Dość mi na tém, że się nie do rzeczy kochasz... złe słowo! że się tam bałamucisz z jakąś zamezną Żydówką, że ją chrzczisz i masz się z nią żenić jak mówią, a to dla Szarskich zbyt wielki upadek i hańba, nie możemy jej zniesić z krwią zimną i założonemi rękoma.

— Któż panu powiedział, że się chcę żenić? że o tém myślę?

— Wszyscy... dosyć, że mówiał!

Stanisław ruszył ramionami i unosząc się, dodał:

— A wiesz pan, że ta Żydówka, ta Żydówka więcej może warta od wszystkich waszych pań i panien salonowych, i powycieńczanych na duchu i ciebie szlachcianek!

— Oszalał! oszalał! zawołał pan Adam. Więc już nie ma na to innego sposobu tylko środki gwałtowne! więc cię siłą ratować potrzeba! A! i to potrafimy!

— Panie, odparł Stanisław: nie chcę ci odpowiadać, jakbym myślał i co mam na ustach... Chodzi wam o imię, nie prawdaż? Napisz ojcu mojemu, powiedz sobie, że od dziś się go sam wyrzekam i zmieniam je... a zostawcie mnie swobodnym. Chleba nie mam, ale go u was nie odebrałem i nie żebrzę, pracuję nań i spożywam w pocie czoła; zostawcież mi wolę najdroższą każdemu, i bądźcie łaskawi mną się nie opiekować więcj.

Pan Adam umilkł zdziwiony.

— Czegoż pan chcesz? spytał nieco łagodniej.

— Jednego tylko, żebyście o mnie zapomnieli... Od dziś dnia jestem... kto pan chcesz, ale nie Szarski już, a między mną i wami nie ma nic prócz pamięci goryczy, którąście mnie poili.

Pan Adam przywykły do zimnego obejścia codziennego w kółku, w którym żył, wśród tej sceny, był jak na żarzących się węglach, ruszał ramionami, nie wiedząc jak wybrnąć z niezwyklego i nowego całkiem dla siebie położenia.

— Zreflektujże się!—dodał z ostygłą miną pańska i trochę szyderstwa: co nam wyrzucasz? Że ci

się nie dajemy utopić, zginąć, i że cię pragniemy ratować, że ci podajemy rękę w zły toni?... Cożeśmy ci kiedy zrobili złego?

— A cóż dobrego? spytał Stanisław ironicznie.

— Czyżem ja winien, żeś nie przyjął mojej ofiary? Wszakże ci chciałem dopomódz.

— Tak jest, rzekł Staś: chciałeś pan dać mi jałmużnę, i za nią kupić sobie człowieka, jego wolę i przyszłość!

Pan Adam ruszył ramionami.

— Panie Stanisławie, odezwał się: na Boga! trochę krwi zimnej! Obląkałeś się życiem samotnem i zdziczałeś w złém towarzystwie. Sam powiedz, co sądziłbyś o człowieku jak ty poświęcającym wszystko, imię, związki familijne, przyszłość, dla miłości jakiejś tam Żydowicy, która się do niego przyplątała? Jak chcesz, żebyśmy na to obojętnem patrzali okiem?

— Dobrze więc, mówmy o tém na chłodno, odpowiedział Stanisław; ale pozwól mi pan raz jeszcze żebym ci opowiedział jak przyszedłem do tego rozstaju, na którym dzisiaj stoję...

Pan Adam zamilkł; trochę ciekawość, trochę przewaga młodzieńczego uczucia, zawiązały mu usta. Stanisław począł opowiadanie całego życia, a że w historii własnego żywota nikomu nie braknie wymowy, że dzieje te jeszcze dla niego krwią płynęły, a Stanisław był poetą... stało się, że po godzinie opowiadania, pan Adam zepchnięty ze swego stanowiska i sposobu zapatrywania się na ten wypadek, nie mogąc zupełnie wniknąć w Stanisława, pozostał na jakimś pośrednim, nieokreślonym rozdrożu, z którego nie wiedział jak się pokierować dalej.

— Kochasz ją? rzekł po namyśle: to bardzo dobrze;

nie jesteś winien temu co się stało? wierzę; masz uczucie gorące i szlachetne? przyznaję... ale w tém wszystkiém jest-li jaka rękojnia dla przyszłości? co ci zapewnia, nie powiem szczęście, ale bodaj spokój i znośne życie?... Miłość dziś ozłaca wszystko; ale to uczucie, a pożąta się ściiera...

— Cóż mam począć? porzucić ją? dać na łup Żydom? czy nędzy i zepsuciu może? wyrzec się téj, która na mnie oparła nadzieje całe? Uderz się pan w pierś i jako człowiek powiedz mi: czy to się godzi?

Pan Adam był wielce zakłopotany, rozplątywał węzeł szlafroka, rwał kutas od czapeczki; i nie wiedział co odpowiedzieć.

— Więc o jedno tylko proszę... rzekł wstając i pomyślawszy nieco nad niestałością uczuć ludzkich: o rok czasu do namysłu, nic więcej...

— Ale ona tak bez opieki pozostać nie może.

— Czy wolisz, żebyśmy ją gdzieś do klasztoru, a waćpana pod chłodniejszą strefę posłali?... Tu nie ma nic, tylko dwoje do wyboru... Słyszysz pan? słowo honoru, że się nie ożenisz do roku, lub...

Stanisław pomyślał, wyciągnął rękę i rzekł cicho:

— Słowo honoru...

— A teraz, uśmiechając się zwycięzko dodał pan

Adam: gdybyś chciał odemnie przyjąć lekki zasiłek...

Szarski odskoczył jak oparzony.

— Ja! mużny nie biorę, nie brałem i nie wezmę nigdy, odparł dumnie; pożyczki nie rozumiem, gdy oddania nie jestem pewien... Chciałeś pan słowa, masz je; reszta do mnie należy.

Pan Adam nieukontentowany uklonił się z dala i padł w swoje krzesło, ręką ściskając rozbolełą głowę. Staś wyszedł powoli.

Sarze ze spokojem powracał wdzięk młodości i życia. Znowu rumieniec twarzy jęj opromieniał, czarne oko patrzyło jakoś łagodniej... ale z powrotem do zdrowia nie pozwalała na chwilę Szarskiemu oddalać się od siebie i zazdrośna trzymała go nęcać wszelkimi sposobami. W tych długich godzinach spędzanych sam na sam we dwoje, obok siebie, z dłonią w dłoni, przy blasku wejrzenia pięknej Izraelitki, które wlewało niepokój w duszę Stanisława, potrzeba było całej mocy sumienia i potęgi woli, by nie zapomnieć na wszystko i nie upaść. Ale każda pierwsza miłość to ma do siebie, że jęj wystarcza wejrzenie, dźwięk głosu, przytomność ukochanej istoty, że nie pragnie więcej, bojąc się po za granicą nowych rozkoszy znaleźć ich koniec i wyczerpać czarę do dna. Z każdą tylko godziną wzrastało przywiązanie, a dzika trochę kobieta, co je budziła, tak była niepodobna do pospolitych zimnych istot powszednich, że jęj dziwaczność nawet nowym była urokiem. W myślach jęj jak na twarzy było poetyczne piętno Wschodu, a usta nie mówiły inaczej tylko śpiewem i poezją... cały świat oblekała tą szatą płomienistą, i gorzał w jęj wyrazach, jęj ogniem objęty.

W istocie wyższą nad pospolitą Bóg ją obdarzył duszą, która, że nikt jęj nie kształcił, że się rozwijała sama, swobodnie, dziko, strzelisto, dziwiła niespodzianymi barwami, w jakich przedstawiała się oku. Dla nięj nic nie było pospolitego i śmiesznego, bo w każdej rzeczy i wypadku widziała stronę jego smutną, poetyczną, poważną i wielką, nigdy nie schodząc na ziemię, nigdy się nie dotykając kału. Potrzeba było poety, by za nią zdążył w jęj zachwytach nieustannych, w wędrówkach szalonych po świecie ducha.

Sama nieznajomość jego czyniła ją zuchwałą do ostateczności; rzucała się na przedmioty uderzające z ową śmiałością młodości, która niczego zleknać się, nie poszanować nie umie. W uwielbieniu, we wstępie nie знаła granic i szła wprost do egzaltacji!

Ale na dnie jęj duszy brakło najpiękniejszej perły, którą się wieńczą skronie: wiary... Tłało w nięj przywiązanie patryotyczne do staręj Mojżeszowęj praoców religii, ale było raczęj poetycznym porywem, niż przekonaniem głębokiem... Księgi chrześcian, które czytała, wskazywały jęj co zestarzało w wierze przez współwyznawców jęj przechowanęj, i czuła, że ślepi umyślnie na nowe światło, widzieć go nie chcieli. Ale między jedną a drugą wiarą pozostała na rozdrożu, a Bóg nie zesłał jęj tego daru, tęg łaski, tego uczucia, co oświeca nagle, niepojętym sposobem, a którego ani pracę, ani wolą otrzymać niepodobna.

Wiarą jęj była poezya sama... poezya we wszystkich swych postaciach i wszelkięj swęj szacie: biblijna, odwieczna, pierwotna i nowa, od Mojżesza do Heine'go!

Rozumiała zarówno i czciła na jednym ołtarzu Goethego z pieśniotwórcą *Kantyku*, króla psalmistę i Danta. Ostatni z całego szeregu poetów, których się uczyła, Dante najwięcęj ją uderzył; w jego obfitej wyobraźni tworzącęj co krok światy nowe, coś było sympatycznego dla jęj duszy, która darła się może przez tę poezję do pożądanych krain... wiary! Shakespeare, poeta północy, pełen najprawdziwszego uczucia ziemskiego, podnoszący nawet najnieszlachetniejszą namiętność do ideału, prozę rzeczywistości umięjący przebrać za poezję, nie tyle na nięj robił wrażenia. W nim widziała świat ze strony jego aż nadto prawdziwęj, choć cudnie odtworzonęj... Z Dante'm ucieka-

ła nad ziemię, za światy, i gościła w tych kręgach tajemniczych, dziwną światłością piekieł i niebios oblatujących, jak w rodzinnym swym kątku.

Dni jęj upływały na marzeniach i śpiewach, na lekkiej pracy, a choć usta nigdy nie zdradziły serca, jednak na czole często zachmurzonem, na często zbłądłych ustach, na oczach czasem zamglonych, czytał Stanisław tęsknicę po tych nawet, co jęj życie zatruła męczarnią, a których się była wyrzekła.

Lękała się prześladowania, powrotu do niewoli, a lżą cichą płakała po młodości. Codzięj podnosząc się umysłem z martwęg sfery, w której judaizm trzymał całe jęj pokolenie, co chwila odlatując od zmarłego społeczeństwa, od którego ją żywe oderwało uczucie — musiała jednak przypłacać tę zmianę losu żalem choć niewyznanym, choć skrytym.

Żal ten tamowała tylko obawa powrotu do niewoli.

Stanisław zapominał o jutrze w tych słodkich godzinach, które z nią pędził; często się dla nich wyrzekając snu, bo nocną pracą okupował chwile przebyte w zachwyceniu. A jeśli siadł przy nięj do pracy, to go jęj oko odrywało, to go zmieszało jęj westchnienie, bo dłoń jęj wyciągnięta porywała go ku sobie. Czytali razem, czytali... i nie raz jak w Dante'm księga upadła, bo ręce związały się ściśnięciem, a usta czystym ale gorącym pocałunkiem.

— Na co mi więcęj? na co inne życie? mówił Stanisław w duchu: może być szczęśliwszy? może na świecie znaleźć co nad to niewinnie rozkoszniejszego? A byleby tylko trwało szczęście nasze!

Ale ile razy odszedł zostawując ją samą, pomimo dozoru doktora, mimo straży czuwającęj nad Sarą,

mimo pozornego wyrzeczenia się jęj przez rodzinę, która zdawała się zapominać o swém dziecięciu, Stanisław drżał z obawy o nią. Często w nocy zrywał się, przebiegał ulice i przychodził podsłuchiwać pod drzwi, czy Sara jest u siebie.

Ale obawy te tak się w końcu płonniemi okazać zaczęły, że Szarski wygnał je z serca, wytłómaczył sobie obojętność Dawida zrzeczeniem się udziału majątku jego córki, przekonaniem o niemożności odzyskania jęj.

Starał się tajemnie dowiedzieć o Białostockich, i zapewniono go, że wszyscy ile ich było wyjechali z Wilna, nawet stary Abram opuścił kamienicę przy ulicy Niemieckiej.

Sara bolała niemal na tę obojętność, więcęj bowiem spodziewała się przywiązania i prześladowania. Nabrała i ona przekonania, że wszystko się skończyło, że przyszłość poczyna wschodzić jasna i nie nie rokuje burzy.

Cisza, która ich otaczała, codzien. o tém zdawała się bardziej przekonywać; a świat zapomniawszy o wypadku, o którym z początku tak wiele mówiono, który tłómaczono tak dziwnie, znowu się począł z ciekawością jakąś obracać ku pocie. Szarski trochę odzyskawszy spokoju, rozpoczął nowe prace, a że umysł innego nie pojmował wytchnienia nad zmianę zajęcia, kilka razem tworzyło się prób różnego rodzaju. Księgarze oswojeni już teraz z jego nazwiskiem i pewniejsi odbytu, choć ściskając worek, wyciągali do niego rękę, i po długiej opozycji, znalazł się niespodzianie przyjętym do grona pracowników, z prawem głosu, którego mu długo odmawiano.

Przyszłość więc zdawała się pomyślniejszą, gdy

niespodziany cios znowu w drzazgi całą tę budowę obrócił.

Jednego poranku, gdy spokojny i wesół wszedł do mieszkania Sary, znalazł w niém drzwi pootwierane, nieład straszliwy, porozrzucane suknie, rozsypane książki, ślady widoczne jakiejś sceny gwałtownej... Sara znikła.

Z rozpaczą wpadł do doktora, który na sam widok jego twarzy przeląkł się niewymownie.

— Co ci jest? zapytał: co się stało?

— Sara! Sara! Sara znikła... Sary nie ma! zawołał słabym głosem.

Brant polecił zaraz do jęj mieszkania, zwołano ludzi, rozpoczęto badanie, ale nikt od wczoraj najmniejszego w domu nie posłyszał szelestu, nikt nie wiedział o niczém i śladu, nie było, jak to porwanie dokonane zostało.

Życie i losy pisarza od tylu najrozmaitszych okoliczności ubocznych zależą, iż ze stanowiska, jakie zajmuje wśród społeczności swojej, rzadko sprawiedliwie osądzony być może. Potrzeba krom talentu, natchnienia, poznania położenia swego i obowiązków, zbiegu tak wielu szczęśliwych trafów, by go uznano, by wrażenie zrobiło—że rzadko kto się pochwalić może opieką losu. Niech dzieło będzie najlepsze, ale nie wyjdzie w porę, spóźni się z myślą, którą wypowiedzieć było powinno w danym czasie, a znaczenie jego stracone; niech w chwili ukazania się jakiś wypadek oderwie od niego oczy i duszę ogółu, a wieki

później czekać musi, nim się na nie ludzie obejrzą i wartość jego postrzegą. Pierwsze głosy krytyki, osobiste położenie pisarza, jego charakter i sposób życia, wszystko na nieszczęście jest żywiołem sądu, powodem powodzenia lub upadku. To tylko pocieszać może tych, którzy czują, że duszę swoją wleli w to, co tworzą, że na ich grobie, w jakie lat dwieście pracowity mól grzebiąc się po starych szpargałach, odkryje ich pismo zapomniane, przeczyta je i powoła swych współczesnych do nowego o nim wyroku, rozbioru i sądu.

A że w lat sto lub dwieście namiętności zgasły, stronnictwa zostały zapomniane, ludzie ostygli, sąd ich najczęściej sprawiedliwszy, chłodniejszy, odda cześć temu, co cześć warto, zrzuci z podstawy co niesłusznie na ołtarz wzniesione zostało.

Ale za życia! za życia!... Jak los pojedynczego człowieka często zawisł od spotkania się na gościńcu z jakim włóczęgą, od słowa, które wyrzekł z nieuważnym pośpiechem, od ciepła, pogody, chłodu i odwrócenia głowy na prawo lub lewo, co wszystko nie jest sprawą ślepego losu, ale wedle trafnego wyrażenia słowiańskiego rzeczą *sądzoną*, a zatem sprawiedliwą—tak i los pisarza zależy od nieskończonej liczby drobnych wpływów i zetknięć. Mówimy tu zawsze o powodzeniu dzieł człowieka za jego życia, przekonani, że sąd wieków prędzej czy później przychodzi z nieodwołalną prawdą.

Habent sua fata libelli: jedne w porę przychodzą, drugie za wcześnie, inne za późno; mieliśmy tego dowody ze szkołą romantyczną u nas, którą poprzedziły luźne wystrzały niedosłyszane i niepostrzeżone... znalazłoby się i więcej. Samo odosobnienie autora i od-

cięcie jego od społeczności i duchownego jęj żywota, niezmiernie ważną stanowi przyczynę częstego niepoznania się na pisarzu.

Człowiek zostawiony sam sobie, idzie powolniej, braknie mu pobudek zewnętrznych do myślenia, do rozwijania się; kierunek wreszcie tego rozwoju niepewny: społeczność otaczająca popycha, podbudza, steruje, i ulegając wpływowi człowieka, sama nań przeważnie wpływa.

Sam z sobą człowiek dzieje i chętnie zatrzymuje się na wyrobioném stanowisku, z którego tylko opozycya, walka, do nowej pracy powołać go może, jak trawę do wzrostu zmusza kosa człowieka...

Parę lat upłynęło od czasu, gdyśmy rzucili Stanisława, i po nich wielce go zmienionym znajdujemy: los jego ten sam, ale człowiek, co go znosi, inny.

Ciężką boleścią opłacił on niespodziane zniknięcie ukochanej Sary, która jak meteor zabłysła w jego życiu, mignęła i znikła na zawsze. Pozostał mu po niej nieuleczony smutek i niedowiarstwo w szczęście ziemskie.

W początku szukano starannie jęj śladów wszelkimi możliwymi środkami, w Wilnie, w Kownie, po kraju, gdzie tylko przypuścić było można, że się rodzina Dawida ukrywała; ale wprędce dowiedziano się, że kupiec sprzedawszy całą nieruchomą majątność, sklepy, dom w Wilnie, znikł z kraju, i jak Żydzi utrzymywali, do Pruss się miał wynieść.

Co się stało z Sarą, nikt nie wiedział. Dawny jęj mąż, w skutek rozvodu, wedle prawa, przez samą jęj ucieczkę sprowadzonego, ożenił się raz drugi, i żył obcy zupełnie rodzinie dawniej z nim połączonej. Nawet starego Abrama i żony jego, istot, jak się zda-

wało, gdzieindziej niż w kraju, do którego obyczajów przywykli, żyć niemogących — nie odkryto miejsca pobytu. Porwanie Sary, utajenie jęj, tak było spełnione zrzeczenie, tak ułożone za wczasu, że po nich żadnej naprowadzającej na poszlaki skazówki odkryć nie było podobna. Stanisław jeździł, posyłał, opłacał, Żydzi go mamili, oszukiwali, odzierali, a ostatecznie pokazywało się zawsze, że nic nie znaleziono, że nikt nic się nie dowiedział, a raczej że gmina izraelska zdradzić współwyznawcy nie mogła. Doktor Brant pomagał serdecznie młodemu przyjacielowi, ale i on nie mógł nic zrobić, i Szarski w końcu z rozpaczą zalamawszy ręce, musiał powiedzieć w sercu swém, że stracił na wieki jedyną istotę, która go kochała. A że w życiu jednego człowieka nie ma dwóch takich gwiazd, dwóch takich słońc jasnych — patrzył na przyszłość bezsilny i zobojętniały.

Rodzice, oprócz tego znaku życia, jaki mu dali przez pana Adama, nie odczuli się do niego; pisał do nich kilka razy, ale nie otrzymał odpowiedzi, bo widocznie ojciec rozgniewał się znowu i trwał już w swój do dziecka nieposłusznego niechęci. Życie więc samotne, głuche, odosobnione, ożywiało się tylko pracą, poświęceniem jęj, kapłaństwem myśli; a zasklepienie to w sobie wywoływało coraz nowe idee, dostarczając do coraz nowych dzieł wtku.

Z gorączką jakąś rzucił się do nich Stanisław i zabijał niemal ustawicnością wysiłków; ale wbrew jego chęci, praca nie wycieńczając, męczyła tylko chwilowo, a dodawała sił nowych. Położenie jego w towarzystwie otaczającym, oderwane, niezależne, pozbawione rady przyjaznej, najwięcej mu zawadzało do skutecznego rozwinięcia. Najdoskonalej uorganizowany

człowiek potrzebuje bodźca, rozmowy, krytyki, a wreszcie współczucia; rzucony sam z sobą, zmuszony radzić się siebie i stawać w dwóch na raz rolach, obwinionego i sędziego, wprędce się wyczerpać musi. Stanisławowi często brakło książek, częściej jeszcze ludzi. Pierwsze ledwie miał z rzadka i na krótką chwilę od Benedykta Pleśniaka, od profesora Hipolita, od kogoś przyjaznego lub chcącego się pochlubić, że coś pożyczał poecie; ale drugich, w początkach zwłaszcza po owym wypadku, który imię jego związał z imieniem Sary, brakło mu całkowicie.

Ludzie odwracali się od niego jak od awanturnika, bali się podać mu ręki i drzwi otworzyć. Jednakże jak nic na świecie całym (a u nas bardziej może niż wszędzie) nie ma stałego, i ten wstręt powoli ustać musiał. Jedno pismo po drugim rozgłaszało imię, dawało coraz różnostronniejsze próby talentu; przymioty pisarza budziły zajęcie, ciekawość, pragnienie poznania człowieka, choć to częstol! al! częstol! dwie tak odrębne istoty!

U Stanisława szczęśliwym trafem, człowiek i pisarz byli jednem; ale iluż takich naliczymy, co żyją jak piszą i piszą jak żyją? Zwróćcie oczy na kaznodziejów-pisarzy, i powiedzcie, jak wierzyć tym, których pióro zaprzecza ręce, a ręka kłamstwo pióru zadaje? Oto poeta sielanek i pieśni, czuły, rozkochany, namiętny, który się ożenił z zasmoloną kucharką i wdycha tylko nad pieczenią; — oto twórca epopei narodowej, który mówi tylko po francuzku; — oto moralista wychowujący dzieci w najgorszych przykładach; — oto filozof dający grosz na lichwę Bóg wie jak wprzód zebrały; — jakże tu nie odłączyć pisarza od człowieka i nie przypuszczać niemal dwóch w jednej egzystencji?

Święty Paweł dawno powiedział, że *homo duplex*; ale nigdzie ta dwoistość człowieka wyraźniej w oczy nie skacze, niż w porównaniu dzieł z ich twórcami: rzekłbyś, że pisał inny, a inny imię na tém położył.

I tak może jest w istocie: bo co pisze w człowieku, z człowieka, to nie jednostka jego, to nie on, ale duch zły lub dobry, duch ludzkości, duch wieku; autor trzyma pióro, słucha głosu i wiernie go spisuje. Cała rzecz, że jedni lepij, drudzy gorzej pod dyktowaniem piszą. W życiu prywatném chyba szczególnie okoliczności zmuszą pisarza wyjść z roli człowieka, i przemówić językiem, który mu służy tylko do kazalnicy. Błądzi kto szuka w sławnym twórcy śladów jego utworu, jak gdyby w piórze, którem pisał, chciało dostrzedz śladu poematu. Rzadki tak zjednoczony ze swą rolą i powołaniem człowiek, który cały żył w piśmie, pisząc całe życie ustami, uczynkiem... przykładem.

Większa część najświetniejszych meteorów literatury jest po utworzeniu jak pytonissy zdjęte z trójnoga, z którego wróżyły przyszłość—osłabli, nieprzytomni, chorzy... pospolici ludzie... Co było najlepszego, już się z tego naczynia wylało.

Ale i w życiu pospolitém pisarz ma obowiązek nie skalać się będąc kapłanem; choć nie zawsze sprawia ofiarę, ręce jego i serce muszą być czyste... czekając na chwilę natchnienia. Jak dobre, szlachetne, piękne wylać się może z duszy, która go nie uczuła aż do poświęcenia mu całego życia?

Al różnie się to przecię dzieje.

Są co piszą bez przekonania, a jednak ten ich głos nieszczerzy, sprawą ducha, którego byli mimowolném narzędziem, idzie daleko, i na pewnej społeczno-

ści klasie, usposobionej do przyjęcia go, zbawienne wyrzucić może wrażenie! Tak i trucizna lekarstwem bywa.

Stanisław za wczasu aż do egzaltacyi posunął w sobie pojęcie obowiązków pisarza-kapłana, i, starał się życie swe uczynić czystém i wzniosłém. Ani przykładem, ani mową nie dozwolił się posądzić o sprzeczność z tém, co w nim myślało i pisało. Ten duch, który wiódł pióro, prowadził i życie.

Patrzano więc jak na dziwaka, na człowieka, który wbrew towarzyskim prawidłom, mówił prawdę, który rzadko nie ujął się za przekonaniem swoim, choćby tém kogo miał sobie narazić, i szedł dalej drogą cierniową, bolejąc, a nie szukając wygodniejszych od niej ścieżek.

I on jak inni mógł znaleźć w życiu cieniste drzewo spoczynku, źródło do napoju, legowisko jakieś i kawałek dachu, okupione swobodą, zaparciem się myśli swój i zajęciem około powszedniego chleba, coby go oderwało od wpatrywania się w myśl bożą wyrażoną tysiącem znaków w świecie i ludziach;—ale chciał być sobą i dla spoczynku nic nie myślał poświęcić. Spocznijemy w grobie na długo!

Bóg tylko wie jeden, jak mu chleb powszedni ciężko i krwawo przychodził. Nie ma towaru, coby się trudniej od myśli sprzedawał, nie ma pracownika, coby gorzej wychodził na dzieło swój ręki. Ci, co jego robotą handlują, budują fortuny; on zawsze spragniony i głodny. Pisma Stanisława, dzięki ich oryginalności, świeżości, dzięki może okolicznościom przyjaznym i krytyce, co je prześladowała. sprzedawały się prędko i dobrze; nabywali je bibliopole dosyć ochotczo, ale z każdym rękopismem odegrywali komedję,

żeby go jak najtaniej wytargować z rąk autora. Żaden z nich nie miał tyle sumienia, żeby otwarcie wartość istotną zapłacić; handlowali tém jak inni skórkami zajęczemi. Najrozumniejsi łapali go po chlebstwem, przyjaźnią, drobną przysługą, uśmiechem dobrodusznym; bezwstydniej po prostu wypatrywali chwili dogodnej, targowali się o każdy grosz, a zbywali w końcu bibułowym rachunkiem. Zarabiał wydawca, bogacił się sprzedający częściowo, mający pięćdziesiąt procentów ustępstwa, to jest więcej daleko niżeli sam autor zysku, a pisarz wedle odwiecznego prawa marł z głodu, pracując sił ostatkiem na drugich.

Cieężko było z tego grosza wyżyć choć jednemu człowiekowi; ale Stanisław nie potrzebował wiele, i wystarczyło mu co miał. Zaraz po ucieczce Sary, unikając wspomnień, które mu nastroczało dawne jego mieszkanie na Trockiej ulicy, wyniósł się na Zazecze. Tam wypytawszy sobie parę pokoiów na piętrze, z których widok miał rozleglejszy, zamieszkał wśród pracowitej ludności jednej z najuboższych części miasta. Mało bardzo wychodził z domu, mniej jeszcze miewał ludzi u siebie; zamknięty dumał, pisał, lub gdy się stęsknił jak dziecko wioski do natury, zieleni, do powietrza i wody, leciał w okolice Wilna pełne uroczych widoków.

W tych przechadzkach często zabiegając daleko rozgrzany ruchem, puszczał wodze fantazyi i obmyślał całe ustępy, całe pieśni, które potem zamknięty na klucz w swęj izdebce, pośpiesznie rzucał na papier. W przeciągu tych kilku lat wydał on kilka pism nowych: dramat, poezye, urywki prozy, które krytyka swóim zwyczajem przyjęła z surowością i szyderstwem.

Ale przeciwko wszelkiemu jęj obrachowaniu, Stanisław zyskiwał w opinii za każdą nową książką i krytyką nową, a ucząc się od swych sędziów wad własnych, które najlepiej nieprzyjaciele wskazać mogą, poprawiał się z nich o ile mu dozwalała natura jego i organizacya. Są jednak wady, z których się poprawić niepodobna, wady organiczne; z tych i najboleśniejsza nie uleczy operacya, te rozwijają się z wiekiem jeszcze.

Na końcu roku ostatniego, już imię jego dobrze było znane, ale najlepiej podobno tym, którzy nadaléj od Wilna mieszkali. Sąd oddalonych był niejako wyprzedzeniem wyroku opinii powszechnéj; nie wpływała nań namiętność ani uboczne okoliczności. Wspominano imię Szarskiego za granicą, oceniali go obcy, odbierał dowody współczucia z zapadłych kątów kraju, a otaczający go, obudzeni dopiero tém może, z większém zajęciem poczęli spoglądać na młodego pisarza.

Była to tylko prosta, niestety! ciekawość, nie współczucie. Ten chciał się pochwalić, że żyje z nim poufale, ów podchwycić myśli jego, inny popisać się, wzięwszy go pod rękę na ulicy; ale w ciszy, w zakątku, sercem do serca przemówić, ale mu podać dłoń ciepłą—nikt nie umiał! Miłość Sary i miłość, którą malował w poezyach, dramatach, w urywkach swoich Szarski, bo często wracał do tego uczucia, trochę ku niemu zwracała oczy kobiet, ale i to była tylko zimna ciekawość. A gdy za pierwszém widzeniem ujrzały go zimnym na oko, znękanym, pospolitym człowiekiem, z którego ich oko iskry dobyć nie mogło, mówiły: „Nudne jakieś stworzenie!“ i zwracały się do innych. Chciały, by im od razu wyśpiewał poe-

mat, lub padł do ich kolan po pierwszym ukłonie Często zaproszony do czyjegoś domu, po chwilce spoczynku i rozmowy o pogodzie, spotykał nalegania, aby coś przeczytał; przetrząsano mu kieszenie, szukając w nich papierów; a Szarskiemu, który popisywać się i czytać nie mógł, przykre były te nalegania. Dla niego tak świętą rzeczą było wszelkie natchnienie, że się z nim przed prostą powszednią ciekawością nie mógł popisywać na zimno; każdy swój wiersz brał do ręki z biciem serca, z płomieniem obłąkanej twarzy, ze świętym strachem, by nie rzucić myśli i uczucia na łup stworzeniom, co je mogły splugawić...

Taki człowiek nie mógł mieć powodzeń na świecie; a że jako poeta nierówny był sobie, bo po chwilach dumań, porywały go nagle wesołość, natchnienie, wielomowność i zapalały się w nim ognie niespodziane—sądy więc o nim były nieskończenie różne. Jeden go miał za miłego i wesołego, drugi wyrzucał mu chłód, surowość i nieczułość.

Kółko jego znajomości coraz się powiększało; a że każdy potrzebuje ludzi, więc i Stanisław rad był temu, umiejac w pocziwem sercu swoim znaleźć w każdym przymiot jakiś i dobrą stronę. Razily go może wady i płaszczyzny pospolitych ludzi, ale w kimże najpospolitszym nawet nie odbija się promyczek boży? w kimże nie mieszka coś szlachetnego, coś w jakikolwiek sposób zastanawiającego? Każdy ma stronę piękną, jeśli nie zawsze, to chwilami przynajmniej, wyrazistą.

Dom państwa Ciemięgów z szeregiem ich córek już przerzedzonym, bo niektóre powychodziły były za mąż, pierwszy mu się znowu otworzył. Wprawdzie sa-

ma pani nieskończenie miała za złe poecie, że Pryska, bohaterka jego poematu, została uwiedziona, i miała to za wielkie przewinienie z jego strony, że obraz tak niemoralny odmalował; ale później zamknawszy na klucz w kantorku ów nieszczęśliwy poemat, który wszystkie jej córki przeczytały ukradkiem, jejmość zapomniiała urazy, i dość grzecznie przyjmowała starego znajomego. Rzadziej coraz spotykał się tu Szarski z Iglickim, bo ex-professor już przestał bywać po domach, znajdując, że życie po szynkowniach, w których czas trawił, daleko było swobodniejsze.

Z Bazylewiczem nie widywali się prawie, a spotkawszy, mijali się, jakby nie znali. Zręczny ów literat szedł tymczasem dalej rozpoczętą drogą. Nie udało mu się wprawdzie ożenić z panną Emilią Kłapciówną, która poszła raptem za jakiegoś podpółkownika piechoty, mającego mieć trzysta dusz w Orłowskiej gubernii; ale pocieszył się łatwo, spodziewając się schwycić poddeptaną wdówkę, chorą niestety! zbyt często na fluksyę w twarzy, a ciągle na uczoność, i mającą tylko jedną córkę. Tymczasem spekulował na literaturze, wydawał prospekta, zbierał prenumeraty, pisał artykuły, a że krzyczał bardzo głośno i krytykował śmiało, wyrobił sobie pewne stanowisko.

Professor Hipolit, jedyny przyjaciel Stanisława, zawsze mu wierny, równie ciężko i powoli jak on szedł drogą życia. Ale mimo pozorniej wesołości, nie miał siły wytrwania Stanisława. Po pierwszej, drugiej książce, nie widząc skutku w sławie ani w groszu, założył ręce, zawinął się w szlafrok i rzekł sobie: „Albom głupi pracować dla nich! wolę cudzej pracy używać.“ Żył więc sobie spokojnie, po cichu, w kącie, zawsze czytając wiele, sądząc trafnie, śmiejąc się rad ze wszyst-

kiego, co mu się śmieszném zdawało, i zapalając do pięknego, ale zupełnie zszedłszy sam z placu boju. Piękna twarzyczka ubogiej panienki chwyciła go za serce, pokochał się, głowa mu się zawróciła, niedługo myśląc, nie patrząc końca, ożenił się. Byli szczęśliwi, ale ubóstwo jak robak wyjadało ten owoc szczęścia; przyszło dwoje dzieciątek, przyszedł z niemi niepokój o ich losy, i professor Hipolit trochę z lenistwa, pierworodnego grzechu plemion słowiańskich, wpadł w próżniacze życie pospolitych ludzi. Dawał lekcye, gawędził godzinami, chodził, grał w karty, zjadał śniadania, perorował po kieliszku, a do pracy się nie brał, z dnia na dzień ją odkładając.

Przyparty przez Szarskiego, zbywał go żartami lub obietnicami: „Pocznę za tydzień, jutro, gdy rozpakuję papiery“ i t. p. Wreszcie otwarciój czasem śmiał mu się w oczy.

— Daj ty mi pokój! Próbowałem, na nic się nie zdało,... dosyć tego... Aby dzień do wieczoru, aby życie do końca...

Szarski widział, ile w tój pozornój wesołości tało się rozpacz, bo nieraz dostrzegał, jak czułe ojczyisko, wzięwszy synka na kolana, lżą miał oczy zalane, gdy na przyszłość jego wspominał; ale nigdy nie wydał się z tém, że wie coś więcej niż powinien. Pocziwa to była natura, ale nie umiała się wyłamać z rodowych naszych nałogów. Umiał kochać, gotów był się poświęcić cały, byle poświęcenie to nagłe nie potrzebowało po nim wytrwania długiego, pracy, stałości! Pracować, silić się, padać i wstawać, będąc oplwanym i ukamienowanym wracać do apostolstwa i głos podnosić zahuczany szyderstwem... nie był zdolny.

Bazylewicz także czekał tylko ożenienia, aby swój

połowicy zdać pióro, i poczęte tłómaczenie *Luizyady* Kamoensa rozłożyć na lat dwadzieścia cztery... Wdówka zapewniała mu byt dobry i spokój; dawne pisemka, jakie takie imię, a rozgłoszona wcześniej *Luizyada* także dodawała prawa do wdzięczności ogółu. Mógł więc po ślubie książki porozkładać, papier porozcinać, piór natemperować, tytuł wykaligrafować i sięść z założonemi rękoma... Na nieszczęście to upragnione ożenienie nie przychodziło do skutku, a nawet na chwilę zachwiane zostało. Wdowa mająca kilkakroć i jedną córkę, którą ze swych własnych funduszków wypożyczyć mogła jak chciała, tyle była dobrą partyą mimo wiecznej fluksyi, ciągle się o jój rękę liczni ubiegali zalotnicy. A że chorowała prócz tego nie tylko na literatkę, ale na filozofkę i formalną *blue stocking*, a słabość jój dobrze była znana, wiedzieli więc pretendenci jaką fórtką trafić do niej było można.

Codzień niemal prezentowany przez kogo innego wchodził literat jakiś z papierem w kieszeni i gotowością do wdychania, kochania, żenienia się i przepisywania!

Ale jejmość chciała mieć dobry towar za swoje pieniądze. Pierwsze jój zamążpójście, które z woli matki spełniła jako ofiarę, wcale się jój nie powiodło; musiała się odegrywać na drugim.

Pani Lidzka miała już z okładem lat trzydzieści kilka... wedle kalendarza kochanków nawet; czterdzieści według przyjaciółek; a coś więcej podobno pokazywała metryka i twarz... Nigdy nie była piękną, ale też za to niewiele zbrzydła starzejąc. Sucha, wysoka, blada, najczęściej trochę zapuchła, miała reputację czarnych oczu, które w istocie zrzucały jakoś

jak niedźwiedzie wynoszone i zrobiły się piwne; nos miała jak wszyscy, czoło, usta, brodę niedające się opisać, bo bez szczególnych wdzięków i szpetoty. Z biedy, na portrecie mogła uchodzić za niebardzo brzydką, a przy świecach i bez fluksyi nie raziła niczém; z rana tylko i przed ubraniem mówiono, że nie wygląda ładnie, ale to mogły być plotki zazdrosnej garderobiany. Nosila czasem okulary niebieskie, szyl pracy dawniej, i po nich poznawano ją na ulicy. Zresztą żółta, wychudła, z ręką dużą, z nogą potężną, wcale nie była zachwycającą. Dodajmy, że się ubierać nie lubiła; zapominała się okrutnie i miała pretensyę do filozofii.

Taką to istotę wybrało serce Bazylewicza od pierwszego na nią spojrzenia. Rozmowa obojga wzajemnie im przypadła do smaku, bo oboje mówili więcej niż myśleli i tumanili słuchaczy; a że Bazylewicz ofiarował się skrypta pani posyłać do *Gazety*, drukować, chwalić, bronić i nosić po mieście—zawiązała się tedy miłość...

Niełatwo z nią było do surowej wdowy przystąpić, i przez absolut dostać się do rzeczywistości; ale Bazylewicz tymczasem wzdychał jak miech kowalski, a służył jak piesek. Dwa razy na tydzień urządzał literackie wieczory u pani Lidzkiej, nie opatrzywszy się biedak, że wprowadzał sobie współzawodników; wszyscy bowiem nieżonaci literaci, przychodzący na nie, poczęli chórem wzdychać do wdowy, a im który z nich miał dziurawsze łokcie, tém naturalnie wzdychał silniej i gwałtowniej.

Jejmość rozpatrywała się powoli.

Rumakiem pani Lidzkiej była, jakeśmy rzekli, filozofia, najbardziej niemiecka; a choć pani podobno

nawet nie umiała języka, a nie czytywała nic nad artykuły *Rewiewerowskie*, i pochwytała tylko luźne myśli a raczej pochwetki, w których myśl była i formułki, puszczała się w wykłady panteizmu i obronę hegelianizmu, zagrożonego, jak mówiła, przez obskurantów. Tu więc na jej wieczorach ułożono w obronie idei, zasad, ducha, postępu i tym podobnych wielkich słów, które jak chorągwie powiewały nad paplaniną tej czeredy — wydawać pismo zbiorowe.

Nie było wówczas nic łatwiejszego nad takie wydawanie, które mógł przedsięwziąć kto miał czém prospekt napisać i za co go wydrukować. Prospekt tylko gęsto szpikowano wyrazami: cywilizacya, idea, synteza, analiza, duch (ducha dodawano nie żałując)... obiecywano wiele, rozdawano tymczasem bilety prenumeracyjne w imię cywilizacyi, a zresztą rachowano na pieniądze z prowincyi, na artykuły z prowincyi, na współczucie kieszeni ogółu. Jaki taki prosty dzieciak natury, nie ze wszystkiém nawet od piersi jej odłączony, przysyłał zaraz rzecz o duchu, ze stanowiska... jakiegoś tam skreśloną, inny rzecz o postępie, trzeci poezję do Pauli, czwarty paszkwil jakiś pod pozorem powieści, inny pod pozorem krytyki zemstę... i tak pierwszy zeszyt w świat puszczano z godłem: *Junctis viribus*. O drugim i trzecim rzadko była mowa, a gdy zabrakło myśli, wytrwałości, nauki, cierpliwości i sumienia, zrzucano winę na ogół. Jest to po części historia wielu a wielu u nas pism zbiorowych. Na coś podobnego zbierało się u pani Lidzkiej, na której kolanach wykołysał się prospekt, karmiony przez zapuchłą ową muzę mlekiem filozofii.

Bazylewicz był jego ojcem, ale posłuszny inspiracyi Egeryi, poprawiał go póki chciała i jak pragnęła,

potém wybił w dwóchtysiącach egzemplarzy i rozpuścił po świecie.

Lecz gdy sądził, że już całkiem podbił serce pani Lidzkiej, i upatrywał tylko sposobnej chwili, by jęj paść do kolan, gorącą miłość w oświadczalnym opiewając sonecie, zaszły niespodziane okoliczności, które zachwiały jego przyszłością i przeraziły go niemało.

Najprzód lichy jakieś nadało, że mnóstwo osób, które pobrały bilety na dzieła Jana-Piotra-Felicyana Musiny Bazylewicza (gdyż takimi się ubrał tytułami), poczęły nieprzyzwoicie skwierczeć, skarżąc się, że nie wychodzą; narzekania te w dość przykry sposób sformułowywane, doszły do uszu wdowy. Powtóre zjawił się niespodziewanie niebezpieczny współzawodnik.

Był to niejaki baron Hollar, niby Niemiec, niby krajowiec, niby poeta, niby człowiek salonowy; a że politura nigdy u kobiet nie szkodzi, łańcuszki złote na kamizelce i pierścionki dosyć są pożądane, czarna zaś czupryna i zgrabny wąsik dobrymi bywają agentami matrymonialnemi, przeto baron zaraz po wnijsciu uzyskał pierwsze stanowisko przy wdowie. Goły był jak święty turecki, lepij mówiąc jak literat, Bóg go wie co umiał, ale że jeszcze śmieliej od Bazylewicza prawił, kłamał i przechwalał się, poczęły zaraz z przerażonym Bazylewiczem zjadać się na surowo od pierwszego wieczoru i baron nie dał się połknąć.

Miał on mnóstwo wyższości nad współzawodnikiem: najprzód jaką taką oglądę, której brakło Bazylewiczowi, sztukującemu się niesmaczną rubaszością; powtórę talenta, bo grał, śpiewał i malował, a przynajmniej uchodził za dystyngowanego znawcę i dylltanta w tych przedmiotach. Wdowa także była namiętną artystką, bo grała jedną sonatę Field'a, wyuczona jeszcze za

błogich czasów jego sławy, i wymalowała z pomocą popularnego metra ogromny łeb jakiegoś Tarkwiniusza, wylizany i wysmarowany, który wisiał w salonie, a zwykła była powtarzać, że człowiek bez usposobienia artystycznego zawsze się jęj zdawał niekompletnym. Baron był przytém co się zowie pięknym mężczyzną, i przyjmowano go wszędzie... to jęj pochlebiało... W oczach więc zdetronizowanego Bazylewicza romans się począł na seryo, bo trzeciego dnia dla swęj bogini baron przyniósł canzonettę, której poezyi i muzyki był twórcą, a w dodatku jeszcze sam ją, oświadczać się w ten sposób, wyśpiewał przy fortepianie.

Arcydzieło to, tajemniczego pochodzenia jak sam autor, zaczynało się od wyrazów:

Gdy głos twój słyszę, gdy mowę twą chwytam...

Śpiew pozyskał oklaski, a co gorsza takie wejrzanie, jakiego Bazylewicz nigdy nie otrzymał jeszcze, nawet za napisanie prospektu. Biedny kochanek umierał ze strachu: trzeba się było ratować, poszedł po rozum do głowy. Nie on wprowadził do domu pani Lidzkiej tego nieszczęsnego barona, i nie też o nim nie wiedział; dopiero gdy mu tak groźnie stanął na drodze, zaczął się o niego rozpytywać po mieście.

Pochodzenie było zagadkowe, różnie różni mówili, wywodząc go z Infant, z Kurlandyi, z Hollandyi; ale między głosami temi znalazł się jeden, który mu po cichu pochodzenie izraelskie zarzucał. Za tą nitką poszedł Bazylewicz, i dopadłszy wątku, zasadził się na swoją ofiarę. Jednego wieczoru gdy sam na sam z panią Lidzką rozmawiali o swém piśmie zbiorowém, które wydawać zamierzali, a nikt im planów wspaniałych nie przerywał, Bazylewicz umyślnie zwrócił mowę na barona.

— Nigdybym nie sądził—rzekł zimno—żeby w człowieku tak dalece wychowanie mogło zatrzeć wszelkie, ślady pochodzenia aż do typu fizygnomii. Ktoby to poznał w nim Żyda!

Wdowa poruszyła się żywo na kanapie, drgnęła, zaczerwieniła się i rzuciła badawczym okiem na literata, który dodał chłodno:

— Jednakże Żyd; wie o tem całe miasto!

— Prócz mnie, bom dotąd ani słyszała o tém, ani się domyślała tego, odparła wdowa zagryzając usta. Sądzę, że to potwarz być musi...

— Mogłaby to być potwarz, przerwał Podolak; ale uważała pani, że w wymawianiu taki chlipnie czasami.—To mówiąc rozśmiał się szydersko.—W mieście zowią go baronem Judele.

Pani Lidzka zbladła, pokraśniała, zadumała się, ale już nic nie odpowiedziała.

— Zdradza go także zdatność do muzyki, dodał nielitościwy oprawca: wszyscy Żydzi są bardzo muzikalni, to fakt...

Wdowa ruszyła ramionami, a wtém właśnie wszedł poszóstnie baron, z kieszeniami pełnymi nót, wierszy i nowostek. Pierwsze przywitanie z panią domu przekonało go, że już mu się ktoś przysłużyć musiał. Z ukosa spojrział na Bazylewicza, ale cały wieczór zszedł kwaśno.

Wdowa, jakkolwiek powierzchowność barona dość ję do smaku przypadła, cofnęła się zaraz od niego, poczynawszy wypytywać niespokojnie i dowiedziawszy, się że była tam jakaś wątpliwość względem genealogii.

Naówczas Bazylewicz korzystając z wahania się wdowy, nagle jednego wieczoru upadł ję do nóg, z oświadczeniem wiekuistęj miłości. Że ję wierzyć

mogła, to rzecz dziwna, ale prawdopodobna; zimno jednak przyjęła gorące wyznanie, i kazawszy powstać kochankowi, posadziła go naprzeciw siebie, a poprawując chusteczkę obwijającą wiekuistą fluksę, tak się do niego odezwała:

— Pan jesteś młodszy odemnie.

— Dusze nie mają lat, rzekł śmiało Bazylewicz; bo duch młodym jest zawsze.

— Śmianoby się ze mnie, gdybym za mąż poszła, nie wydawszy wprzód córki, któraby stosowniejszą była dla pana partją nademnie.

— Pani! pani zabijasz mnie temi zimnemi, rozważnemi przewidzeniami... Ja się tylko jednego domagam słowa: kochasz mnie czy nie? oto pytanie żywotne.

Wdówka się uśmiechnęła i wyciągnęła ku niemu suchą, atramentem poplamioną rękę.

— Cierpliwości—rzekła—cierpliwości! Nic nie przyrzekam, ale pan nie rozpaczaj... O czas proszę, poznajmy się lepięj wzajemnie.

Bazylewicz wzięwszy to za przyrzeczenie, upadł ję do nóg znowu, i tak się ta scena skończyła.

Dla Stanisława świat marzeń był właściwie polem żywota, bo w nim więcéj mieszkał niż na ziemi; wszakże przyjaciele wciągali go gwałtem w kółko swoje, między ludzi. Tęskny gościł w niém przybyszem, nie znajdując nigdzie tych wrażeń, tego zapалу, szczerości, jaka cechowała młode towarzystwo współuczniów jego na ławach akademii. Ani tego wylania się mimowolnego, ani tego zapomnienia o sobie,

ani téj otwartości nie było wśród nowych przyjaciół, grających jakąś rolę, zajętych więcej pokazaniem się, niż przepełnionych potrzebą wylania się z tém, co ciążyło ich sercu.

Dni upływały bardzo jednostajnie i po większej części w zupełnej niewiadomości tego, co się działo w mieście; bo maleńkie wypadki codzienne życia, innych nadzwyczaj zajmujące, jego nie obchodziły wcale. Jednego wieczoru zwołł się do niego professor Hipolit, który rzadko bywał na Zarzeczu, bo na dorożki tracić nie chciał, a piechotą zbyt było chodzić daleko. Na twarzy jego nieco zmęczonej, w oczach ciągle łzawych, walczył smutek duszy z wesołością temperamentu. Na ten raz był widocznie po dobrym obiedzie; oczy mu pały, śmiał się ochotczo, i na wstępie zaraz rzuciwszy się na kanapkę przy oknie, z którego był piękny widok na miasto i rzekę, zawołał:

— No, dziku mój, już cię dzisiaj od roboty i z cha-ty twojej wyciągnąć muszę.

— Mnie? zapytał Stanisław.

— Ciebie, ciebie, mój poeto! Mamy w mieście naszem osobliwość, trzeba żebyś ją zobaczył; wszak dobrze rozumiesz po niemiecku?

— Na Boga! tłómaczyłem przecię Goethego.

— Nie racya! Są co tłómaczą nie umiejąc ani słowa języka, z którego robią przekłady. Ale lubisz Schillera?

— Zkądżeś tak dziś pełen téj niemczyzny?

— Zkąd? w mieście całém wszyscy dziś tylko po niemiecku szwargoczą.

— Co się im stało?

— Mamy teatr niemiecki!

— Zkąd?

— Nie wiesz? Truppa jadąca wprost z Berlina, zamówiona do Petersburga, po drodze dają u nas kilka reprezentacyj... Mają kilku przewybornych aktorów: sławnego Karola Moora, tak przezwanego od głównéj swéj roli, i niemniej sławną *Smaragdinę* (jest to jéj *nom de guerre*, Bóg wie jak się w istocie nazywa), ale aktorka doskonała. Muszę cię z sobą poprowadzić na teatr.

Stanisław ruszył obojętnie ramionami.

— A co grają? spytał.

— Coś tam Schillera, nie wiem na pewno, ale cokolwiek dadzą, ciekawym wrażenia, jakie na tobie uczyni poezya niemiecka, czysto niemiecka, w żywą dramatyczną obleczoną szatę. *Smaragdina* wielką jest niezaprzeczenie artystką!

— Pójdziemy więc zobaczyć twoją *Smaragdinę* i porównać ją z naszą panną Izabellą.

— Byłem wczoraj—kończył professor—będę dziś i jutro i póki grać będą, bo przyznam ci się, że mnie ten nowy teatr mocno zajmuje, unosi, egzaltuje... Wystaw sobie Schillera! kochanego młodości naszéj Schillera! granego *con amore*, z tradycją teatru może przez autora natchnioną, pojętego całą duszą... To coś warto!

— Warto—rzekł Staś—bym ostatniego lub przedostatniego rubla na to poświęcił! idę z tobą! Przecież i do nas niezawsze tylko akrobaci jeżdżą, kuglarze, hece i małpy!

— Nie pożałujesz, ręczę: zawołał professor. A że tu w waszój Syberyi na Zarzeczu dorożek nie widać, a ja od ożenienia utywszy nieznacznie chodzić nie mogę, zrób mi tę łaskę i wyjdźmy za wczasu, żeby się i nie śpieszyć, i pierwszych scen nie stracić.

Stanisław posłuchał profesora, i pustki jeszcze

były w teatrze, gdy pod jego skromny portyk podeszli. Dopiero w kwadrans zaczęły się zaludniać łóża, fotele, a powozy grzmieć na bruku. Staś i Hipolit szczęśliwie trafiwszy zajęli miejsca w pierwszym rzędzie zaraz za Każyńskim i orkiestrą, która przez grzeczność dla Niemców poczęła uwerturę z „Oberona“... Był to zapewne pomysł Każyńskiego, który uczuł, że Schiller z Weberem mają jakieś powinowactwo, są typami jednej rodziny, owszem rodzonymi braćmi. Dla Goethego wybrałby był może Mendelsohna.

W łóżach cały już piękny świat błyszczał, i blada Adela w gronostajach, nigdy jęj nie opuszczających, wraz z księciem Janem i matką, zasiadła wprost nad głową Szarskiego, któremu na widok tego szkieletu dawnęj miłości, serce już nawet nie uderzyło... Westchnął tylko jak nad starym grobem porośłym trawą i mchami. Ścisk w teatrze był ogromny: gdyż nigdy u nas krajowi artyści nie robią trzeciej części tego, co lada sztukmajster zagraniczny; a każdy domorosły aktor powinien się modlić do Boga nietylko o talent, ile o nazwisko włoskie, francuzkie lub niemieckie.

Stanisław miał czas obejrzeć teatr, łóża pełne kobiet, parter pełny elegantów, paradyz przepelniony Żydami, gdy nareszcie „Oberona“ ostatnia nótka przedzwieczyła, kurtyna się podniosła, dramat rozpoczął.

Rzeczywiście, truppa złożona była z wybornych aktorów, którzy w swych rolach występowali bez przesady i nadętości, bez fałszywego patetyzmu, który tak niemiłe czyni wrażenie, zwłaszcza w pierwszych scenach przedstawień teatralnych. Mniej też było w ich sposobie odtwarzania poety konwencyonalnych a nienaturalnych ruchów, mimiki wyuczonej, postawy przejętej, nie odczutej, i Stanisław uczuł się

porwany podwójnym wdziękiem poezyi wielkiego mistrza i przedstawienia podnoszącego jęj wyraz potęgą żywego słowa.

W trzeciej czy czwartej scenie grzmot oklasków zwiastował wystąpienie Smaragdiny... rola jęj była skromnej a poetycznej dziewicy... W dali wysunęła się jak cień biały, zbliżyła, i gdy światło padło na twarz jęj cudnej piękności i wdzięku idealnego, Stanisław, który z innymi machinalnie podniósł był ręce, by jęj przyklasnąć, odrętwiał, osłupiał...

Poznał w niej... Sarę!

Pochwycił za rękę profesora, który tego ruchu wyłómaczyć sobie nie umiejąc, przypisał go uniesieniu... potem chciał się rzucić ku scenie. Szczęściem jakimś opamiętał się w porę, nim na siebie wszystkie zwrócił oczy, i padł na swoje miejsce.

Oczy pięknej Izraelitki przebiegły teatr, wiedzione przeczuciem czy tęsknotą; padły na Stanisława, i z ust jęj nagle okrzyk podziwienia dał się słyszeć... ale to trwało tylko chwilę przelotną. Aktorka była wnet panią siebie i pochwyciła swą rolę z potęgą zapomnienia o sobie, z zaparciem się niepojętém.

Oczyma spragnionemi wiódł za nią Stanisław przejęty, wzruszony, wpół żywy, poznając i poznać jęj nie mogąc. Nowa jakaś metamorfoza przekształciła ją zupełnie na ideał różny od tego, który dwakroć przedstawił się w życiu Szarskiego. Nie była to już ani owa dziewczeczka nieśmiała, której wejrzenie tylko mówiło o duszy, ani rozmarzona dziewica, co ukochała Dantego i żyła w poezyi; była to istota nowa, może od obu tamtych piękniejsza, ale do żadnej z nich niepodobna.

Twarz jęj nawet przy tych samych rysach inny miała charakter, spoważniała, podniosła się, znać było, że duch tam panował nad sobą i władał samoistnie... Oczy czarne rzuciły jeszcze ogniem, ale mierzły błyski swe i wstrzymać je lub powiększyć mogły; usta śmiały się jeszcze, ale na rozkaz tylko; rysy oblały spokój jakiś, nadający im linie regularniejszej; czoło podniosło się, kibić zaokrągliła, a ruch wyszlachetniał. Taż sama to była Sara, ale w nowej życia epoce, na wyższym stopniu rozkwitu. Nic nie straciła z wdzięku dziewictwa i młodości, a zyskała na powadze i majestacie. Rola jęj była smutna, łzawa, patetyczna, grała ją mistrzowsko, zwłaszcza w ustępach, w których Schiller tak umie rzucać się na świat i przeciwko światu, z ironią zbolalęj duszy. Gdy mówiła Sara dzwicznym językiem poety, Stanisław uczył takie serca bicie, jakiego nie doznał nigdy jeszcze. A! poezya... poezya w ustach ukochanej kobiety, pojęta jęj sercem, uczuta głęboko, wyrażona dzwicznym głosem, drgającym prawdą, to potęga siły niezmiernęj!

Professor Hipolit patrzył na Szarskiego, prawie nie wychodząc ze zdumienia, bo nie pojmował, co zimnego i obojętnego człowieka tak nagle wprowadzić mogło w ten stan gorączkowy i rozdrażnienie do szaleństwa prawie posunięte.

Gdy Sara znikła, a kurtyna zapadła, obrócił się do niego z zapytaniem:

— Co ci jest?

— Co mi jest! zawołał Szarski. To Sara!

— Jak to? gdzie?

— Smaragdina! Leć, idę... muszę ją widzieć!

— Czekaj! wstrzymał go Hipolit: zamąciłbyś reprezentację... niech się skończy sztuka... ochłoń sam wprzód, możesz zrobić głupstwo, jesteś jak opętany! Ale któżby się był spodziewał, że ci takiego niepokoju napędzę!... Ktoby się był domyślił!

W ciągu następnych aktów, Smaragdina występowała ciągle, gdyż rola jęj była jedną z najgłówniejszych w sztuce. Stanisław pożerał ją oczyma, drżał, dostawał dreszczu, unosił się, płakał... A ona, ona, przelotnie parę razy spojrziała ku niemu, i jakby zajęta całą rolą swoją, zdawała się całkiem wcielona w istotę, którą przedstawiała, nie zmieszana żadnym osobistym wrażeniem. Tylko coraz goręcej, coraz ogniościęj w rozwoju dramatu i sytuacji występowała w swojej poetycznej roli, której w końcu wielka boleść nadaje charakter dziki i srogi.

Zkąd w tej duszy znaleźć się mogły i zabrzmieć nowe struny, na których tak mistrzowsko grała? Zkąd taka znajomość natury ludzkiej, jęj uczuć i odcieni, to wcielenie się i zjednoczenie z utworem poety? Stanisław nie pojmował. Wsparty na dłoni patrzył i zazdrościł sercem wszystkiemu temu, co ją przez te dwa lata rozwijało, kształciło i wzniósł; myślał wdychając, że znowu nie tę spotka Sarę, jaka mu porwana została.

Nie śpieszył już nawet za kulisy, gdy na ostatni akt i krzyk śmiertelnej rozpacz zapadła zasłona wśród szalonych oklasków, tak się obawiał znaleźć w niej to, co spotkał w Adeli. Zmienność, dziwaczność, smutne prawo natury ludzkiej przychodziło mu na pamięć.

Wtém uczył się za suknię pociągniętą z orkiestry,

i nieznajoma figurka, widocznie pochodzenia niemieckiego, wyfryzowane, uśmiechnięte stworzenie poprosiło go skinieniem za kulisy.

Stanisław porzuciwszy Hipolita, pośpieszył z bijącym sercem za przewodnikiem swoim, przez drzwiczki skryte, przejścia ciemne, wschodki i teatralne rusztowania przeciskając się w głąb świątnicy niedostępnej dla profanów. W jednej z tych budek, które po naszych teatrach kłęją wśród kulisowych labiryntów, dla odetchnienia głównym aktorom, zbudowanej ze czterech olbrzymich parawanów, otwarły się drzwiczki płótnem malowanym obciągnięte, i poeta stanął przed siedzącą w krześle Sarą.

W białej sukni swojej roli, w ubiorze heroiny Schillera, ze spuszczonej na kolana rękoma, z głową zwieszoną na piersi, czekała na niego zadumana sama jedna.

Pierwsze spojrzenie, którym się spotkali, było tak wymowne i potężne, że Stanisławowi łzy potoczyły się z oczu, rzucił się, ukląkł przed nią.

— A! to nareszcie ty jesteś! zawołał.

— To ja... *son io*... odpowiedziała wstając z ręką królowej i podając mu rękę artystka, z uśmiechem, w którym więcej było litości, wspomnienia, rozczulenia przeszłością, niż ognia i namiętności.—To ja! *tylko* ja!

Stanisław patrzył, klęczał i milczał, słów nie mógł znaleźć na pytanie, tak pytać się lękał.

— To on! powtórzył cicho, nie puszczając jej ręki.

Sara schyliła się powoli, westchnęła z cicha, i lekki, zimny pocałunek złożyła na jego czole; jakby do-

tykały umarłego, tak bojaźliwie, przelotnie usta jej spoczęły na bladej skroni poety.

— To ja! biedny mój poeto, dodała językiem trochę złamanym niemieczyzną, z uśmiechem litości pełnym. A! nie spodziewałam się znaleźć cię tu jeszcze.

— Ani ja ciebie zobaczyć!

— O losy, dziwne losy ludzkie! już po niemiecku dodała królowa. Chodź! chodź! jedźmy do mnie... przypomnieć przynajmniej dawne czasy... lepsze czasy!

Stanisław wstał, ale rozbudzony i przygnębiony: po tych kilku słowach, po przyjęciu, widział, że ten skarb, który dotąd chował w duszy, trzeba było na gorszą, smutniejszą rzeczywistość zamienić... W duszy gorzko mu się zrobiło.

— Saro—rzekł—dość mi było ciebie zobaczyć, wiedzieć, żeś swobodna, poklasnąć ci królowej... nic nie chcę więcej, ani słowa, ani tłumaczenia, ani litości... wolę pozostać z tém w sercu, co w niem dotąd żyło.

— Zawsze ten sam! zawsze poeta! rzekła cicho, chwytając go za rękę. Tyś się nic nie odmienił, a ja! a ja!

— Nie mów, na Boga, nic mi nie mów Saro! bo nic wiedzieć nie chcę...

— Nawet spowiedzi duszy, która twoją była?

— Była! ty mówisz była! łamiąc ręce zawołał Stanisław.

— I nie będzie już niczyją! odparła aktorka, bo nic już jej rozbudzić nie potrafi! Ale i twojej nie warta... Pozostanie smutną kapłanką sztuki i poezji... Chodź! rzekła rozkazująco: ja cię nie opuszczę, tyłem ci winna!

— Nie odbierajże mi złudzeń ostatek! miej litość! modląc się zawołał Stanisław.

— Złudzeń! ty się jeszcze łudzisz biedny! westchnęła Sara. Al' rzućmy po drodze te dziecinne zabawki: w życiu nic po nich poeto. Zamiast nich, lańcuch i kulę galernika wziąć potrzeba i wlec za sobą! Chodź, chodź ze mną!

To mówiąc i bojąc się, by jój nie uszedł, rękę jej ścisnęła w zinną swą malutką dłoń, narzuciła na siebie płaszcz, zdjęła z głowy zasłonę i przemieniwszy się w istotę piękną jeszcze, ale codzienną, wyszła z nim razem z teatru. Mnóztwo jeszcze amatorów ciekawych czekało na ukazanie się pięknej Smaragdiny, która ledwie rzuciwszy okiem na ten tłum wielbicieli, siadła do powozu wcześniej najętego, i wieść się kazała z Szarskim do zajezdnego domu na oddalonej ulicy. W drodze milczeli oboje... Sara wzdychała czasem; Stanisław słabł ze wzruszenia; chłód jój dobijał go do reszty.

Powóz zatrzymał się, i Sara wprowadziła go do izdebki małej, w której znużona na sofę upadła. Chwilę tak oczy zamknięwszy leżała nieruchoma, jakby myśli zbierając; wstała nareszcie poważna, zimniejsza, śmielsza, i usiadłszy naprzeciw dawnego kochanka, zaczęła mówić głosem, w którym przebijały się dźwięki lat ubiegłych:

— Słuchaj... ty nie zapewne nie wiesz dotąd, jak mnie z Wilna pochwyciono, jak uwięziona zostałam. Moja i twoja familia podały sobie ręce do tego. Obawiano się, żebyś się ze mną nie ożenił, żeby m chrześcijańskiej nie przyjęła wiary. Rodzice moi wynieśli się wcześniej za granicę, unikając odpowiedzialności, ale wciąż niewidzialni czuwali nademną. Środki obmyślane były wcześniej, doktor jakiś dostarczył im usypiającego napoju, w wigilię wieczoru, w którym to

spełnić miano. Pomimo władzy napoju, za pierwszym dotknięciem, obudziłam się z krzykiem i poczęłam bronić ludziom, którzy unieść mnie usiłowali. Ale mi zawiązano usta, skrepowano ręce słabe, i nim szamocząc się potrafiłam zerwać więzy, rzucono mnie do zamkniętego powozu, czekającego o kilka kroków. Zemdlałam wkrótce, nie wiem co się dalej działo ze mną, czułam tylko długo szybki ruch powozu. Kilka dni lecieli tak ze mną bez spoczynku, bez wytchnienia prawie, póki nareszcie nie ujrzałam ojca i matki. Byłam już w innym kraju, pod ich władzą. Złamana nieszczęściem mojem, chciałam z razu głodną umorzyć się śmiercią; ale człowiek! biedny człowiek! tak żyć pragnie! Izy matki tak są silne! Przrzekli mi wolność zupełną w zamian za zaręczenie, że wiary nie odmienię. Rodzice i ja z nimi, mieszkaliśmy w Królewcu; tu oddałam się znów cała nauce, poezji, i myślałam tylko jakby się jeszcze do ciebie zbliżyć, połączyć z tobą! Serce moje rwało się do Wilna, do naszej ulicy Niemieckiej, do twego poddasza akademickiego; ale powoli przyszła i myśl, żeś ty zapomnieć musiał o mnie... Gwałtowniej jeszcze rzuciłam się szukając w książkach pociechy... Schiller przypadał do zranionej duszy; rozkochalam się w nim namiętnie... Dawano *Rozbójników* jego w Królewcu... Poszliśmy na teatr... Ten wieczór postanowił o mojem powołaniu... Powiedziałam sobie: będę artystką!

— I jesteś nią! zawołał Stanisław z zapalem.

— Tak! spuszczaając oczy odpowiedziała Sara: tylko artystką! Ale w tej pogoni za sztuką... wszystko... wszystko pogubiłam po drodze! Umiem malować uczucie, ale czuć nie umiem jak dawniej... Pierwsze moje wystąpienie w Berlinie, na które zezwolili rodzi-

ce, licznymi przykładami zniewoleni, zwróciło oczy wszystkich... Byłam młoda, smutna, rozkochana, a rozpacz lała się z ust moich potokiem, bo była w sercu, bo dobywała się z niego! Tęskniłam ku tobie! Koło pisarzy, poetów, czcicieli; obstało nową królową! Ciebie nie było!... Czekałam, czekałam, wyglądałam łamiąc ręce, i rozpacz, jakaś dzika chęć zemsty mnie porwała. Pierwszy uśmiech wymierzony ku mnie, przyjął uśmiechem, i eszalałam szukając coby mi zastąpiło wrażenie niewynagrodzone pierwszej młodości, pierwszego ruchu życia. O! była to droga męczarni, na której rozbijałam się o głązy, gorzéj! o mary własnej wyobraźni. Zamiast ludzi, których widziałam z daleka, stawały przedemną jakieś postacie chłodne, szyderskie... bez serca... Płakałam, ale cóż ży pomaga! Skalałam się dobrowolnie, by szczęścia zapomnieć; nie potrafiłam stracić pamięci, i pozostałam po téj próbie zimną, szyderską, zastygłą na wieki, jak mnie widzisz, kapłanką sztuki!... wierną martwemu wspomnieniu, które króluje snom moim i łzom niewidzialnym. Nie szukaj we mnie Sary, która cię kochała... Kwiat ten przekwitł już na zawsze; suchy liść chwieje się na łądzy, co go niegdyś wydała... Nic w sercu! nie! cisza! pustka... dzbanek tam tylko stoi rozbity, zbłocony i próżny!

Mówiąc to, Izraelitka nie miała ży w oku, tylko twarz jęj płonęła to bladła, mieniła się jak w ucisku ciężkiej boleści, oddechu jęj zabrakło, padła zakrywając oczy.

Stanisław siedział nieruchomy i martwy jak przed umarłą; patrzył na nią suchym okiem boleści większej nad ży.

— I tyś nieszczęśliwa—rzekł po długiej chwili

milczenia—i jam nieszczęśliwy... Saro! Saro! dodał powoli: tyś winna! Brakło ci wiary. Jam wierny wspomnieniu twemu pozostał. Bez nadziei święciłem pamiątkę, i nie skruszyłem mojego bóstwa domowego do dziś dnia... Twoje ręce je rozbity...

Zwiesił głowę i gorzko zapłakał.

Izraelitka powstała, popatrzała nań długo, litościwie, boleśnie, a wejrzenie to zdawało się mówić:

— Wierz! wierz kłamstwu mojemu! i niech cię fałsz ten ocali!

Potém dodała:

— Nie mówmy o mnie; mów ty mi o sobie!

— O sobie! uśmiechnął się Stanisław... dla mnie, we mnie, ze mną nic się nie zmieniło. Do dziś dnia, aż do téj godziny...

— Bądź zdrowa! bądź zdrowa! szepnął cicho— wyszedł chwiejącym się krokiem i nie oglądając się na nią, zniknął.

Nie słyszał jak straszny krzyk boleści rozległ się po smutnej izdebce, jak okropna, śmiertelna po nim nastąpiła cisza!

Nazajutrz, niespodzianie poprzyklepane na afiszach ogłoszenia, oznajmiły publiczności wileńskiej, że trupa niemiecka pod dyktando pana Gipfel'a, dla nadzwyczajnych przyczyn, więcej nie mogąc dawać widowisk w Wilnie, odjeżdża w dalszą do stolicy drogę.

Professor Hipolit, który pośpieszył na Zarzecze jakimś instynktem przyjaźni, znalazł Szarskiego od wczorajszej nocy siedzącego na sofie, z okiem wlepio-

ném w ścianę i zupełnie prawie nieprzytomnego. Do-
stał był biedny jakiegoś rodzaju odrętawiałości, z któ-
rą go aż środkami lekarskimi budzić było potrze-
ba; a choroba, która się zaraz z tego wywiązała, nie
łatwo staraniem ojcowskiem doktora Branta mogła
być pokonaną.

— To szczęście—mówił doktor zażywając tabakę—
że w nim tylko dotąd dusza swawoli i dokazuje,
a ciało mocne i niezużyte; inaczej jakby się wzięły
we dwoje do jegomości, niedalekoby zajechał... nie
miałby siły przenieść połowy tego, co przeboleł. Ale
młodość poszanowana, lat dwadzieścia kilka, to po-
dobno najskuteczniejsze lekarstwo... będzie zdrow.

Jakoż wyzdrowiał wreszcie Szarski, ale ta ostat-
nia próba go dobiła. Wstawszy z łóżka, podniósł się
z niego starcem, na pościeli zostawując ostatnie
technienie młodości. Świat wydawał mu się już ina-
czej, horyzont chmurny, nigdzie przyszłości podpory,
nigdzie na jutro poręki. Potrzeba było żyć, bo ży-
cie jest obowiązkiem; ale jak ciężką ciarę przyjął je
uzdrowiony. Nie było w niém ponęt dla niego, nic,
coby jak wprzód rozjaśniać mogło przyszłość, żad-
nych zwodniczych ideałów, szara, mglista, błotna dro-
ga codzienna, której krańce ginęły na ciemnych ja-
kichś wyżynach. Nade drogą ciężary do dźwigania,
kamienie do spoczynku, kości wędrowców bielejące
bez pogrzebu, i mogiły ludzi, mogiły nadziei, mogiły
złudzeń, mogiły wiar i marzeń, grobowiska bez koń-
ca. Takim wydało mu się życie, i długo przekonać
się nie mógł, by znowu wziąć się do pracy. Miałże
swe żale i rozczarowanie wyśpiewać? dzielić się ogar-
niającym go chłodem? czy grać komedię wesołości
i jak błazen na zamówienie śmieszyć ludzi, za grosz jał-

mużny? Wszystko, co go otaczało, świat ze swemi
drobnostkowemi wielkościami, które pożerają ucho-
dzące godziny, ludzie ze swemi kłopotami marnemi
i dziecinną rozpaczą, dzieje ze swym jednostajnym
rozwojem jednej idei znikomości... wydały mu się tak
licho, tak poziomo i maluczko obok boleści, którą
przeżył, że ledwie chciał na nie rzucić okiem. Własne
i cudze utwory tak znalazł blademi, słowo ludzkie tak
czczem, sławę tak dziecinną igraszką, myśl tak nie-
pewnym wyrazem prawdy, poezję tak słabem echem
uczucia... iż wszystko odtrącał od siebie.

Założył ręce i rzekł w duchu:

— Żyjmy, by patrzeć i dożyć do końca!

Ale stan ten początkowy nie trwał długo. Jedyny
przyjaciel, professor Hipolit, który siebie wprawdzie
z rozczarowania wykurować nie mógł, ale doskonałym
był gdy o leczenie drugich chodziło, świadek wszyst-
kiego, powiernik Stanisława, postanowił go dźwignąć
z upadku, dobrze stan jego pojmując.

Dawszy więc zasklepić się ranom rozpaczy, począł
budzić Stanisława z odrętwienia całą siłą swęj przy-
jaźni. Wierzył czy nie w słowa swoje, ale je miał na
podoręczu.

— Słuchaj, rzekł: dosyć już tego, czas wstać,
plunąć i pomyśleć, że życia jedna jakaś tam miłostka
pożerać nie powinna. Cożes ty myślał? albo ci nie
powtarzano od dziecka, co to *foemina*? Przecież wie-
dzieć musiałeś, że na tym fundamencie nic się nie
buduje, chyba szałas dla rozrywki, ale nie dom i świą-
tynia. Wstydź się, żeby życie struć sobie jedną bo-
leścią i jaką? po stracie kobiety!

— Mój drogi, odparł Szarski: mów co chcesz, bę-

dziesz miał sto razy słuszość przed rozumem moim, ale spróbuj przekonać serce!

— Serce czas przekona, a tymczasem woli potrzeba do dzieła przyłożyć... Choroba twoja pociągnęła mnie na wydatki, ja mam żonę i dzieci, tyś goły, siadaj i pracuj, żebyś mi się wypłacił, bo długo ci czekać nie mogę... A jak ty mi tak z założonemi rękoma siedzieć bédziesz...

Stanisław poznał się na sztuce, uśmiechnął i ruszył ramionami.

— Spróbuję—rzekł—choć doprawdy, nie wiem na coby się to zdać mogło... Reszta mojego życia ciężką podobno będzie pańszczyzną.

— Zachciałeś! Wszak w *Bogarodnicy*, Adam „bożym kmieciem“ nazwany; wszyscyśmy boży kmiecie, pańszczyznę robim Boga... Dalej tedy, bo na tobie zalega!

Stanisław wpół sam przez się, nawpół nakłoniony słowy przyjaciela, usiadł do pracy; ale ostatnią kartę, na której zatrzymało się pióro w dniu poprzedzającym chorobę, od pierwszej, którą teraz poczynął... oddzielał cały świat. Inny to był człowiek, kończący z uśmiechem podziwu i nieufności to, co rozpoczął z młodzieńczą otuchą! Rzekłbyś, że kilkanaście lat pożarła ta choroba...

Brant i Hipolit, zachęcając i zmuszając prawie do pracy, postanowili go też w świat wprowadzić koniecznie, i póty około niego chodzili, dopóki nareszcie nie wyciągnęli go z jamy. Stanisław był dość pożądanym wszędzie, zapomniano dawnych wstrętów, sława młodą jego skroń opromieniała, otwarły się przed nim drzwi wszystkie.

A im ze smutniejszym czołem wchodził gość, tém pożądanyszy był może... Smutek, który się nie uskarża, nie żali, nie płacze, pociąga ku sobie.

Zdziwił się Stanisław, znajdując tyle wdzięku w prozie życia, tyle niespodzianych stron dobrych w ludziach najniepozorniejszych...

Mieszanina ta złego i dobrego, z której się świat składa, jemu co był przywykł ludzi wyobrażać sobie poetycznie z jednej bryły... pierwiastki dziwne, z jakich się składa rzeczywisty człowiek, czyniąc z niego jedno z najniepojętszych stworzeń,—zdumiały go, ale nieco pogodziły z braćmi. Znikł dla niego ideał, którego szukał na ziemi, pełny, czysty, wielki, ów dyament bez skazy... ale teraz okrucy jego poczynął widzieć wszędzie, i na każdej skroni, na każdej piersi błyskała mu jakaś gwiazdka maluczka. Zesmutniał dla niego świat młodości, ale tu i owdzie uśmiechała się jeszcze to myśl, to uczucie młodzieńcze, i trzeba się było z usty, co je wypowiadały, na chwilę pogodzić.

Dojrzewał w ten sposób Stanisław mimowolnie a praca poezję dla niego stawać znowu potrzebą i warunkiem żywota. Przypominał sobie słowa Goethe'go, który na zapytanie jakiegoś podróżnego, co znaczy w jego domu kolekcya minerałów, odpowiedział z uśmiechem:

„To jest balast mego życia!“

I każdy z nas ładuje swój statek opróżniony jakimś balastem tego rodzaju... jakąś pracą, zajęciem, rozrywką, boby pozbawiony nadziei, którą do brzegu przewoziła młodość, zatonał w powrocie.

Jednym z domów, do których najczęściej przychodził Stanisław, był szlachecki ów skromny dom pań-

stwa Ciemięgów, gdzie przynajmniej nie okarmiano go literaturą. Jest może wielu poetów, literatów, uczonych, którzy lubią mówić o swoim przedmiocie; ale ci, co go szanują, ze wstrętem słuchają zapytań, rozpraw, badań, wyrażnie na ich intencję pokładanych na stół, jak dla innych gości podają się ulubione im pierogi z serem lub naleśniki. Tu bez naciągania mówiono o czém Bóg dał, nie męczono egzaminami, nie wyciągano na zdania, by je potem powtarzać, nie dopominano się tytułów prac nowych, ani czytania próbek. Sama pani ucieła czasem ogromnego baka, wszyscy się pośmieli serdecznie, i znowu wracano do niewinnych plotek. A wdzięczne panienki, wesołe, szczebiotliwe, łagodne, poczciwy gospodarz zawsze wesoły i poważna matka rodziny, stanowili z zięćcami świeżo przybyłymi do tego grona, obrazek familijny wcale miły i pełny kolorytu wiejskiego.

Chociaż mieszkali w mieście od lat kilku, czuć było w ich domu, przyjęciu, obejściu, coś sielskiego, jakąś otwartość, gościnność, szczerotę, przywiezioną z pod Oszmiany czy Lidy, nierozszafowaną jeszcze w mieście.

Zdziwił się bardzo jednego wieczoru Szarski, zastawszy w zwykłe dość pustym saloniku państwa Ciemięgów liczne zgromadzenie, mnóstwo kobiet i mężczyzn, z zakroju, mowy, ubioru widocznie świeżo ze wsi przybyłych. Tego najazdu powodem były imieniny saméj pani, na które bliżej zamieszkała familia i znajomi, zmówiwszy się, zbiegli do Wilna, chcąc tydzień karnawału wesoło przepędzić. Gospośia, gospodarz sam postawiony między drzwiami a rodzajem bufetu, panny postrojone, wszystko to krzątało się śmiejąc, podskakując, chychocząc, ściskając dawne zna-

jomości, a kółko to całe przedstawiało tak wesołe i związane gronko, że Stanisławowi aż się serce rozradowało na ten widok. Mężczyźni już wedle zwyczaju naszych czasów, po większej części siedzieli z herbatą i fajkami w średnim pokoju nad preferansem; kobiety zamężne zajęły kanapę, panny kręciły się około fortepianu i herbaty, a kawalerowie, których było niewielu, znów kręcili się około panien. Poznałeś łatwo po szczerych, głośnych śmiechach i ruchu żywym, że to wiejskie towarzystwo... Coraz to wybuchwały słowa, wykrzyki, żarty... aż miło słuchać ich było.

Stanisław postrzegł się w progu, że przyszedł nie w porę i wpadnie między obcych; chciał się więc cofnąć zaraz ode drzwi, ale pan Ciemięga, który go bardzo lubił, schwycił za poję i nie puścił.

— Cha! cha! cha! cha! cha! począł krzyżeć: Jejmość! Emilko! Julciu! Karolko! ratujcie! w pomoc! w sukurs! Cha! cha! proszę o sukurs!

— Ale ja tu państwu będę zawada... tak się wesoło bawicie!

— Cha! cha! co za zawada! nie puszczę!—I wciąż wołał do swoich: Kto w Boga wierzy, na pomoc!

Aż dwie panny nadbiegły.

— O! o! to! to! to! weźcie-no tego panicza! zawołał gospodarz: pod konwojem dostawcie go do salonu... dezertera! Chciał uciekać, zobaczywszy, że nas tu tak sporo!

— Co to pan myślał? zaczęła Emilka figlarnie: że nam już do herbaty filiżanek nie stanie? A! to ślicznie!

— Ale państwo macie gości, familie!

— I właśniebyśmy radzi, żebyś pan naszych pocziwych poznał sąsiadów.

— Mamol! zawołała starsza, wchodząc ze Stanisławem do salonu: oskarżam formalnie pana Szarskiego. Zobaczywszy, że nas tu dużo, chciał uciekać.

— O to pięknie! odparła jejmość grożąc: i poeta i tchórz!...

— Widzi pan, jak mama pana połajała; otoż masz za swoje. Teraz siadaj i graj sobie po cichu w cenzurowanego, bo pewnie tu z nas wzórków nałapiesz, dodała Emilka.

— Panil! przerwał Staś: czy to się tak mówić godzi?

— Godzi się, kochany panie. Wy pisarze tacy jesteście, że mimowoli karmicie się ciągle tém, co was otacza. Ja to pojmuję jakoś, i nie mam wam za złe; ale że niejeden gniewać się może, choćby niecały znajdując się w książce... ten za swój nos, ów za ucho, ten za przysłowie, ów za charakter, inny za ruch... to także prawda...

Stanisław podniósł oczy ku gospodyni, i po chwili spotkał dwie twarze zwrócone ku sobie... jakoś mu dziwnie, jakby ze snu znajome. Nie mógł w początku przypomnieć sobie, gdzie je widział, ale oczy ich wlepione weń były z widoczném zajęciem... Bliżej niego siedziała staruszka miłych rysów, pogodnego czoła, a przy niej panienka, blondynka, niebieskooka, łagodnej i ślicznej twarzyczki. Nie była to idealna piękność, ale coś anielsko-słodkiego, pociągającego, miluchnego uśmiechało się smutnawo w jej okrągłuchnej, lekko zarumienionej twarzyczce. Zdawała się być dobrocią samą, i przypuścić było trudno, żeby się zagniewała, żeby się zniecierpliwić nawet mogła.

Stanisław dumiał i nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je widział; a był pewien, że spotkał gdzieś w życiu to wejrzenie i te usta... Nareszcie po długiej walce ze wspomnieniami, przyszła mu na myśl podróż do Krasnobrodu ostatnia, i spotkanie w drodze na noclegu, i wiersz, który dziewczę czytało, i z matką po nim rozmowa. Błogo mu się zrobiło, że jeszcze raz w życiu spotkał to zjawisko, tę nieznaną istotę, która się za szczerość jego, nie znając go, ujęła.

Może właśnie słowa poety, którego wiersze z upodobaniem czytała dziewczeczka, czy jej ję niebieskie na niego skierowały; może i matka przypomniała sobie tę z córką rozmowę, i obie z ciekawością bojaźliwą wpatrywały się w smętne czoło młodego człowieka.

Emilia zaprezentowała go siedzącej obok matce, pani Breźniakowej, krewnej Ciemięgów, a ta, wedle oklepanej formułki, którą osłodziła uśmiechem pocziwym i szczerym, odezwała się do Stanisława:

— Znamy pana dawno z pism jego... ale ja mam i do blizkiej znajomości prawo, bom w młodości dobrze znała matkę jego, z którą żyłyśmy w przyjaźni.

Stanisław na wspomnienie Krasnobrodu, matki, której tak dawno nie widział, bojąc się zapytań przykrych, zmieszany skłonił się w milczeniu. Towarzystwo szczęściem zmieszało się, połączyło, podzieliło na gronka, i ożywiając się powoli, pochłonęło przybysza, który prędko stał się niezawadnym, i raz przepłynąwszy stromy brzeg literackiego do rozmowy wstępu, wcielił się w pospolitą gawędkę, wesolą i orzeźwiającą.

Los kilka razy zbliżał go i oddalał od pięknej dziewczeczki, aż nareszcie przy herbacie usiedli przy sobie. Marylka (to było imię blondynki), cała zarumieniona, nic nie mówiła do sąsiada; sąsiad też nie

począł rozmowy,—aż na to milczenie złowrogię nadbiegła Emilka.

— Widzę, rzekła zwieszając się nad ich krzesłami: że państwo gracie w milczka oboje... Możecie jeszcze nie prezentowani sobie? a właśnie najśliczniej jesteście dobrani: poetycznej Marylce, co tak lubi książki, co tak pożera poetów, dostało się miejsce przy panu Szarskim... I milczy teraz, stchórzywszy jak widzę! A fe! poznajcież się państwo z sobą, a ręczę, że będziecie kontenci! Marylko, budzę cię... w złotych okładkach... Cha! cha! poczęła się śmiać pusta dziewczyna.

Marylka czerwieniła się, śmiała, ale łokciem biedna trącała Emilkę, żeby ję nie kompromitowała, szepcząc ciągle:

— Zlituj się! cichoż! proszę cię...

Staś odezwał się wreszcie.

— Pani mnie nie widziałaś w życiu, rzekł łagodnie: ale ja znam panią, i jedną z chwil najmilszych, jedno z wrażeń najśłodzych, jakich doznałem, winienem pani...

Emilka w ręce klasnęła, a Marylka pobladła ze strachu.

— A! zawołała—cóż to jest? co to być może?...

— Muszę się wytłumaczyć, kończył Stanisław. Trochę to już dawno temu, jechałaś pani z matką, nie wiem dokąd, gdzieś ku Lidzie, nocowałyście panie w karczemce, i na noclegu... przyszła pani chętką—za którą o! jak ję wdzięczen jestem!—przeczytać jakąś biedną poezję... Potém rozmawiałaś pani o nię z matką, a pani broniłaś poety... a poeta... niegodny! podsłuchał i upił się rozmową!

Marylka o mało nie upuściła z rąk filiżanki, tak się przelekkła, tak pokraśniała, słysząc to z ust Stanisława. Emilka śmiała się do rozpuku i podskakiwała z radości; a matka postrzegłszy córkę w kłopotcie, przybiegła do nię z troskliwém zapytaniem, eo się stało?

Wytłómaczono ję to w kilku słowach.

— Byłbym nie podsłuchiwał, gdybym mógł nie słyszeć, rzekł zarumieniony Stanisław; ale tak mi było słuchać miło!

— Jednakże to niedobrze! niedobrze, żeś nas pan tak szpiegował! uśmiechając się dodała matka.

— Czuję tę winę, odpowiedział poeta; ale któż na mojem miejscu byłby miał odwagę odwrócić się od słowa pociechy!

Marylka jeszcze do siebie przyjść nie mogła, tak ją to wszystko mieszało... wszyscy w salonie rozpowiadając ten wypadek, na nią i na Stanisława oczy mieli zwrócone.

Nareszcie odzyskała trochę śmiałości, podniosła oczy i odezwała się po cichu:

— A! cóżem ja tam mówiła? przypominam i przypomnieć nie mogę... ale przynajmniej nie złego?

— Za tych słów kilka całém życiem wdzięczen będę pani, rzekł Szarski, kładąc rękę na sercu. Są to może w życiu mojem jedyne dane mi słowa pociechy... Za co tylko mógłbym mieć trochę pretensyi do pani, to, że nazajutrz, gdyście panie opuszczały karczemkę, nie raczyłaś spojrzeć nawet na pieszego podróżnego, stojącego nad drogą i żegnającego łąą wdzięczności!

Marylka próżno już sobie to spotkanie usiłowała przypomnieć... nie mogła. Poczęli rozmowę z sobą,

ale ta się nie wiodła. Staś odszedł nie weselszy od państwa Ciemięgów, ale nieco spokojniejszy.

Po drodze myślał trochę o pięknej Marylce; ale wspomniawszy na życie swoje, na doznane w niem zawody, na zmienność serca i zmienność człowieka, westchnął tylko i rozwiął mary westchnieniem. „Za lat kilka... kilkanaście co się z nią stanie? spytał w duchu: Ten ładny różowy anioleczek, tak dziś świeży sercem i duchem, w co się zmieni i obróci? W kobietę zalotną czy żonę gderliwą, w skwaśniałą starą pannę, czy w skłopotaną matkę, biegającą za trzodką swych dzieci? Umysł, serce, wszystko ulegnie temu prawu organizacji, tej nieubłaganej konieczności zestarzenia się, które na nas wszystkich ciąży. Niewiele wyjątków dochowuje świeżość lica i serca do śmierci... ogół wiednieje rychło i przytula się do ziemi. I to zjawisko mego życia, które już raz drugi przesuwami się przed oczyma, Bóg jeden wie, jaki los czekał To bojaźliwe dziewczę, które drży, płonie, miesza się i milknie, jaki ma zaród w duszy? jaką przyszłość przed sobą?.. Kto zgadnie? Może niejednego kochało już i przekochało, opłakało i zwróciło się ku innemu, a jutro nastąpi trzeci... a pojutrze czwarty... a dalej człowieka zastąpią inni kochankowie, aż do psów i karnarków, bo nic nie uchowa się w sercu długo! Tak uczucia wyrzucają na brzeg rozbite szczątki łodzi, którą niosły przed burzą...”

I zachmurzywszy się znowu myślami temi, Szarski powrócił do domu, a piękna Marylka jak cień przesunęła się przed nim i znikła... Nie wzbudziła w jego sercu uczucia, któreby była dawniej wywołała może: przyszła za późno! Westchnął, ulitował się, podumał i oderwał się od tego świeżości pełnego zjawiska...

Życie autorskie szło dalej kolejną, jaką je charakter pisarza i pierwsze jego kroki powiodły. Było ono mieszaniną drobnych pociech a utrapień wielkich, bo świat mniej ma czasu na współczucie, a gorąco się zaprzęta swym gniewem i niechęcią. Stanisław jako pisarz obrazów z życia towarzyskiego branych, jako malujący nieustannie typy otaczającej go społeczności, wystawiony był na najdziwniejsze napaści, podejrzenia i zaczepki. Nie umiano sobie wystawić pisarza, któryby nie korzystał z typów spotykanych po świecie; niechciano wierzyć w jego obojętność lub sumienie; szukano w nich koniecznie odtworzenia osobistości, znanych, wzorów żywych, tożemsty, to niechęci, to zazdrości, to jakiegoś podłego uczucia. Podejrzenia te rodziły sceny najosobliwsze.

Dopominano się u niego o wszystkie wady, jakie wytykał ludziom; każda z nich miała adwokata; każdy stan odzywał się za sobą. Ci nie pozwalali wspominać nawet duchowieństwa, inni zastawiali się za szlachtę, drudzy gniewali się za panów, innym jeszcze zdawało się, że za mało okazywał sympatii dla klas upośledzonych od losu. W ostatku każdy charakter i typ, nawet powierzchowny opis osób, wywoływał okrzyki:

„To ja! to mój sąsiad! a to ten! a to drugi!”

Trafiało się często, że te ubolewania bywały wypadkiem usprawiedliwiane, że na przykład wystawiony był jakiś jegomość, mający na nosie brodawkę, zeniący się z jejmością, która kulala na prawą nogę, i słowo w słowo znalazł się o sto mil pewny jegomość z brodawką mający żonę kulawą... Wnet tedy dopominano się, reklamowano, wołano, hałasowano na autora... Było dosyć takich wypadków.

Postacie obrazów, powieści, musiały mieć nazwiska: nowy kłopot z nimi! Niepodobna wszystkich bohaterów po staremu mianować Staruszkiewiczami, Zalciońskimi, Fircykiewiczami i t. p.; trzeba żeby i nazwisko nosiło cechę prawdy miejscowej: a nuż się trafi w herbarzu Niesieckiego drugie takie, cała rodzina w krzyk, lament, lecą listy po listach, anonimy szła mu groźby, zjawiają się postacie rozplomienione gniewem... nie wiedzieć co począć z niemi. Bij się w piersi i przepraszaj.

Jeden z takich wypadków niezmiernie był przykry Szarskiemu. W ostatniem z pism swoich odmalował on dom, który nie wiem komu podejrzliwemu podobalo się uznać za odbicie familii Ciemięgów. Że Szarski nie myślał o tém, to pewna; ale dość rzucić na wiatr tego rodzaju podejrzenie, żeby obudzić posądzenia i gniewy. Usłużny jakiś przyjaciel szepnął o tém samą pani: posłano żywo po książkę, poczęto ją czytać... Sam pan protestował, Emilka serdecznie się śmiała; ale mama wzięła to do serca, druga siostra uwierzyła także, i jak zaczęli każde słowo roztlómaczać, przekonali się, iż w istocie zostali *ad vivum* odmalowani. Nie było najmniejszego podobieństwa między rodziną w obrazie a rodziną zaczął choć śmieszny państwa Ciemięgów; ale liczba córek była równa, a na nieszczęście znalazły się w opisie i na stoliku filiżanki niebieskie... więc nie było potrzeba! Matka zakląła się, że za pierwszą bytnością Szarskiego srodze mu da uczuć swoją krzywdę.

Nic o tém nie wiedziała niewinna ofiara—i po kilku tygodniach, wedle zwyczaju wszedł Stanisław do domu państwu Ciemięgów z czystem i spokojnem sumieniem. Zdziwił się, postrzegając po twarzach czer-

wonych, po minie gospodarza, po zafrasowaniu Emilii, że trafił jakoś nie pod humor. Matka żywo nadeszła, a że w niczem się tać nie umiała, od razu nań wpadła.

— Już nie wiem—zawołała prosto z mostu—jakiem pan czołem tu przychodzisz?... Tak! tak! strój pan mnie świętoszka! ślicznie to w uczciwy dom wszedłszy, będąc przyjmowanym od serca, uczynić go pośmiewiskiem! I masz pan czoło jeszcze potem do nas przychodzić!

Szarski zerwał się jak oparzony.

— Cożem ja winien! na Boga! co to jest? nie nie rozumiem!..

— — A tak! udaje, że nie nie wie, a w *Ciapugrochu* (był tu nieszczęsny tytuł ostatniej książeczyny) to nie my figurujemy? nie my? A córki? a niebieskie filiżanki? a okrągły stolik? Wszyscy poznali! nie myśl pan, żeby nas oszukać można!... Kwita z przyjaźni!

Szarski nie chciał i nie mógł się tłómaczyć; wyszedł ruszając ramionami, oburzony i smutny.

W ulicy spotkał go professor Hipolit i przywitał bardzo zimno.

— A! jak się masz obrazotwórco? rzekł jakoś szdersko.

— Zkąd idziesz?

— Tak... bez celu... Ale powiedz-no mi, dodał obracając się nagle: kogo to chciałeś wystawić w tym literacie, który tak jest, jak ludzie mówią, do mnie podobny? wiesz, w *Arwedzie*?

— A! *Et tu Brute!* odskakując i załamując ręce zawołał Szarski: i ty! i ty Hipolicie!

Professor zmieszał się trochę.

— A! to mnie boli, okrutnie boli! z wyrazem głębokiego żalu i wymówki rzekł poeta. Jak to? ty, ty

dałbyś sobie wmówić przez głupców, że ja, com ci tyle winien, co cię tak szczerze szacuję i kocham, byłbym w stanie brać cię za jakiś prototyp i wzór do postaci w powieści? Jest to coś, jakby anatomista krajał dla studyów trupa najlepszego przyjaciela! Powiedz mi, czy sądzisz, że jabym to był w stanie uczynić?

— Ja tego nie mówię... tłumacząc się rzekł Hipolit zmieszany — ale prawdziwie... ludzie... moja żona... wszyscy...

Szarski ruszył ramionami z pogardą.

— Śmiejże się z ludzi i z tych, co ci to wmawiają, a którzyby mnie dla swojej pociechy z całym światem chcieli poróżnić. Sam weź, czytaj, sądz: jest-li co jednakiego w tych dwóch, imaginacyjnej i twojej pocziwiej a świętej dla mnie postaci? Wiesz, żeś mi zadał cios śmiertelny...

Hipolit chwycił odchodzącego za rękę.

— Ha! Posłuchaj, nie gniewajże się; cożem winien, żeś ci to szczerze wypowiedział?

— Tylko co i za Ciemiegów spotkała mnie scena podobna — dodał Szarski, — równie śmieszna, ale ich głupstwem przedźej dająca się usprawiedliwić.

I począł mu opisywać swoje u nich przyjęcie.

— Dalej — rzekł — nigdzie już niepodobna mi będzie pójść krokiem... wszystko zatruje to nieszczęsne powołanie. Niechże obcy... niechże tłum, ale ty! ty, na którego liczyłem jak na wybranego, i ty uległeś słabości widzenia siebie wszędzie! Hipolicie!

Jakkolwiek gorąco tłumaczył się professor, znać było, że na dnie jego serca osiadła już niechęć, którą zarówno posądzenie jak ostatnie Szarskiego wyrazi

wzbudziły. Rozstali się na pozór przyjaźni, ale chłodni już i na wieki rozbratani może!

Stanisław cały się odtąd zamknął w sobie, wyrzekając się ludzi; dozwolił posądzać się, łajać, mówić co się komu podobało, nie próbując nawet bronić.

Im bardziej biedna jego sława rozszerzała się po światku, tém oczy wszystkich skwapliwiej zwracały się na niego; a nie mogąc przebić ścian, wśród których się zamykał, poczęto domyślać się i zgadywać na jego rachunek co się komu podobało. Nie kosztowały tu najdziksze przypuszczenia. Jedni mówili, że się upija, inni, że wiecie życie zamknięte aby pokryć jego szkarady; przypisywano mu najosobliwsze romanse, najdziwniejsze gusta i charakter całkiem ekscentryczny; komponowano anegdoty z niczego, bawiono się kosztem nieszczęśliwego z obojętnością, z jaką dzieci złapawszy czasem chrząszcza, na szpilce go obracają dla rozrywki. Liczba znaczna pism, które wydawał, dozwalała jednym przypuszczać, że kogoś okrada, drugim, że czasami trzy na raz rzeczy dyktuje, lub niepoprawny i ledwie na papier rzucony rękopism, bez zastanowienia do druku posyła. Nie wiedziano ile ta pozorna łatwość kosztowała pracy, namysłów, ile nocy bezsennych, ile wycieńczenia i potu... ile życia świeciło się na martwy ów papier, do zimnych ludzi mający mówić o życiu. Nie wiedziano, że każda z tych książek zabierała z myślą część duszy, część siły, część istoty samej człowieka nieodzyskiwaną nigdy; że pisarz krajał się po kawałku, karmiąc sobą...

Jeden Bóg mógł, stwarzając światy, tchnąć w nie ducha i z niczego wywołać je do bytu; to, co się zowie tworzeniem w człowieku, jest oddaniem najlep-

szęj jego części, jest wylewaniem się na zewnątrz, jest uszczerbkiem i ofiarą nieopłaconą. Płyną myśli, uczucia, obrazy, całe światki drobne, ale wypróżnia się dusza, ale w niej potem pustki i ściernie. Nieraz tak u końca zawodu z człowieka pozostanie próżny dzban tylko, wysączony do kropelki.

I czémże ten pisarz, co z siebie, spokoju i życia robi ofiarę w społeczeństwie naszym? stanowisko jego dwuznaczne, podrzędne, podejrzane, fałszywe; zawsze i wszędzie idą przed nim wszyscy, nawet zagraniczne histryony, lada rzępicieł, co sztuki pokazuje na strunie, lada wirtuoz z obfitą grzywą i zarozumiałością. W oczach jednych jest także jakimś sztuczko-twórcą, wynalazcą zabawek, ciekawostką, wreszcie na ostatnim szczeblu wszelkiej hierarchii ilotą, aby go nie dotknąć, aby się o niego nie otrzeć i spotkaniem nie pokalać!

Wszystko to tak było, jest i będzie, bo nie może być inaczej; a tymczasem wytrwali posłannicy pójdą swą drogą na pogardę, na porównanie ze sztukmistrzami i akrobatami, bo ich żaden interes świata, żadna inna nie może konieczność odstręczyć od musu ich powołania, bo ten los jest potrzebą ich ducha. Lekceważeni ugną głowę, oplwani i ukamienowani upadną, niezrozumiani zamilkną, a gdy z tego społeczeństwa, co się tak z nimi obeszło, nie pozostanie jeden żywy, gdy wszystko dzisiejsze się zapomni i zatrze, w ich pracy żyć będzie wiek, oni zostaną jego przedstawicielami, w nich przetrwa myśl epoki i lepsza część lat, w których przyszli, by o nich dali świadectwo.

Szarski był właśnie jednym z tych ludzi z żelazną wolą i niezrażonym umysłem, co mogąc lepszy los

kupić spoczynkiem gnuśnym, krzątają się około dzieła, za które ich tylko policzkuje.

Jeden po drugim odstępowali go przyjaciele, znajomi, znowu zamykały mu się domy, podejrzliwie spoglądano na niego gdy wchodził, mówiono przy nim ostrożnie, — słowem obchodzono się z nim jak ze szpiegiem...

Nawet pocziwy doktor Brant wkrótce ostygł dla niego, widocznie znajdując także, iż jakiś tam doktor odwzorowany gdzieś przez niego, był mu podobny zażywaniem tabaki. Oburzał się na to jako na niewdzięczność a Stanisław już się i gniewać nie mógł. Wszystko to było tak poziome i głupie, że go nie mogło już obchodzić; ruszał ramionami i milczał...

Jednego dnia zapukano gwałtownie do drzwi jego pokoiku, i gdy je otworzył, ujrzał niespodzianie twarz księcia Jana, który stał w progu z miną surową, w towarzystwie jakiegoś drugiego jegomości.

— Mości panie — rzekł wchodząc — wiesz zapewne co nas tu sprowadza. Mamy z sobą rachunek do załatwienia.

— Raczysz mi w. ks. mość wytłómaczyć jaki, bo się go nie domyślam. Zdaje mi się, żeśmy nigdy żadnego z sobą ani stosunku, ani rachunku nie mieli.

— A ten książę w ostatniej pańskiej powieści, ożeniony ze szlachcianką dla pieniędzy?

— To co? zapytał Stanisław.

— To ja! zawołał książę, trzęsąc się z gniewu, który tamowało tylko przywyknienie do trzymania się na wodzy.

— Albożeś w. ks. mość nie ożenił się z przywiązaną?

— Ale wszyscy palcem mnie wytykają, mówiąc, że to ja!
 — Mogę w. ks. mości dać słowo honoru uczciwego człowieka, że wcale o nim nie myślałem... Cożem winien, że ludzie szukają wszędzie znajomych sobie twarzy?

— Ale to nie dość takiego tłumaczenia, odparł książę: ja tego tak przepuścić nie mogę.

— Wskażże mi w. ks. mość, czego po mnie żadasz?

— Chcę odwołania, chcę oczyszczenia... chcę...

— Chyba mi w. ks. mość sam to odwołanie poddyktujesz, bo ono mu podobno gorzej usłuży niż głupie domysły próżniaków...

Książę Jan zastanowił się na chwilę.

— Pomimo to, sto razy odwołać jestem gotów... rzekł Stanisław.

— To nie dosyć, odparł książę.

— Czegoż w. ks. mość żądać możesz więcej? Co do mnie, ofiaruję czego zapragniesz, nie odmawiam.

— Ja chcę zniszczyć tę książkę.

— To nie jest w mojej mocy; gdybym chciał ją wykupić, nie byłbym w stanie...

— A więc odwołać!

— Odwołamy!

— Potrzebowałbym satysfakcji — dorzucił książę dumnie — gdybyśmy byli sobie równi, ale bić się z lada grezmołą...

— Mości książę, jesteśmy u mnie... na obelgi, jakkolwiek tylko szlachcie jestem i prosty pisarek, odpowiadać nie umiem w moim domu... gdzieindziejbym potrafił. Zrobię tylko uwagę, że u nas dawniej wedle tradycji księstwo i szlachectwo stały na jednej linii... moglibyśmy więc...

Książę ruszył ramionami.

— Dość mi odwołania, zawołał; a nie, to kije dać każę!!

— Mości książę! krzyknął Szarski, wskazując drzwi: nie odwołam nic, i proszę się wynosić, dopóki mi zostaje trochę cierpliwości. Kije są dla wszystkich, a ten najprędzej się na nie narazi, kto nimi szafuje. Oto właśnie stoi w kącie trzcina: nie życzę czekać, aż ją wezmę do ręki.

To mówiąc, zrobił krok śmiały, a jego ks. mość, wołając na towarzysza, za próg uskoczył. Na tém skończyła się ta przykra scena; ale nazajutrz przyjechał pan Adam Szarski z narzekaniami, wymówkami, naleganiami, przeproszeniem, wymagając koniecznie jakiegoś odwołania. Szarski napisał je z uśmiechem i posłał.

Niestety! jakkolwiek było niewyraźne, padł pod niem książę Jan zabity śmiesznością tak, że trzeciego dnia po ukazaniu się jego w gazecie, musiał wyjechać za granicę, aby to sobie pod niebytność jego zastygło.

We drzwiczki tego domku na Zarzeczcu pukały tak nieraz duma obrażona, świerzbiące nałogi, rozrąbana miłość własna i gniew bezsilny, a z niemi razem niejedna myśl zemsty, niejedna ręka, która pisarza użyć chciała za zbira. Listy bezimienne pełne obelg lub dziwnych jakichś objawień, które niby za materiały do obrazów a raczej paszkwilów służyć miały, płynęły co pocztą; a z niemi razem nadchodziły rozprawy i wiersze, urywki, któremi kazano się opiekować w imię dobra pospolitego, choć w nich nie było ani kropli sensu, ani za grosz talentu...

Tém jednak życiem żyć było potrzeba; a w kole znajomości dalekich, zawiązanych przez listy z tymi, których Stanisław zaszczycał się nareszcie koleżeństwem,

w ludziach już sławnych i imię mających w literaturze — ileż co krok spotykał próżności, dumy, drażliwości, ile ran ropiejących pod szatami ze złotogłowa i wieńcami laurowemi!

Ciężkie to były do rozwiązania zagadki, trudne do pojęcia indywidualności: z jednej strony jasne i wspaniałe, z drugiej czarne i brudne!! Jeden chwalił, bo chciał być chwalonym koniecznie, na myśl przywołując stare: *asinus asinum fricat*; dość ostrą niby pisząc prawdę, zawijał ją w smaczne papierki, iżby przybrał pozór bezstronnego sędziego, większą sobie zjednał wiarę... Ten chciał artykułu, ów rozbiór, a niejednego rozdania biletów lub rozsądzania egzemplarzy. Każdy niemal z tych ludzi w stosunkach powszednich niższym był od tego, jakim się okazywał w życiu pisarskiem... Wszędzie widać było starego Adama, świecącego gołemi bokami ułomności ludzkiej.

Jeżeli powołany do sądenia Stanisław powiedział co myślał, bo nie mógł inaczej, albo zamilkł tylko, nie chcąc się narazić... już był pewien gniewu i zemsty. Nie trafiło mu się spotkać ani jednego sumiennego człowieka, któryby prywatę oddzielił od sprawy powszechniej, i urażony, mimo urazy, oddał sprawiedliwość pisarzowi... mając ząb do człowieka. Prawda wypowiedziana najłagodniej, robiła zawsze ten skutek, co w *Gil-Blasie* zdanie o kazaniach ks. arcybiskupa. Naprawdę obok niej stały pochwały, uznanie zasługi, ocenienie talentu... nie darowano jej nigdy...

I tu więc człowiek, co się szanował, nie mógł mieć przyjaciół, nie mógł pozyskać nikogo, bo nie chciał należeć do żadnego stronnictwa, nie wpisał się w żaden cech, którego by błędy i omyłki solidarnie przy-

mujać na barki swoje, obowiązywał się ich bronić. Ten i ów występował przeciwko niemu, widząc, że nie ma kto by go bronił; a że Stanisław rozmaitością pracy wadził wielu, wielu też w różny sposób odzywało się przeciwko niemu. Nawet tam, gdzie krok pierwszy postawił, gdzie był na czele i otworzył wrota usiłowania naśladowców, starano się o nim zapomnieć, wiedząc, że się o swe prawa dopominać nie będzie.

Strona materyalna tego życia złożonego z drobniutkich a ciągłych męczarni i nieustającej pracy — nie była także godna zazdrości; stykało się ono nieraz z nędzą, i w izdebce pracownika czasem brakło grosza na chleb powszedni. Ale on znosił to lekko i z uśmiechem, oddając z dwójga sukni mniej potrzebną, z rezygnacją Dyogenesa, odrzucającego czarłę w przekonaniu, że dłoń ją zastąpi. Księgarze robili powoli grosz, spekulując na pismach jego; ale gdy mu się zdarzyło wyższej nieco zażądać ceny, którzy gdzieindziej mało co przeszła zapłatę kopisty, oburzali się, krzyczeli, wołali na chciwość!

— Jak można wymagać za to pieniędzy? — odzywali się z zapalem — takich ogromnych pieniędzy! po kilka set złotych, po tysiącu za tom, na przykład! To okropne! to zgroza! to zdrzistwo!

I zaczęli dowodzić, że tracą, że ogromnie tracą, że się poświęcają, a tracąc tak, powoli robili fortunki. składali pieniądze w bankach, gdy ci, którym szczerze płacili to bibułą, to ich własnymi dziełami, wystawianymi w rachunkach po księgarskiej cenie, często byli bez bótów, jeśli bót z zapracowanego grosza kupić było potrzeba.

Jednemu tylko Bazylewiczowi szło dobrze, bo

człowiek też ten stworzony był nie na posłannika myśli, ale na handlarza. Ciągłe wydawał coś z pomocą prenumeraty, rozdawał bilety, podejmował się druków pism cudzych, i nareszcie począł bez żartu o założeniu handlu przemysłać, gdy mu wdówka i jej posag uśmiechnęły się w samą porę. A że jego spekulacye trąciły sklepem i Żydkiem, porzucił je dla umizgów. Baron Hollar został wreszcie odprawiony chłodem, a Bazylewicz formalne przyjęty, naznaczono nawet dzień ślubowin.

W wigilię dopiero dnia tego uroczystego, uszczęśliwiony literat przypomniał sobie dawnego kolegę Szarskiego, i postanowił prosić go za drużbę. Zapomniane zostały wszystkie dawne urazy, i Bazylewicz byłby go na wielkie nalegania ciekawej wdowy wprowadził wcześniej do jej domu, gdyby się był w nim nie obawiał współzawodnika. Pani Lidzka ciągle tego się natarczywie dopraszała — Bazylewicz wymawiał się to niebytnością, to dziwactwem i dzikością poety.

Wieczorem w przeddzień ślubu wszedł na Zarzeczce do cichego domku Stanisława z tą swoją zwykłą miną szumną, i wprost wyciągnął rękę do Szarskiego.

— No — rzekł — dawny kolego..., czas się nam znowu zbliżyć do siebie. Ja się jutro żenię; chcę, byś był mojego szczęścia świadkiem.

— Ja?

— Tak, proszę cię za drużbę, tego mi odmówić nie możesz.

Stanisław zmieszał się trochę.

— A! rzekł naiwnie: wszak tu będzie potrzeba fraka... a ja...

— Jak to? ty fraka nie masz?

— Frak pojechał do Żyda... reszta ubrania ledwie bardzo powszednia.

— O! ci księgarze! deklamując zakrzyknął Bazylewicz. Jak to być może, żebyś ty był w takięj potrzebie! Oni cię oszukiwać muszą, lub tracisz jakimś potajemnym sposobem.

— Ani jedno, ani drugie, odparł Szarski spokojnie. Płacą mi jakkolwiek; ale czémże jest zmudnie zapracowane parę tysięcy, trzy tysiące złotych?... ledwie na życie wystarczy! a książki, a dzienniki, a potrzeby ducha konieczniejsze stokroć od potrzeb ciała!

— A! ty widzę masz passę do książek — to rujnuje! Ale poczekaj-no, niech się ja ożenię, z kapitałem mojej żony rozpocznę handel księgarski, i nie pozwolę, żebyś co gdzieindziej niż u mnie wydawał. Zysk-pójdzie po połowie na nas obu... No, ale tymczasem co zrobisz z frakiem?

— Dostanę go gdzieś na świecie, rzekł Stanisław: Żydzi są tak usłużni! Ale bał wszak to i kapelusza będzie trzeba?

— A! a! i białych rękawiczek.

— I płaszcza!

Szarski zwiesił głowę.

— Pożyczylbym ci chętnie, ale mnie to wesele tak wyssało...

— Dziękuję ci, znajdę ja sobie co potrzeba.

Bazylewicz, jakby nigdy nie rozstawali się z żalem do siebie, naprawiwszy o swęj miłości, szczęściu, o geniuszu narzeczonej: o jej kapitałach w końcu, wyszedł trzaskając drzwiami. Szarski mu wszystko darował za ten dowód pamięci i przyjaźni, i zajął się wyekwipowaniem. Nazajutrz frak i co potrzebne było do fraka, znalazło się z pomocą Żyda, który po-

zostałe egzemplarze jakiegoś dziełka pobrał z ustępstwem ośmdziesięciu procentów, dając dwadzieścia za sto kulfonami i wytartą monetą.

— Wieczorem Stanisław jechał za parą młodą, nie poznawszy jeszcze narzeczonej, na Antokol, bo ślub odbyć się miał u Ś. Piotra. Dopiero przy wysiadaniu spojrzął na wyświeżoną wdowę, która w białej sukni jeszcze się żółciejszą i czarniejszą wydała, niż w codziennym czarnym szlafrocuku.

— Al żebyś ty znał jej duszę! szepnął mu pan młody, widząc po twarzy poety zdumionej, jakie wrażenie na nim robiła jego ukochana.

Po ślubie, razem z nową parą, zajechali do oświeconego domu, w którym zebrała się cała literatura, obchodząc gody tak dla niej płodnymi być obiecujące.. Pani Bazylewiczowa spojrzała ciekawie na Szarskiego, i obejrawszy go bacznie, westchnęła jakoś dziwnie, snadź inaczej go jej opisywano. Reszta gości z podziwieniem jakimś i wstrętem oglądała tego intruza, którego zawsze miała za dziwadło, a znalazła bardzo pospolitym człowiekiem, nieobjawiającym żadnej pretensyi, nienadstawiającym się żadnym dziwactwem i przybraną ekscentrycznością.

Bazylewicz uszczęśliwiony, udawał tak rozkochanego, że patrząc na komedję odegrywaną przez niego, bo szcerości tych uczuć niepodobna było dać wiary, widzowie nie mogli się wstrzymać od pokątnych śmiechów. Wdowa wybornie także udawała niewiniątko zapłonięte, choć córka jej, słuszną już panna, była najlepszym dowodem, jak dawno z tej roli wyjść była powinna.

Nie obeszło się bez epitalamium: Iglicki, choć drwił po kątach z nowożeńców pary, przeczytał im

swojej fabryki ode pełną wesołości, dowcipu, uciników, w której ustępach wolniejszych wdowa kaszlać i chustką się aż zasłaniać musiała.

— Czemużes pan dotąd nie był łaskaw nigdy mnie odwiedzić? odezwała się wśród wieczoru do Stanisława. Pan wie jak ja lubię literaturę, mój mąż tyle razy o to go prosił.

— Aleśmy się z nim od lat kilku nie widzieli! pośpiesznie i nieuważnie rzekł Szarski.

Jejmość spojrzała mu w oczy i zamilkła. Kto wie, czy za to kłamstwo przyszły małżonek nie dostał pierwszej złej noty; bo pani w dość kwaśnym humorze była przez resztę wieczoru, składając to na ból głowy.

Szarski, w kilka dni potem, otwierając oczy po śnie poobiednim, który go zmorzył w krześle nad robotą, po nocy strawionej bezsennie, ujrzał przed sobą już niemal zapomnianą postać Falszewicza, czerwonego, pijanego i z otwartymi ustami zwieszonego nad nim, targającego go za rękaw z pośpiechem, aby co prędzej sen przerwać.

— A! to pan! z kądze się tu wzięłeś? co tu robisz?

— Cóż? a cóż ma być! (głos przerywała czkawka ustawiczna). Umyślnie... boki obidem tłukąc się pocztą po pana...

— Po mnie?

— A już cię, kiedy pan sędzia... umarł! Stanisław z krzykiem zerwał się z miejsca.

— Co ty mówisz? To być nie może! Mój ojciec!

— Ale ba! z pogrzebem czekają... przysłała mnie pani sędzina, czuj duch, żebyś pan zaraz przyjeżdżał.. Sędzia się jakoś bardzo pogniewał na Mateusza furmana, do piersi mu to poszło, położył się z gorączką, i tyle my go widzieli; w nocy skończył.

— Daj mi klęknąć! pomodlić się! popłakać! zawołał Szarski, rzucając się na kolana i zasłaniając sobie oczy.

Falszewicz upadł na sofę.

— No! no! mruknął: ktośby pomyślał, że się kochali jak para gołębi... aż płacze!

Po chwili pedagog zaczął się przechadzać, szukając jadła i napoju w izdebce; ale tu ani śladu ich nie było.

— Osobliwszy człowiek! mówił w duchu. Co tu książek i szpargałów! a żeby kto się chciał posilić... ani kropelki... ani prószyny...

Nierychło oprzytomniawszy jakoś, wstał Stanisław, i chwili nie tracąc, jął się przygotowań do wyjazdu, z tysiącem walcząc trudności i zawad. Tyle miał długów, tylu wierzyteli, których jakkolwiek zaspokoić było potrzeba... że ostatni rękopism poszedł za lichy grosz do księgarza. Księgarz nie miał pieniędzy, dał weksel, a drugi go wypłacając, jeszcze sobie sowite potracił procenta.

Nad wieczór następującego dnia już byli obaj na pocztowej bryczynie i lecieli ku Krasnobrodowi, gdzie Stanisława czekała żałoba, łzy matki, rodzina nowa, którą Bóg pod jego słabą oddawał opiekę.

Z daleka, z daleka zaświecił im wśród nocy czarny dwór krasnobrodzki, ale nie jasnością wesela... blaskiem świec pogrzebowych, tlejących w salce na dole, dokoła trumny nieboszczyka.

Dźwięk pocztowego dzwonka rozległ się na pustym dziedzińcu, mieszając się z pieśnią żałoby; wybiegły siostry, matka i bracia, i uściśnieli się wszyscy w płaczu i milczeniu.

Stanisław poszedł do zimnych nóg starca, pokłęknać i uściśnąć je raz ostatni, prosząc o przebaczenie

Na katafalku jeszcze twarz sędziego wydała mu się jak była za życia... surową i nieubłaganą. Ręka śmierci nie zdjęła z niej tego wyrazu niezłomnej woli, z którym przeszedł życie całe. Leżał nic niezmienny, martwy, podobien do siebie, jak gdyby miał wstać jeszcze z rozkazem i groźbą na ustach.

Dziwny był widok tego domu, któremu potężnej zabrakło głowy, w którym nikt nie wiedział jak sobie dać rady, co począć, bo ten jeden, co wszystkimi kierował, zamilkł na wieki. Matka płakała łamiąc ręce, słudzy chodzili samopas, i pogrzebem nawet nikt zarządzić nie umiał. Stanisław przybył w samą chwilę eksportacyi, i złamany drogą, poszedł za trumną ojcowską do miasteczka, zostawując matkę na opiece sąsiadek. On i wszystkie dzieci szły za karawanem ojca.

Nazajutrz, gdy w pustym dworze zebrali się znowu w ściśniętym gronie, przytuleni do siebie, uczyli jak im brakło tego, który nieraz za życia ciężkich chwil dla nich był sprawcą. Czuć było jeszcze wszędzie jego rękę zastygłą i kierunek, pod który poddał rodzinę swoją. Nikt ruszyć się nie śmiał, nikt nie pomyśleć sam przez się, a gdy przeczytano ostatnią zmarłego dyspozycję, którą Stanisława od spadku usuwał, polecając mu wszakże młodszych braci, siostry i matkę, i wkładając nań, jako ekspiacę błędu, obowiązek

czuwania nad nimi... nikt woli téj ani się myślał sprzeciwiać.

Stanisław przyjął ją jako karę zasłużoną, do której był przygotowany za wczasu. Majetność sędziego okazała się znacznie większą niż sądzono, a choć wieść tylko była jedna, kapitały za to pewne i znaczne bardzo, dwa razy jój wartość przechodziły. Opiekunem wyznaczony był także pan Adam Szarski, i to go do rodziny zbliżyło na chwilę. Odmówić nie mógł pośmiertnej prośbie, zjechał więc na rodzaj rady familijnej, choć wiedział, że na nią nie milego sobie zastanie Stanisława, którego z powodu dawnych zająś znieść już nie mógł. Przyjął go też twarzą posępną i surową, a wiedząc już o rozporządzeniu nieboszczyka, unikał widocznie wszelkiego wcielania go w interesy familii, umyślnie oddzielając, nie zwracając się do niego w niczem, jak gdyby go tam nie było. Postrzegł to i uczuł Stanisław, ale ścierpiał w milczeniu; nareszcie gdy wszystko ułożono, rzekł powoli i łagodnie:

— Pomoc moją, opiekę i pracę, wedle woli ojca przynoszę rodzeństwu i matce, nie mając najmniejszej pretensyi do udziału w majątku... Ojciec powierzył mi zarząd czynny i tém zajmę się najgorliwiej...

— Zdaje mi się—nie patrząc na niego, rzekł pan Adam—iż wolą śp. sędziego było zupełne wyłączenie najstarszego z synów.

— A! na rany Chrystusowe! przerwała matka: za cóż pamięć tego nieszczęśliwego nieporozumienia ma aż za grób sięgać! Sama wola nieboszczyka zdaje się wzywać Stanisława do połączenia z rodziną; któżby go mógł i chciał wyłączać?

— Ja tego nie mówię, poprawił się kuzynek; ale co do majątku...

— Co się tycze majątku, do tego wszelkich się już praw zrzekłem, dorzucił Stanisław. Chodzi mi o to, żeby nikt nie uprzedził mnie w pomocy matce i rodzeństwu, i tę pomoc, jakkolwiek mało znaczącą, im ofiaruję.

Pan Adam odwrócił się jakby nie słyszał; a że kapitały niektóre pozostawały do rozporządzenia, więc wzięwszy na stronę panię sędzinę, zaproponował umieszczenie ich u księcia Jana lub u siebie... Byłaby to może zrobiła matka przywykła do ulegania, ale się pomiarkowała, że musi zasięgnąć rady syna, i wręcz odpowiedziała w ten sposób panu Adamowi:

— Bez Stanisława rady ja tego nie zrobię.

— A! jeśli tak! to dziękuję! nie chcę! Myślałem uczynić dla niej tę dogodność... ale jak skoro rady tu i namysłu potrzeba, nie mam ochoty zależeć od dobrego lub złego usposobienia pana Stanisława.

Sędzina poprawiając to, co sobie wyrzucała jako niezgrabność, zaraz zwróciła się z głośnym pytaniem do syna, a ten równie głośno jój odpowiedział:

— Co się tycze umieszczenia kapitałów, te najprzód u żadnego z opiekunów jako opiekuna lokowane być nie mogą... prawo nawet wzbrania tego... powtóre, jeśli książę Jan zechce je mieć, to stosowną, czystą i prawną okaże ewikcyę, a naówczas najchętniej mu je powierzymy.

Pan Adam nadąsał się, odwrócił i milczał. Nowy to był powód do nieukontentowania; jakoż wyjechawszy z Krasnobrodu, nazajutrz kuzynek przed sądem zrzekł się wszelkiej opieki.

Stanisław sam z matką pozostał na czele intere-

sów i gospodarstwa, biorąc się do nich czynnie, z serca, gorąco. Ale mógłże im podolać nienawykły do życia praktycznego, obcy wszelkim przebiegłościom, brzydzący się kłamstwem i podstępem, na którym często, niestety! najuczciwszy interes stać musi? Idąc drogą prawą, nie chcąc zrozumieć zepsucia ludzkiego, nie umiając przypuścić, żeby kto z niego chciał skorzystać, nieustannie rozbijał się o trudności, o niechęci, o chciwość.

W gospodarstwie całkiem niewprawy i obcy rzemiosłu, tyle był filantropem i tak poetycznie pojmował wieśniaka, że z jego potu i pracy nie umiał korzyści wyciągać, a co chwila korzystano z jego naiwności, oszukując go najpocieszniej.

To wszystko razem, mimo poświęcenia uajzupełniejszego i ochoty, z jaką się ofiarował Stanisław, owocu przynieść nie mogło, a straszliwą było dla niego męczarnią.

Ocieranie się o obcy sobie żywioł prawniczo-administracyjny było dla niego tak przykre, tak utrudzające... ci ludzie tak go zrozumieć nie mogli, on ich tak sobie wytłumaczyć nie umiał, że do rozpacz przyprowadzał go każdy interes. Wyrwały mu się nieraz wyrazy uczciwości, szlachetności, sumienia, litości, a uważał po uśmiechach, po minach, że tu one jakoś inne miały całkiem znaczenie. Tak na przykład uczciwym był kto za pieniądze robił, ale dawszy słowo, nie zawiódł go i od drugiej strony już nie brał; szlachetnym, kto wziął co mu dano; litościwym, kto od uboższego małym datkiem się kontentował; sumiennym, kto nie zdradzał. Świata tego zaprawdę trudno! o! trudno zrozumieć było pocie! Za późno więc postrzegłszy się, że tu sam nie podola interesom, musiał wziąć

prawnika, któremu cały ten wydział powierzył, ze zdumieniem patrząc, że znane zasady moralne i chrześcijańskie, na których świat i społeczność stoją, w sferze interesów materyalnych żywego zastosowania dotąd jeszcze nie mają.

Gospodarstwo szło także na jakichś zardzewiałych tradycjach, z których wyjść w niedostatku pośredników, co by inne zasady zrozumieć i praktykować mogło, było prawie niepodobna. Stosunek dziedzica do włościan był taki, że i oni oszukiwali dwór, i dwór nieustannie do środków surowych względem nich uciekać się musiał. Stanisław i tego zrozumieć nie mógł: widział w człowieku człowieka równego sobie uboższego tylko, na pewnych warunkach zadzierżawiającego ziemię, któremu czuł się obowiązany dać opiekę i wszystko, co człowiek winien bliźniemu. Śmiano się więc z jego abstrakcyjnego gospodarstwa, nieopartego na znajomości warunków miejscowych, charakteru ludzi i dziejów odwiecznych, z których wyrosła się teraźniejszość.

Rodzina Szarskich, oprócz matki staruszki nieustannie oplakującej męża i niemieszającej się do niczego, krom tego, co jej za życia sędziego wydzielone było, składała się z dwóch braci i trzech siostr. Bracia byli w szkołach, a jeden z nich miał wkrótce skończyć nauki; siostry dorastały, najstarsza już była panienką, i téj dusza najlepiej umiała odgadnąć brata, bo los uczynił ich do siebie podobnymi twarzą, temperamentem, duszą i sercami. Falszewicz niepożądany już w Krasnobrodzie, wisiał tylko przy Szarskich, bo nie mógł sobie gdzieindziej znaleźć miejsca, a że wódka była teraz w dyspozycyi Stanisława, służył mu wiernie i gorliwie. Zajęciem jego było polo-

wanie, przed którym miał prawo do wielkiego kieliszka, i po którym znowu pokrzepiać się musiał; czasami też wyręczał w gospodarstwie po swojemu, nie ruszając się bez bizuna w rękę.

Krasnobród, jakeśmy powiedzieli, nie miał prawie stosunków sąsiedzkich, i dni tu płynęły wśród jednostajnego życia pracy powszedniej; wszakże w porównaniu do osamotnienia otoczonego gwarem, jakie Stanisław znosił w mieście, nowy tryb tutejszy znajdował pełnym wrażeń nowych i prawie rozkosznym. Połączenie z rodziną, jój przywiązanie, miejsce, w którym przebywał, sama wsi cisza i widok natury, zbliżenie do ludu, z którego ust lały się podaniowe pieśni i bajki, radowały jak niezasłużone, jak przerażające jakieś arkadyjskie szczęście. Od dawna wygnany do miasta, znajdował tu nowém wszystko, cieszył się każdą rzeczą, i w tysiącu rysach, które chwycił, czuł osnowę nowych pieśni.

Zdawało mu się, że myśl jakoś szerzej, swobodniej bujała tu po niwach i lasach niż wśród miejskich murów ściśnięta... czuł się poetą, bo wszystko mówiło do niego, i rozumiał prawie jak w bajce mowę ptaków, szmer boru i mruczenie wody. Ale każdy z tych głosów jedną mu szeptał odwieczną, prastarą, nie prześpiewaną piosenkę znikomości i smutku. Fenomen serca ludzkiego coraz zmieniającego barwy i starzejącego co chwila, powtarzał się na żdźble trawy, na kwiecie, w całym stworzeniu.

Nie nie trwało, prócz tego co nie miało życia.

W miarę jak na coraz doskonalsze zwracał oko istoty, żywot ich widział uległym szybszemu wykształceniu i prędzej śmierci. Głazy leżały wieki na swych zastygłych łóżyskach, a ludzie marli pokoleniami, nim

jeden kamień mchem porosnął. Wszystko więc powtarzało mu, że świat jest drożyną przejścia, nie miejscem pobytu dla nas; gospodą, do której ścian, do której mieszkańców przywiązywać się nie można...

Smutek powlekał czoło poety, ale była w nim rozkosz jakaś, jakieś bezpieczeństwo... po za nim już nic niespodziewanego spotkać nie mógł, czuł się u granicy zawodów, zbrojny przeciwko wszystkiemu, co go w życiu czekało. Na ukochaną nawet spoglądając siostrę, pod wpływem wrażeń zmienności ludzkiej, przewidywał za wczasu, że i ten węzeł miłości braterskiej rozzerwać się może i musi, a nowe przywiązanie, które lada chwila w sercu się jój obudzi, pochłonie związek rodzinny. Pójdzie na matkę nową familii, przylgnie do niej sercem, i powoli łączące ją z bratem, matką, siostrami wspomnienia, ustąpić muszą uczuciom świeższym i silniejszym.

W każdej z rzeczy ludzkich, w każdym z uczuć, widział on tego robaka znikomości i śmierci, który owoc, rumiany jeszcze, toczy i wewnątrz wypsuwa. Trudno więc było o uśmiech tym ustom, na których *memento mori* jako ostatnie słowo ziemi wzlatywało, powtarzając się bez końca.

Dzień Stanisława dzielił się na części poświęcone pracy rolniczej, jednej z najzmundniejszych choć na pozór próżniaczęj, a tak zawodnej! i na chwile oderwane od niej, odkradzione na dumanie i pracę myśli. Ale często przy najlepszej chęci zajęcia się powszedniemi sprawami, kapryśna poezya chwyciła go oburącz, gdy się jój poddać nie mógł; a znużonemu później, kiedy przywoływał natchnienia, posłusznym być nie chciało. Poznał wkrótce, że dla poety żywot ten, choć go sławił Kochanowski, w pewnych tylko wa-

runkach dostatku i swobody mógł być stosowny: ale w potrzebie ciężkiej i mozolnej pracy, roztarganemu na polu, nie wyżyć poetą, gdy co chwila obowiązki, strapienia i nędze żywota ściągają na ziemię.

Czasem chwilę jechał przepędzić w blizkich Jasincach u Płachy, z którym razem gawędzili o poezyi ludu, posiedzieli zadumani, i niewiele zużywszy słów, podawali sobie dłonie do jutra...

Nikt zresztą nie zażądał go w sąsiedztwie, nikt ręki mu nie podał, a przybycie znanego już trochę po świecie pisarza, nie obudziwszy nawet ciekawości, napędziło tylko strachu. Każdemu się zdawało, że ten jastrząb porwie go i przybije do jakiejś karty jak do przegierza; uciekano od niego w kościele, spoglądając czy nie goni; w miejscach publicznych, w miasteczku, widział chodzące za sobą oczy, ale w nich strach tylko i wstręt łatwo było odgadnąć.

Zresztą stare pojęcia o literatach, literaturze i życiu poetów, odstręczały także od człowieka, który wśród żywej i czynnej społeczności wydawał się czemś wyjątkowem i ledwie nie pół-szałem.

Tak minęło kilka miesięcy, a Stanisław nie zapragnął powrócić do miasta, i gdyby nawet chęć się ta w nim obudziła, nie mógłby jej zadość uczynić, bo cały los rodziny trzymał w rękach. Matka, choć się jej w każdej czynności opowiadał, przywykła do uległości, słuchała go zasięgającego rady, ale mu nigdy słowa nie rzekła na to, co robił, ani od niego śmiała czegokolwiek zażądać... Bracia i siostry uważali go za głowę domu, a wielka odpowiedzialność, jaką wziął na swe barki, przerażając go, podbudzała do coraz nowych wysiłków. Nie szło mu tak jakby pragnął, a co gorsza, głosy, które słyszał wkoło siebie, całe za-

wsze nieszczęście przypisywały zajęciu, które już był porzucił.

— Co pan chcesz? hreczka posiana po literacku, żyto wschodzi po łacinie, gnój w poetycznym rozrzucony nieładzie...

Zadawano mu i roztargnienie, którego nie miał, i zaprzątienie ideałami, które z całych sił odpędzał, i brak poświęcenia, którym nigdy nie zgrzeszył.

— A cóż proszę pani ma być dobrego—mówił ekonom do sędziny—kiedy panicz jeździ z książką na pole, a do chłopu nigdy nie powie: *chamie*, jak się należy, tylko: *mój kochany!* a wdaje się z nim w perehowery, jakby to on co rozumiał, gdzie po prostu bizuny dać trzeba. Już to proszę pani, językiem bizuna nie zastąpić.

Sąsiedzi kiwali głowami na wszystko, czy dobrze szło czy źle, widząc we wszystkiem tę nieszczęsną poezję.

— Książki pisze, to dość powiedzieć, mruczeli ruszając ramionami.

A gdy który objawił ochotę zaproszenia go do domu:

— Dajże pokój—odzywał się drugi.—A co my z nim robić będziemy? o czém gadać? W karty nie gra, nie pije... nie pobaraszkuje... pociechy z niego nie będzie, bo smutny jak grabarz, a jeszcze nas go-tów opisać!

Wszędzie ten grzech pierworodny jego powołania stawał mu na zawadzie. Dość było, żeby jeden wskazał go jako literata, aby się w koło rozstępowali ludzie jak od zapowietrzonego. Inni przez jakiś niby szacunek dla nauki, udawali, że poważali go wielce; mówili mu wielkimi słowy o jego poświęceniu, o pra-

cy, o dziełach; ale z największą seryą odegrawszy tę komedyjkę, uciekali, żeby drwić za drzwiami ze słów własnych. W napuszonych zresztą ich pochwałach nie-szczerłość ich znać było.

Zarówno więc wśród społeczności miejskiej i wiejskiej, odosobniony był i wyłączony, zmuszonym się czując żyć sercem, myślą własną i pożerać sam siebie.

Kiedy mu zabrakło towarzysza, zwracał się do siostry, co go odgadnąć umiała, szedł do matki słuchającej go cierpliwie i czule, jechał do uboższego sąsiada, który mu śpiewał piosnkę jaką ludową, i powracał do swojej izdebki spoczywać, marzyć a czasem coś rzucić na papier. Ten rodzaj życia dla ludzi nieprzywykłych wystarczać sobie i pracować nieustannie, zdałby się może nieznośnym swą samotnością i oderwaniem od świata; ale był właśnie stosowny dla poety. Jedyną w nim klęską była kuchnia życia, owe sprawy materyalne, ów stosunek z interesów wynikający do ludzi inszej sfery, zatruwający wszystko, bo zmuszający albo się do nich zniżać, lub wystawiać się na pośmiewisko.

Niespodziana gwiazdka na chwilę rozjaśniła ciasny i chmurny horyzont Krasnobrodu. W Jasińcach dowiedział się Szarski, że matka Marylki, pani Brzeźniakowa, z Lidzkiego przeniosła się do Borów, wsi od Krasnobrodu o milę tylko odległej, którą wzięła dzierżawą od swych krewnych. Wspomnienie poetycznej owiej dziewczeczki mile było dla niego, ale ku nić nie pośpieszył przecię. Kochać i nie mógł i nie chciał, tak był wystygł po dwóch pierwszych życia próbach; nie wierzył w przyszłość, widział jak mu z jego kalectwem źle na świecie: mógłże pomyśleć, by

wspólniczką takiego żywota utrapień, uczynić biedną, niewinną kobietę?

To też dowiedziawszy się o przyjeździe pani Brzeźniakowej do Borów, ani rzekł słowa przed matką, że ją zna, ani wspomniał, że mu o tém mówiono. Jakoś z rozmowy cudzej dowiedziała się sędzina o przybyciu sąsiadki, i zakrzyknęła, przypominając sobie w niej dawną, bardzo już dawną znajomość.

— Brzeźniakowa! to ani chybi wdowa po Antonim! urodzonym z Darewiczówny, której matka była Wiszowata... ale tak! Antoniowa; z tych stron, Izabella Małężanka... Izabelka! śliczna to była panna... jedną tylko słyszę ma córkę... Znam, znam!...

Jedyną rzeczą, o której długo umiała rozprawiać sędzina, były genealogie, a w nich, w istocie, choć żyła bez stosunków, wśród głuchej ciszy, była niewyczerpaną, reprezentując owe czasy przedherbarzowe, kiedy w pamięci matek rodziny przechowywały się tradycje o związkach familijnych.

Uspokoiwszy się obrachowaniem do trzeciego pokolenia precedencyi Brzeźniaków, sędzina nie śmiała już pomyśleć pojechać do stariej znajomej, bo z domu rzadko się bardzo ruszała; nie zażądała jćj widzieć u siebie, bo gość zamieszalby tryb jćj życia.

Dopiero w jakąś tam uroczystość kościelną, pojechawszy starą bryczką do parafii, pani sędzina przy wyjściu z nabożeństwa spotkała się ze starą swoją znajomą.

Po latach trzydziestu! ani się już poznały biedaczki. Gdzież to ta Karolka różowa, biała, ciemniuchna, polotna, uśmiechniona, w tćj ciężkiej, żółtćj, smutnej i przygarbionej niewieście? gdzie Izabelka czarnooka i śmiała w tćj kaszlącej staruszce? W głosie,

w poruszeniu tylko, w niedogryzionych przez lata rysach niektórych, pozostały wspomnienia przeszłości... Spojrzały na siebie, słysząc swe nazwiska, uśmiechnęły się i rozplakały obie.

— Julka!... Karolka!

— A! moja mościa dobrodziejko! ile to lat!..

— Prawda, wszak to...

— Nie liczmy lepiej...

— Lepiej nie rachować... Bóg, zabierając młodość i siły, dał się nam nowemi cieszyć w dzieciach naszych.

Sędzina, jakkolwiek niezmiernie rada starój znajomej, nie byłaby jej może śmiała poprosić do Krasnobrodu, gdyby Mania w moment poznawszy się z Marylką i rada rówieńczy, nie zaczęła pierwsza o to nalegać. Przyszedł i Stanisław, uśmiechem wesołym, ale chłodnym witając także starą w Marylce znajomość i przypominając się matce.

— A! to syn twój, moja droga! ozwała się postrzegając go pani Brzeźniakowa.

— Czyżes go gdzie widziała?

— W Wilnie, moje serce! w Wilnie... choć z początku nie dowierzałam, żebyś tak słusznego syna mieć mogła.

Wszyscy razem i Marylka, która przy powitaniu oblała się całą rumieńcem, a drzeć poczęła jak listek — ruszyli do Krasnobrodu... Na pół drogi zaszła kwestya, czy do Borów, czy do sędziny jechać mają, ale Mania pociągnęła do siebie; a pani Szarska i rada temu była, bo przypomniawszy sobie, że klucze od lochu miała w kieszeni, od spiżarni za pasem, a czeladzi wydała tylko obiad.

Można sobie wystawić, ile to jest do mówienia po przeżytych latach trzydziestu przez wszystkie koleje

od dziewictwa do starości, lub wrot, które do niej prowadzą. Każda z nich miała co opłakiwać, każdej zostawała odrobinka nadziei uronionych, szczęścia nie-dojrzałego... i jeszcze trochę słońeczka w przyszłości. I jak poczęły się sobie zwierzać stare przyjaciółki, tak noc nadeszła, nim się opamiętały, jedna, że wracać należy do domu, druga, że klucz od lochu ma jeszcze w kieszeni a do spiżarni za pasem. Sędzina więc pobiegła co tchu do gospodarstwa, a pani Brzeźniakowa byłaby w ciemną noc pojechała do Borów, gdyby nie prośby Mani, która poprzyjaźniwszy się już z Marylką, tyle i tyle miała z nią do mówienia!

Z wieczora księżyc nie świecił, deszcz pruszył, grobelki były kamieniste, furman dostawał kurzej ślepoty o mroku... sąsiadka rada nie rada pozostać musiała.

Stanisław mało się pokazywał w pokoju, i spojrzawszy na Marylkę, do której słów kilka przemówił ledwie, otrzymawszy zamiast odpowiedzi rumieniec i pół uśmiechu, poszedł do swojej izdebki. Wieczorem zeszli się wszyscy, ośmieleni nieco, Mania i Marylka rozweselone, staruszki rozplakane przeszłością, a kontente z siebie niewymownie, Stanisław jak zawsze milczący i zadumany.

Z daleka spoglądał on na to śliczne dziewczę, które już trzeci raz w życiu przesuwalo mu się przed oczyma, ale wspomnienie przeszłości oblewało go chłodem. Myśl wszystkich zmian, którym jej serce, dusza, umysł, młodość uledez miały, znowu się groźbą w nim ozwała. Nieraz wychodził z pokoju wśród śmiechów dwojga dziewcząt, których nieopatrne wesele przykre na nim robiło wrażenie, tak już zesta-
rzał, przekwitł, ostygnał!

Naturalnie w rozmowie dwóch przyjaciółek i poznanie ze Stanisławem, i owa karczemna przygoda znalazły miejsce, a Marylka zwierając się z tego wszystkiego Mani, tak się rumieniła, tak mieszała, że kto inny nie ona dostrzegłby był już w niej zarodu jakiegoś uczucia, które samém współczuciem nazwać się nie mogło.

Oczy jej często zwracały się na Stanisława, ale tak bojaźliwie, tak ukradkowo, jakby pragnąc lękały się go zarazem zobaczyć.

Nazajutrz rano Szarski był w polu, gdy pani Brzeźniakowa odjeżdżała, i nie pożegnał nawet wczorajszych swych gości.

W zupełnej niewiadomości co się działo na literackim świecie i obojętności na to, co tam przez ten czas zająć mogło, żył Stanisław rok cały, nie zapragnąwszy nawet wieści, przykuty do pługa swego, ciągnąc go z zaparciem zupełnem. Nierychło poczta list mu przyniosła, na którego kopercie poznał rękę Bazylewicza.

Charakterystyczne to pismo następującej było treści:

— „Szanowny towarzyszu broni! Nie wiem co ci się stało, żeś tak nagle zupełnie zagrzebawszy się na wsi, dla jej wirgiliuszowskich słodyczy zabył druhów i współbiesiadników. A godziż się to? Czy to dowód obojętności, czy cierpienie i zaprzątnień, zawsze rzecz równie dla nich bolesna, tém boleśniejsza, że wierzaj mi, choć z dala, miłować cię umiemy. Widzę z żalem, żeś

zszedł z pola literatury potrzebującej pracowników, i czuję się w obowiązku powołać cię znowu do dzieła. Wstań ospały, i na pole! do winnicy! Donoszę ci, poczynając od domowych spraw moich, że nad wyraz szczęśliwy z koteczką moją, i życzę najprzód, żebyś się ożenił; powtóre oznajmuję, że zamyslam wydawać wybór pism współczesnych naszych pisarzy, a ciebie jako jednego z nich do zajęcia miejsca należnego zapraszam. Odmówić byłoby to stać się winnym obojętności na sprawę publiczną. Zresztą stanąć obok A. B. C. D., pierwszych gwiazd naszego Olimpu, nie powstydasz się. Pierwszy tom już się drukuje, prenumerata idzie czynnie, na którą posyłam ci pięćdziesiąt biletów do rozdania *sub poena infamiae*. Rękopism jednego z dzieł twoich, które oznasz za najlepsze (wolałbym coś niewydanego), nadsyłaj mi proszę a żywo, bym się zaraz mógł wziąć do wydania. Honoraria odbierzesz po rozprzedaży, ale nie księgarskie, sumiennie połowę czystego zysku; rozumie się, że i połowę kosztów nakładu ponieść powinienes, na co proszę cię przystać, rachując na arkusz po... Bardzo mnie zobowiązesz, a razem spełnisz świętą powinność, przykładając się do tej ważnej dla ogółu publikacji... Chciój także w tym przedmiocie, ukazując niezmierną korzyść i znaczenie mojego przedsięwzięcia, napisać kilka artykułów do gazet, któreby z niem oswoiły za wczasu czytelników. Pióro moje zbyt jest nacechowane oryginalnością i łatwo się poznać daje; pisać mi nie wypada o sobie, boby je poznano. U nas gotowiby to wziąć za złe.

A teraz trochę nowin literackich....“

W tej części listu, której już nie wypisujemy, Bazylewicz zebrał wszystkie plotki i komeraże krążące

po Wilnie, zakulisową historię biednej literatury i nadzieje jej przyszłości. Dodawał, że powszechnie dająca się czuć potrzeba pisma zbiorowego, zmusza go stanąć nareszcie na czele dawno przez żonę jego zamierzonego *Polyhistora* (taki był tytuł nowej publikacji), do którego wzywał również Stanisława.

Choć list ten, w którym więcej troskliwości o interes własny niż o literaturę się przebijało, nie przypadł do serca Szarskiemu, czującemu pod wielkimi słowami maleńkie czynności sprężyny, — przypomnienie wszakże rzuconego zawodu wzbudziło w nim chętkę jakąś zwrotu do dawnych zajęć. Stały się już one potrzebą i nałogiem, tęsknił do słodkiego jarzma, które mu kark namulało. Ukradkiem, nocą, zrywał się do książek, do papierów, do rozpoczętych robot, o których myślał nawet wśród pól i najcięższej gospodarskiej pracy. Czuł on, że na tej tylko drodze przydać się na coś może, i zostawić po sobie jeśli nie geniuszu to usiłowań pamiątkę.

Wspomnieliśmy geniusz; słówko o nim jeszcze, choć nie w miejscu. Pojęcie geniuszu rozbiło się o jego definicję nie nienauczające. Ogół fałszywie po większej części szuka i upatruje tego daru bożego; geniuszem dla tłumu bywa najczęściej ekscentryczność i przesada. Ale też to, co w pierwszej chwili okrzykują za geniusz, zwykle nie uzyskuje approbaty tytułu od potomności; częściej przyszłość mianuje na tę godność co się współczesnym śmiesznym, dzikiem lub prostotą swoją poziomem wydaje. Cechą geniuszu jest odgadnięcie kierunku przyszłości, a że społeczność najczęściej mimowoli i przeciwko sobie ku niej idzie, to co jej najprzeciwiejszemu, najniepojętszemu

się zdaje, może być i bywa piętnem prawie zawsze niepoznanego geniuszu.

W wiekach też przejścia jak nasz, gdy wszystko leży na pojęciach nie na uczuciu, z fałszywych definicji rodzą się kłamliwe wyobrażenia i ich zastosowania; lada przesadzony, sztucznie wydęty talencik obwołują za geniusz, gdy to, co proste, naturalne, niewyrobione na efekt, spada na najniższe stopnie. Tymczasem jedną z cech nieśmiertelnych geniuszu jest prostota... prostota przy wielkości pomysłu, prostota pozorna w wykonaniu, prostota idei i formy, przy prawdzie i wdzięku obojga. Z razu wygląda to często na coś bardzo pospolitego, zwyczajnego; dopiero gdy się ludzie rozpatrzą i spróbują, że tej prostocie sprostać drugim niepodobna, że wymalować jej nie można, powoli domyślać się zaczynają, że geniusz tylko mógł ją stworzyć.

I to jest fałszem w pojęciu geniuszu, że mu każą być wyłącznie samą siłą, samą potęgą, samą wielkością w znaczeniu najpospolitszym tych wyrazów. Geniusz może się objawiać zarówno wdziękiem, urokiem, uśmiechem, tęsknicą, bo nie ma koniecznej formy, w którąby się wlać był obowiązany. Geniuszem jest zarówno nieśmiertelny Molière, Shakespeare, Cervantes i Dante. Na stworzenie Mizantropa i wielu charakterów-typów Molière'a tyle trzeba było geniuszu co na wysławianie epopoi.

Jak większa część ludzi udarowanych jasnowidzeniem od Boga, Stanisław nie tylko nie miał się za geniusz, ale w nim zwątpienie brało ciągle górę nad wiarą w siebie. Mierząc się ze współzawodnikami, znajdował się zawsze niższym od drugih i o pierwszeństwo nie myślał się ubiegać, a nie dopominając się stanowiska,

nie mógł go osiąść; bo u współczesnych ten zyskuje najwięcej, kto najwięcej się upomina.

Pisał, bo to było potrzebą jego duszy, bo to było żywotem jego, bo się stało naturą, w przekonaniu, że nigdy pocziwa myśl wybijająca się na świat z duszy, bezużyteczną być nie może... ale o losie pism swoich nie myślał. Czémże jest wczesna sława w kręgu mniej więcej szerokim, trwająca przez czas jakiś ograniczony, w obec świata i wieków? Wartoż się o nią kosztem jakiegokolwiek ofiary dobijać? Interes ogółu i potrzeba duszy wszędzie prześcigają staranie o pozyskanie tego cacka, co się sławą nazywa.

Ukradkiem wytrwać nie mogąc, pisał Szarski, drukował nawet, ale przekonany, że winien był ofiarę życia i godzin swoich matce i rodzeństwu, każdą chwilę odebraną im, odkradzioną, opłacał zgryzotami sumienia.

Tymczasem na wsi mimo najzupełniejszego poświęcenia, coraz mu szło gorzej, a los, który czasem największym głupcom sprzyja, śmiejąc się z sądów, które wywołują jego sprawy, wcale mu nie dopisywał.

Gospodarstwo szło opieszaliej niż za ojca jego; interesa co chwila się łamały; nieustanne zawody, przeciwności jakieś, trudności spadały mu gradem na głowę. Cierpiał i znosił w milczeniu to dziwne urągawisko, do którego był przywykł; praca najsumienniejsza wyraźnie na korzyść iść nie chciała.

Wszyscy też powoli się na tém poznawać zaczęli, i po cichu zwracali z uwagami ku wdowie.

— Wpani dobrodziejka — mówił ktoś z krewnych sędziny, przyjechawszy z tą radą umyślnie o mil dzie sięć — Wpani dobrodziejka gubisz się, używając syna

do tego; widocznie to nie jego rzecz; jemu nad książką ślęczyć, nie gospodarować.

Wdowa zbywała to milczeniem, nie nie odpowiadając. Żal jej się było rozstać z synem lub nawet chwilową zrobić mu przykrość, i choć także w duchu przypisywała Stanisławowi niepowodzenia we wszystkiém, wolała straty niż boleść dziecięcia, a nie widziała sposobu odrzucenia pocziwój jego ofiary.

Szczęściem, nastreścił się jej wyborny powód do uwolnienia Stanisława.

Jeden z tych wielkich panów literatów-dylettantów, których mieliśmy zawsze dostatkiem, a dziś więcej niż kiedy, odwiedził pana Adama Szarskiego. Należał on do liczby tych, co sfrancuzieli zupełnie, czytali jednak i pisali po polsku; syn magnata bawił się piórem, jak drudzy końmi i psiarnią. Dowcipu mu nie brakło, bo na tém w sferze jego nie zbywa nigdy; czytał wiele, zwłaszcza w językach obcych; a że los dał mu dosyć świata widzieć i nasłuchać się niemało, a chwycić miał zdolność szczególną, zbierał sobie ze źródeł różnych, z rozmów, z książek, wcale nie szpetny ładunek idei, nie swoich wprowadzie, ale zręcznie poprzerabianych do wzrostu i powiązanych z sobą umiejętnie.

Umysł to był szczególniejszego kroju, pojęcie bystre, pamięć nadzwyczajna, giętkość niesłychana, bierność suchej gąbki nasycającej się wszystkiém co jej dotknie, ale wewnątrz nic swojego. Nie wyrobił w sobie jednej myśli, nie urodził jednej formy, ale jako eklektyk nadzwyczaj zręczny, wzorem być mógł w swoim rodzaju. Nikt się nad niego zręczniej nie zapożyczał, nikt nie przyswajał i nie kradł tajemniej; a w dodatku tak to wszystko po swójemu zamalowywał,

iż ubóstwa jego niełatwo się było domacać. W jego skarbonce znalazłeś i dowcip Francuzów, i humor Anglika, i trochę uczoności niemieckiej, obłamki zdań, anegdot, facecyj, sądów wszelkiej fabryki, imion i dat tłumy... słowem materyałów mnóstwo z talentem ustawionych i stanowiących jakąś oryginalną całość. A że miał przytém wiele taktu i znajomości świata, wybór tego wszystkiego był niezmiernie zręczny, użycie trafne, tak, że cytaty nawet wydawały się czémś oryginalnym, a spojenia ich często stanowiły niespodzianym zetknięciem istotę wcale nową. Dylettant nasz miał w dodatku obejście się wielkiego pana, grzeczność starych magnatów, a czasami w ruchu jego coś swego, domowego przez pokłady francuzczyzny się przebiło, gdy się z tém popisać znalazła potrzeba. Puszukiwano go wszędzie, a że tytuł i położenie towarzyskie przy rzemiośle literackiem czyniły go rodzajem fenomenu, jak tylko wziął pióro do ręki, okrzyknięto go za geniusz.

Gdy więc napisał dwa czy trzy artykuły gazetarskie i wydał broszurkę, stanął od razu na pół drogi do nieśmiertelności. W towarzystwie słuchano go jak wyroczni, kobiety unosiły się nad każdym jego słowem, które, gdy było potrzeba, tłómaczył im po francuzku, lub dawał od razu we fraczku; stawiano go na świeczniku jako przykład dla drugih. Nie brał wszakże literatury tak na seryo, żeby ją miał czynić aż celem życia całego i wyłącznym zaprzątaniem; wiedział bowiem, że nie ma w salonie stworzenia przykrzejszego nad literata, a literatura, gdy się stanie namiętnością, powołaniem, celem, zmusza zapomnieć o paznogciach, fryzurze, ubraniu i konwenansach, i odcina od świata, w którym żyć musiał. Z innych

więc względów był to człowiek salonowy, wykształcony, miły, pełen talencików przyjemnych, zawsze gotów w dobrém towarzystwie poświęcić ile chciano godzin na nice i zabawki,

Literaturę nosił jak tabakierkę w kieszeni; kto tabakę zażywał, tego nią częstował. Na palcach nie miał plam od atramentu, na nosie nie dźwigał okularów, czasem nawet tał się trochę z tém, że czytać lubi; ale w towarzystwie stosowném nikt go nie przegadał, i gdy się dorwał kazalnicy, nie było sposobu wtrącić słowa, cóż dopiero stanąć w opozycyi! Któżby mu sprostął, gdy sypnął słowy, nazwiskami, ironią, dowcipem i garścią autorytetów?

Zresztą, *pro et contra* brał sam na siebie, i w przeciągu pół godziny utrzymywał czasami, że białe było białem, czarném, a mogłoby nawet być czerwoném.

Bóg wie, jaki wypadek zapędził tego muz i Apollina kochanka do państwa Szarskich. Zdaje się, że jadąc z jednej stolicy do drugiej, spodziewał się tu znaleźć księcia Jana, z którym był dawno w przyjaźni, a że pana Adama znał dobrze i cenił... kuchnię jego, postanowił zatrzymać się i spocząć w Mruczyńcach.

Jakoś tam przypadła mowa o literaturze.

— Szarski? rzekł dylettant—Szarski!... ale jeden Szarski jest wielce obiecującym pisarzem... poetą... pracuje ogromnie... to imię mi znane. Czy to krewny, czy imiennik państwa?

— Tak... imiennik... wykrztusił zafrasowany pan Adam, bojąc się bardzo przyznawać do blizkiego pokrewieństwa, bo nie wiedział z jakiej strony uważane być może.

— Czytałem kilka jego rzeczy, mówił dalej dylet-

tant, popijając poobiednią kawę; jest w nich wiele talentu, wiele dowcipu, jakiś tok poetyczny, dusza, życie... śmiałość... Państwo nie wiedzą co to za jeden i gdzie się obraca?

— Owszem, odezwał się pan Adam, widząc, że pochwały sypały się obficie: on tu od niejakiego czasu mieszka w sąsiedztwie... i to nawet... zdaje mi się... jakiś nasz daleki krewny...

— A! to go państwo znać musicie! Jakżebym ja był ciekawy go poznać! Ale to, mojem zdaniem (ulubiona to była wstawka dylettanta, który nic nie mając swego, popisывał się ciągle ze zdaniem wyłącznie własnem), mojem zdaniem, jeden z pisarzy naszych, co ma najwięcej przyszłości... (tłumacząc się z francuzkiego, dodał dylettant). Młody? stary?

— Bardzo jeszcze młody, odpowiedział pan Adam. Teraz osiadł na wsi przy matce, gospodaruje i podobno da literaturze za wygraną.

— Co za szkoda! ale gdzież to? daleko? nie można go poznać?

— Trochę dziki, odludek, dziwak nawet.

— A! to tém ciekawszy... Ale daleko to? spytał nastając dylettant.

Pan Adam tak dla tytułu i wziętości w świecie szanował swojego gościa, że postanowił uczcić go jedną z najwięcej kosztujących mu ofiar, i zaproponował przejażdżkę do Krasnobrodu; a widząc, że gość przyjął to z wielką radością (nudził się trochę w Mrużynkach, a powóz mu poprawiano), kazał wnet konie zaprzęgać.

Dylettant ubrał się we frak, wedle systemu swego chcąc być jak najgrzeczniejszym, choć mu pan Adam odradzał tę ceremonialność—ubrał się w całą uczoność

swoją, i siadłszy do karykła, ruszył z gospodarzem do Krasnobrodu.

Były to jedne z najniespodziewańszych odwiedzin, i przestraszyły bardzo pocziwą sędzinę, niewiedzącą jak przyjmować gościa z tytułem, a usiłującą wszelką zamożność domową wprowadzić do pierwszego pokoju dla uczczenia tak dostojnego pana. Gniewała się nawet trochę na pana Adama, że jęj nie uprzedził, aby się przygotować nieco mogła. A że pan nosił imię bardzo znane i niegdyś senatorskie, dowiedziawszy się, że przyjechał umyślnie poznać Stasia, zdumiała się, rozczuliła, i sankcya ta w oczach jęj własne dziecko podniosła.

Dylettant był swobodny, miły, grzeczny jak wszyscy ludzie dobrze wychowani, u których, gdyby wewnątrz odpowiadało powierzchowności, z nikimby na świecie lżej i swobodniej nie było niż z nimi. Obok niego pan Adam ze swém napięciem arystokratycznem, dumą i słodziuchną grzecznością wymuszoną, która więcej odstręczała niż pociągała, wydawał się gburowaty i nieokrzesany.

Posłano zaraz po Stanisława na poletek, a dylettant chcąc się przypodobać, jak niegdyś pan Adam w Krasnobrodzie, począł wychwalać wszystko, co się tylko trafiło. Miejsce było prześliczne, drzewa przepyszne, coś wiejskiego... między otłuczonymi filiżankami na serwantce znalazły się nawet stare Sasy i Sewry nieporównane! Gdyby był mógł, byłby chwalił trzewiki domowej roboty pani sędziny, i czerwone rączki gospodarnych sędzianek... w takim był usposobieniu do admiracyi. Znalazł, że Mania przypominała dziwnie księżnę jakąś hiszpańską, którą widział w Paryżu, a najmłodsza hrabiankę N. N... Co chwila

nowe podziwy! To rycina na ścianie, to coś na półce... to sielskie zacisze, to życie na łonie natury, to staro-szlachecka fizygnomia dworku zachwyciła go...

Gdy Stanisław cały zarumieniony pośpiechem, z jakim nadbiegł, próg przestąpił w swą prostą odzież codzienną, dylettant rzucił się ku niemu z tak przesadną grzecznością i komplementami, że pan Adam mimo poszanowania dla niego, aż się zżymnął, a matka na dobre się rozplakała.

— Jakżem szczęśliwy—zawołał—że poznaję jedną ze świetnych gwiazd naszej plejady literackiej. Tyle cenę pisma pańskie, że będąc w tych stronach przypadkiem, gorąco pragnąłem poznać ich autora. Kuzyn pański zaświadczy, jaką mi radość sprawiła sama nadzieja ściśnięcia dłoni naszego ukochanego poety.

Nie można było na te śliczne oklepanki odpowiedzieć inaczej tylko wdzięcznością. Zresztą Staś tak mało doznawał w życiu zachęty i współzucia, że najmniejszą ofiarę tego rodzaju przyjmował za dar nieoceniony; uderzyło mu serce, ciepło rozlało się po jego duszy!

Poczęła się rozmowa o literaturze, a dylettant tyle w niej okazał dowcipu, tylu pożyczanemi błysnął postrzeżeniami, tyle zrobił uwag. głębokich, które kupił gotowe w żółtych okładkach jakiegóż *Revue*, że Stanisław cały nim przejęty, uznał go za geniusza, a biorąc na seryo zapal jego dla literatury, rozczulił się, myśląc, jaki w nim skarb i podpórę zyskał.

Literat zniżył się niemal do koleżeństwa z Szarskim, opowiedział mu wszystkie pisma swoich plany, wypowiadał się z idei, dążności, z formy, przy każdym rozdziale rozprawy, wysypał wszelką swą cudzoziemską erudycję, zrećznie zastosowaną do miejsca

i czasu,—słowem, zrobił się w oczach wieśniaka olbrzymem. Ale też podniosła się przez to wartość ściśnięcia jego dłoni, i współzucie okazane dla Stanisława nową nabrało ceny. Wszyscy w domu zachwyceni byli tym panem tak miłym, popularnym, tak serdecznym, a tak potężnie uczonym i dowcipnym. Pan Adam tylko obcy literaturze, nie smakował w tym wcale, a że zmuszony był milczeć, chodził kwaśny po kątach, i przez grzeczność sprzeciwiać się nie chcąc, ramionami tylko ruszał.

Na odjeźdnym, po staroświecku, całując rękę staruszki, rzekł pan te pamiętne do niej słowa:

— Dziękuję pani za rozkoszną chwilę, którą spędziłem w jej domu, i winszuję sobie, że poznał tak znakomitego jak syn pani człowieka; ale razem pozwól mi pani w imieniu wszystkich prosić, byś go w domu i przy tej wiejskiej pracy nie utrzymywała. Znajdzie się stu, co go w tym wyręczyć potrafią, a nikt nie zastąpi w literaturze naszej, której jest nadzieją i ozdobą.

Sędzina już raz trzeci czy czwarty dygając nieźmiernie nisko, chustką tylko odpowiedziała dylettantowi, tak była rozczulona; lecz to, co jej powiedział, zachowała dobrze w pamięci.

Czcza to była grzeczność tylko, gdyż Stanisław w czasie całych tych odwiedzin nie mógł się wcale dać poznać i ocenić: gość bowiem sam mówił tylko, a gdyby Szarski mógł był tam nawet co swego wcisnąć, tak był nieśmiały, tak go olśniewał ten dowcip i nauka rozwieszona wspaniale i okryta świecącymi blaszkami, że ust nie umiał otworzyć. Pan mówił sam tylko, a słuchacza chwalił za to chyba, że uśmiechem

i skinieniami głowy mu odpowiadał, nie śmiejąc prze-
rywać.

Wyjechawszy za wrota, dylettant rzekł do pana Adama:

— Cóż to za prawdziwie staro-szlachecki dworek! Jak to się tam mogło urodzić? wychować? Człek wi-
dać zadomowiony, nieotarty, nieśmiały... Miałem go
za geniusz; jednak dziś mi się zdaje, że geniusz był-
by żywszy, ekscentryczniejszy, silniejszy... ale zawsze,
zawsze talent wielki.

Taki był wyrok znawcy, z którego o uszy pana Adama, obily się głównie wyrazy przeczenia, a w gło-
wie jego pozostało wrażenie pocieszające, że Stani-
sław, dzięki Bogu, nie obiecywał nic genialnego.

Lękał się z razu téj wyższości, ale go to uspokoiło.

Odwiedziny te pamiętne w historii Krasnobrodu,
byłyby dla niego epoką niczém się niewiązącą z ży-
wemi jego dziejami i miłém wspomnieniem tylko,
gdyby ostatnie słowa gościa, wyrzeczone przy pożeg-
naniu, nie utkwiły głęboko w sercu i w głowie pani
sędziny, i nie posłużyły jój wkrótce za narzędzie do
uprojektowanego rozłączenia ze Stanisławem.

Młodszy brat jego, Jędrus, właśnie był skończył
szkoły; a że do uniwersytetu żadnej nie miał ochoty,
bo konie i strzelbę nadewszystko lubił, a nauki ły-
kał jak gorzkie pigułki, które wyżyć było potrzeba, żeby
się od choroby uwolnić, więc zaraz po powrocie wziął
się do gospodarstwa, pomagając bratu. Sędzina, ko-
bieta praktyczna, dostrzegła, że Jędrus daleko lepiej
potrafi zastąpić ojca niż Stanisław. Ale jak tu było
jemu powiedzieć, że go już nie potrzebują, że zawa-
dą być może?

Tymczasem kłęski szły po kłeskach, a kobiecina
się gryzła z podszeptów ludzi, wszystko przypisując
starszemu synowi. Szczęściem w porę jakoś przyszedł
jój na myśl słowa owój wyroczni, owego dylettanta,
i począwszy je mocno rozbierać, wpadła na trop, jak
postąpić było potrzeba.

Wkrótce nastęrczyła się okoliczność przemówienia.

Było to jakoś w porze sianokosu, a że często prze-
chodzili deszcze, ciężko było pozbierać go w stogi,
kłopotano się tém niezmiernie. Stanisław jeździł,
chodził, stał doglądając pilnie pracy robotnika. Na
pokosach, na wałach, kopcach wielkich i małych
przeschłego siana było już na kilka stogów i na poło-
wę odryny, a dzień nareszcie zaświtał śliczny, gdy
całą siłą wioski wzięto się do składania. Do godzi-
ny trzeciej po południu zapełnili odrynę, i już stogi
tylko stawić mieli, gdy chłopci, którzy czasu dotąd
nie schwycili do zebrania swojego sianka, a na niém
cała przyszłość ich chudoby leżała, przybiegli groma-
dą od wozów do Stanisława.

— Ej, paneczku, kochanie! spuść nas dzisiaj tylko!
Słonko zachodzi na pogodę, wy siano swoje zrobicie
jeszcze, deszczyska się już wylały, a nasze kopce
kisną od dwóch tygodni, a na nich cała zima nasza.
Pozajutro niedziela, zlituj się, uwolń... Pan Bóg ci to
nagrodził!

— Ale stogi? rzekł zakłopotany gospodarz.

— Jutro złożym je sami, zobaczycie! mało co po-
zostało, u nas kłapcia pod dachem nie ma jeszcze! Ej!
zrób to dla gromady!

I jak zaczęli czapkować, a prosić, a za kolana
ściskać, a po rękach całować, Staś, który dla ludzi
miękkie miał serce, zezwolił na wszystko czego chcieli,

i wzięwszy konia, poczułował ku dworowi. Ta jego powolność dla ludzi dopełniła miarki: gumieny oczom swoim nie wierzył, ekonom leciał do dworu ramionami ruszając, wszyscy szeptali rozpowiadając sobie o tém osobliwszém pobłażaniu, dziwili się, mruczeli, naradzali, a Jędrus, dowiedziawszy się, aż poszedł sam do matki.

— Ja Stasia pewnie kocham—rzekł do sędziny—i jak ojca, i jak brata; ale jak on tu nam dłużej pogospodaruje, to my bez chleba będziemy. Rok mokry, cała nadzieja na sprzedaży siana, a ten nas gubi, ot co wyrabiając z chłopami!

Matka milczała, ale usta zagryzła. Na nieszczęście nazajutrz, pomimo że słońce zdawało się pogodnie zachodzić za lasy, lunął deszcz na siano, i tak je trzyniełka zgnoiła, że stogi owe przepadły, ledwie się mogąc zdać na podściół. Stasiowi w umyśle rodziny zadało to cios ostateczny, i matka zebrała się do niego przemówić stanowczo, ale nie chcąc go martwić, postanowiła nieboga ozłocić mu pigułkę.

Wieczorem więc w niedzielę, kiedy jeszcze to siano mokoło w kopicach, które deszcz już aż w ziemię powbijał, zawołała Stasia do swojego pokoju zawalonego motkami, przędzą, sztukami płótna i gospodarstwiem przyborami.

Nielatwo przyszło jęć z serca zrzucić ten ciężar, ale sądziła, że los rodziny całej zależy od jęć postanowienia, i zebrała się na odwagę,

— Serce moje, rzekła do syna siadając przy nim i biorąc go za rękę: umiemy wszyscy ci być wdzięczni za to, co dla nas czynisz, poświęcając nam swój czas tak drogi; ale dobrze to było, pókiśmy się bez tego obejść nie mogli. Czas, żebyś i ty o sobie po-

myślał. Słyszałeś co mówił nam ten gość, który się przecię na tém zna, że ciebie do tego używać się nie godzi, bo twój czas i praca więcej są warte niż to mizerne gospodarstwo. Trzeba, żebyś nareszcie powrócił do dawnego trybu życia.

Staś spojrział na matkę, która się zarumieniła, czując nieboraczka, że trochę kłamała przez miłość macierzyńską, i zmieszala się.

— Mateczko kochana—rzekł—jam już przywykł do wsi, a niewiele na co przydam się gdzieindziej.

— No! no! no! odpowiedziała sędzina, porządkując kłębki, żeby skryć twarz, tak jęć ciężko było nie wypowiedzieć całej swęj myśli:—darmo nie bałamuć, a posłuchaj-no mnie. Już to że tam ojciec miał urazę do ciebie, to nie nasza rzecz sądzić; tyś posłuszne dziecko wyrzekł się ojcowizny, niech to tak będzie. Ale i mojego tu coś jest, a my z rodzeństwem z posagu mego część ci wydzielimy, żeby taki najgorzej, to rocznie będziesz miał około czterech tysięcy dochodu.

— Ale któż tu gospodarzyć wam będzie?

— A Jędrus! co ty myślisz? Jędrus żwawy chłopak i okrutną ma ochotę do gospodarstwa, a tobie to taki, gadaj sobie co chcesz, cięży trochę... to darmo! co prawda, to prawda!

— Kochana mateczko!

— Cicho-no już cicho! to darmo! to nie twoja rzecz chodzić koło gnoju i roli, kiedyś piórko wziął w rękę. Jedź kochanie do Wilna i kończ co począłeś... a odwiedzaj nas często... my tu z Jędrusiem damy sobie rady. To wykapany nieboszczyk, on potrafi Krasnobród utrzymać.

Stanisław choć już był przywykł do wioski, choć go nie nie ciągnęło do miasta, na myśl trochę swobo-

dy i uwolnienia od ciężkiej pracy, która na jego ramionach wisiała, uśmiechnął się, ucałował rękę staruszki i podziękował jej z serca.

— A co się tycze wydziału—rzekł cicho—zróbcie jak chciał ojciec: niech ja nic nie mam od was, niech nic lepszym nie odbieram dzieciom; ja niewiele potrzebuję, a na tę trochę zapracować potrafię.

— No, no, daj-no pokój, przerwała sędzina; a to nam zostaw proszę. A jak ci się zechce, zdawszy gospodarstwo Jędrusiowi, pojechać do Wilna, masz sobie cztery konie, Mateusza i zieloną bryczkę, a i jaki tyśiąć złotych w pończoszce u mnie się znajdzie. (Sędzina chowała zawsze pieniądze w stare pończochy, mając to tradycyjnie, że w ten sposób dłużej się i lepiej konserwują.)

Jakkolwiek na pozór ostygła Szarski dla literatury i wrócił do wiejskiego życia, serce mu zabiło do swobody, do cichego kąta, w którymby nic nie przerywało mu pracy, do miasta, które się stało dla niego drugim domem rodzinnym. Może rzucone tam wspomnienia siłą swą ciągnęły go także ku sobie, bo najsmutniejsze nawet mają tę władzę, że wiążą nas na wieki z cmentarzami przeszłości.

Wszystkie dawne plany, pomysły osnowy pracy, poczęły roić mu się znowu, a po wypoczynku z nową siłą dobywały się z niego. Zdało mu się, że nie rzucając pióra, wyleje z siebie wszystko, co dotąd wstrzymywał i wyrabiał tylko w głębi duszy.

Ale nierychło, pomimo pośpiechu, potrafił wyruszyć

z Krasnobrodu, i nazajutrz po owej rozmowie, bez żadnego podejrzenia, zdawszy wszystko Jędrzejowi, sam począł nieco oddychać, nasycając się dopiero wsią, której zarządu ciężar spadł z ramion jego.

W czasie ostatnich miesięcy pobytu w Krasnobrodzie, widywał on niemal co tydzień panię Brzeźniakową i Marylkę; z nią i z Manią odbywali długie przechadzki, a bojaźliwe z razu dziewczę, tak się było powoli oswoiło z poetą, na którego widok drżało wprzód, że mu się uśmiechało, że do niego mówiło swobodnie, że wreszcie z pod powłoki nieśmiałości, osłaniającej ją dotąd, objawiło mu się w całej krasie swego umysłu i serca. Stanisław zachwycony był poetycznością téj istoty, która pół życia, całą sztukę, całą tajemnicę piękna i filozofię młodości odgadła sercem; która sądziła trafniej uczuciem niż krytycy z powołania swemi niechybnymi receptami. A kiedy poczęła mówić ożywiona silniejszą potrzebą wynurzenia się, odzywała się jak natchniona i nieziemska istota.

Ale obok uwielbienia, zajęcia, zachwyty dla dziewczki, która olbrzymiała w chwilach zapału i wyższa była od wszystkiego, co ją otaczało, pomimo jej piękności, dobroci i aureoli, jaka jej skroń opasywała, nie zrodziło się już żadne inne czulsze, namętne uczucie dla niej, któreby niepohamowaną swą siłą chwyciło i uniosło młodzieńca. Patrzył, słuchał, dziwił się, rozczulał, ale pokochać nie mógł. Serce jego było martwe, straciło w dwóch pierwszych wysiłkach wszelką władzę miłości, zużyło tę siłę młodości w gwałtowném cierpieniu. Patrzył już jak obcy na świat, do którego żywota nie czuł się powołanym; jak schorzały

na biesiadę, do której nie ma smaku i ochoty, dziwiąc się niemal tym, co spożywać ją mogą.

A ten może smutek, chłód, odczarowanie, które wiały ze słów jego i wybijały z wejrzenia, pociągały bardziej jeszcze biedną Marylkę ku tęsknemu pocie. Ona tak pragnęła zbliżyć się ku niemu, tak chciała zajrzeć w głąb jego duszy!

Napróżno! najgorętsze słowa padały nań jak ciepłe krople deszczu na kamień, który po nich bardziej się jeszcze ślizkim i twardszym wydawał. Marylka nieraz wróciwszy z Krasnobrodu, płakiwała po nocach, rozmyślając o Stanisławie, i nie pojmowała młodości, w której sercu mogły już mieszkać takie szrony i siwizna.

Nikt się może nie domyślał jeszcze tych uczuć Marylki, oprócz jednej matki, niespokojnie spoglądającej na ich postępy, a nieśmiejącej jeszcze ust otworzyć, gdy miłość z razu będąca przecuciem jakimś swęj doli, porywem nieokreślonym, niepokojem wewnętrznym, stała się wreszcie gwałtowném, niepohamowaném przywiązaniem. Marylka odgadła ukochanego intuicyą jakąś; czuła jego boleści, tłómaczyła sobie oziębłość i biegła być Siostrą Miłosierdzia dla tego Łazarza, uśmiechem pokrywającego swe rany.

Pani Brzeźniakowa z bałwochwalczém przywiązaniem dla jedynéj córki, poglądała na to bojaźliwie, nie śmiejąc przemówić, ale coraz o przyszłość spokojniejsza, bo była pewna, że Staś pokochać musi jęj anioła, a dzięki Bogu nie szczęściu ich w takim razie nie stanęłoby na zawadzie. Była spokojna o zezwolenie matki, sama drżała z radości na myśl pobłogosławienia téj pary, którą widziała od losu sobie przeznaczoną, i kołysząc się temi nadziejami, dopo-

magiała nawet nieco do rozwinięcia się przywiązania swéj córki częstym pobytém w Krasnobrodzie. Pobyt ten ubarwiała przyjaźń dwóch matek, przywiązanie Mani i Marylki; ale niestety! widywanie się Stasia z piękną sąsiadką nic prócz czulej, serdecznej nie zawiązało przyjaźni.

Trochę to niecierpliwiło panię Brzeźniakową, która rada była przyspieszyć koniec dla swego uspokojenia, nie wątpiąc, że byleby Marylka chciała i umiała, Stanisław zarazby jęj padł do nóg.

Po dwutygodniowej jakoś niebytności w Krasnobrodzie, z przestrachem dowiedziała się historyi siana zmokłego, odprawienia Stanisława (tak to ludzie nazywali), zdania gospodarstwa Jędrusiowi i projektowanego wyjazdu poety do Wilna. Strach ją ogarnął większy jeszcze, gdy postrzegła bledniejącą Marylkę i śpiesznie dla pokrycia wrażenia wymykającą się z pokoju. Nie czekając niedzieli, pojechały do Krasnobrodu, a tu gdy się dwie staruszki sam na sam zamknęły, sędzina zaraz potwierdziła przyjaciółce, co jęj wprzód sąsiedzi donieśli.

— Jak to? i ty go tak puszczasz do Wilna? spytała Brzeźniakowa.

— A niech jedzie! odparła sędzina. On się tu nudzi, potrzebuje tych swoich książek, miasta, towarzystwa mądrego, cóż on tu z nami skorzysta?

Brzeźniakowa głową tylko pokiwała.

— A nie lepiejzeby było,—odezwiała się —ożenić go gdzie z jaką pocziwą dziewczyną i dać mu gospodarstwo?

— Zmiłuj się serce! przerwała sędzina: taki on gospodarz jak ja mniszka... ot to... kulą w płot. Toż on mi tu chłopów na dziadowskie bieże porozpuszczał.

Brzeźniakowa zamilkła znowu, westchnąwszy głęboko.

— On sobie jutro już jedzie, dodała matka; a aż z oczu mu patrzy, że dusza się do miasta raduje.

— Jutro jedzie! zakrzyknęła sąsiadka przestraszona, — jutro!

— Już mu Jędrus i bryczkę kazał wyrządzić.

Tak było w istocie, a Marylka uwiadomiona także o tém od Mani, pobladła straszliwie, i choć kryjąc swe wzruszenie uśmiechała się, łatwo było dostrzedz, jak ją ta wiadomość przeraziła.

Stanisław nadszedł za niemi do ogrodu, prawie wesół, i podał ochoczo rękę dziewczęciu.

— A co panno Maryo! rzekł — wie pani, że pocciwy Jędrus zdjął mi garb z pleców i dał abszyt?

— Al! wiem, i pan uciekasz!

— Jadę od jednej pracy do drugiej!

— Tak, nawet bez żalu po wsi, po matce, po siostrach.

— Jak to? bez żalu? a tóż pani powiedział?

— Wszak to widać po panu!

— Bo najczęściej żal tam jest właśnie, gdzie go nie widać. Nie wierz pani nigdy temu, który się z nim bardzo pokazuje i przechwala.

— Tak! odparła Marylka; ale i najprawdziwszy żal, kiedy jest, a głęboki, a wielki, to go pierś nie wstrzyma, słyhać go w głosie, widać w wejrzeniu, spętany wybucha jakimś jękiem mimowolnym... Zdaje się, żeby go po ruchu nawet poznała... O! pan *nas* nie żałujesz!

— I owszem pani!

— A jedziesz?...

— Bo mi wmówiono, że tu nie miejsce dla mnie,

że kto raz wziął ślub z piórem i pokropiony został atramentem, już z niego nie zmyć tego nieszczęsnego kapłaństwa.

— Albo to na wsi pisać nie można? spytała żywo Marylka. „Policz pan tych, co w miastach i na wsi pisali, a przekonasz się, że żadne wielkie dzieło natchnienia nie urodziło się w tych murach... Każdy poeta szukał natury i ciszy, by wykołysać myśl swoją. Rousseau, Cervantes, Kochanowski, o! i nie wiem kto jeszcze... pisali na wsi.

— A Goethe?

— Co pan mi zawsze tym tajnym radcą dokucaasz! To był geniusz, który światu milczeć i przeistaczać się kazał jak chciał, i stawiała się wieś dokoła, gdzie przed chwilą był gród, i z gwaru robiła się cisza dla niego. Zresztą ja się dziwię Goethemu, ale go nie kocham: to aktor, co doskonale udaje poetę, jak równie dobrze odegrywał rolę konsyliarza, szambelana dworu i...

— Autor *Fausta*! autor *Götza*! autor *Werthera*!

— *Werthera* pisał, gdy jeszcze nie zasklepił się w Wejmarze...

— Nie wiem, ale to pewna, kochana panno Maryo, żeśmy daleko odskoczyli od zadania rozmowy. Wróćmy z Wejmaru do Krasnobrodu.

— Przepraszam, ja znów pojedę do Niemiec... A ukochany pański Richter, wszak nie w stolicy, nie w mieście, ale gdzieś pod starą strzechą domku niskiego pisał *Titana*! A Schiller?

— Ostrożnie pani, ostrożnie, już się płatasz!

— No, to wolę porzucić to dowodzenie, ale wezmę się do niego z innej strony. Pisarz naszego kraju,

który cały był wielką wsią tylko, nie może się usposobić w mieście, ani natchnąć brudnym brukiem,

— Toś pani dobrze wymyśliła, odparł Stanisław; ale doprawdy, cóż to panię tak obchodzi, co się ze mną biednym stanie?

— Chodzi mi wszakże nie o pana, ale o literaturę! zawołała cicho Marylka; ale w téj chwili zabrakło jój głosu, spuściła główkę i umilkła.

Poszli po ogrodzie i przechadzali się w milczeniu, powoli zmieniawszy rozmowę, a w ciągu téj długiej i smutnej przechadzki, oczy ich ani razu się nie spotkały. Marya spuszczała je ku ziemi, Stanisław błędził niemi po świecie, nie widząc co się działo dokoła. Było coś dziwnie zasmucającego w widoku tych dwojga istot, jednej drżącój z bólu i rozczulenia, drugiej przebolałej, ostygłej, chłodnej, nieumiejącój dojrzeć nawet serca, które biło tak blisko. Mania pochwyciona wiejącym od nich smutkiem, posępniała biedna i szła za nimi milcząca.

— Ja nie wiem—dodała Marylka po długim przestanku—jak to panu nie żal wioski? jak pan nie czujesz jój wdzięku?...

— Ja nie czuję jej wdzięku? cóż znowu! któż i to pani powiedział?

— A jedziesz zakopać się w mieście?

— Jadę... ale któż to wie? może tylko na chwilę... Marylka głową potrząsała.

— Już to źle, kiedy miasto pana ciągnie.

— Ognisko życia, którego ja jestem nędzną iskierką... dziwnoż, że lecę w nie mimowoli?

— By w niém pożartym zagasnąć!

— Jak wszędzie—westchnął Stanisław—życie tu, tam... nie jednoż to życie? Co znaczy miejsce dla te-

go, który cały swój żywot ma w duszy? Komuś innemu świat jeszcze coś dać lub odebrać może, ale mnie?... nie.

— Ile pan masz lat? sześćdziesiąt czy siedmdziesiąt pięć? zapytało dziewczę z odwagą, która mu przybywała co chwila.

— Nie liczę, ale i o osmdziesiątym się nie sprzeczałam...

— Biedny staruszek! rozśmiała się Mania, gładząc go pod brodę.

— Ale pan wpadasz w Byronowskich bohaterów, z których się masz zwyczaj tak srodze naśmiewać... to przesada! Możnaż tak prędko wyżyć cały zapas boży? zmarnować te skarby młodości?

— Wiele może cierpienie, wiele mogą ludzie... począł Stanisław. Nie mogę się przed panią spowiadać, bobym jeszcze bardziej w jój oczach wyglądał na Byronowskiego bohatera; ale wierz mi pani... tyle tylko mam siły, ile jój trzeba do pracy... do życia już jój nie stanienie!

I zamilkli znowu. Marylka ruszyła ramionami.

— Doprawdy—szepnęła po chwili—gdybym była podejrzliwszą niż jestem, gotowabym pana jak Mania posadzić o jakąś miłośćkę w Wilnie...

Stanisław rozśmiał się serdecznie.

— Panno Maryo! zawołał wesoło — nie zgadłaś niestety!... Nie będę się zapierał, że kochałem; ale to temu tak dawno, tak dawno, że to dla mnie przedpotopowe dzieje...

— Jak to! chyba w szkołach? choć ze strachem i bladeścią, ale udając obojętność, poczęła Marya.

— Nie pani, trochę później, a zawsze za wcześniel

— I?...

— I kochanie moje pogrzebałem na zawsze.

— No! mówże pan wyraźniéj!

— Pogrzebałem je tam gdzie się urodziło, w sercu mojem. Winienem, że i z téj mogiły już nowéj miłości kwiatek wyrosnąć nie może.

— O! to pan ją kochasz jeszcze... żywo, z gniewem prawie odpowiedziała Marylka.

— Nie! nie! nie! rzekł stanowczo Stanisław: ani myślę, ani kocham! Mówię o tém zimno, bo takim mnie chłodem oblała miłość ostatnia, że z niego nie wyjdę do śmierci.

Spojrzała Marya ciekawie, ale w oczach jego znalazła potwierdzenie słowa; oczy miał suche, wejrzenie smętne, ale rezygnacyi pełne.

— Nie, nie—rzekła w duszy—ty nie wytrwasz w téj rozpacz, ty kochać musisz.

I słów jéj zabrakło.

Zbliżyli się do domu, mrok już padał, musieli przyspieszyć kroku, bo powóz pani Brzeźniakowéj stał przed gankiem. Czas było odjeżdżać. Wsiadłszy z matką do koczka, Marylka zapłakała ukradkiem, a wdowa udawać musiała, że łąz jéj nie widzi.

Nazajutrz Stanisław był w drodze do Wilna.

U téj saméj karczemki, u którój popasali biedni studenci, z nadziejami w kieszeni śpiesząc do Wilna przed laty, dziś jeszcze bardziéj podupadłéj, pochyłonej, odrapanéj, ale otoczonej znowu takimi samymi wozami i bryczkami jak naówczas—zatrzymał się Mateusz, by zmęczone konięta napoić u studni, któ-

rój żuraw ezarny, skrzypiąc, kołysał się z wiatrem je-siennym. Staś obejrzał się, przyszło mu na myśl wspomnienie, i na chwilę zdało mu się, że tych lat kilka było snem tylko ciężkim, z którego się budził...

Skromna bryczyna jego stanęła obok wytwornego powozu, którego szóstka karych koni w przepysznych chomatach, pomimo przebytych piasków, niecierpliwie kopytami grzebała ziemię. Stanisław wyjrzał i przez okna zaszklonej landary poznał Bazylewicza z żoną, wracającego zapewne ze wsi.

Quantum mutatus ab illo! jakże się zmienił od téj chwili, gdy go z dziurawemi łokciami, ale tytaniczną odwagą, spotkał tu Szarski i zabrał na ubogą bryczynę swoją! Inny to był, całé inny człowiek, rzekłbyś urodzony w dostatku, tak sobie dobrze z nim dawał radę... Jejmość siedziała kwaśna czegoś i opuchła jak zawsze, bo jéj i po ożenieniu nie opuściła ówa fluksya nałogowa. On w surducie z wigoni, rozparty, palił hawańskie cygaro, dumając o niebieskich migdałach, nogi założywszy na okno landary, tak, że pięty ich wychodziły gdzieś koło kozła używać świeżego powietrza...

Małżeństwo już się było widać wyszeptać jak raki, bo nic nie mówiło do siebie, jedno wlewo, drugie w prawo patrzyło, a wzdychali oboje... Jejmość pierwsza postrzegła Szarskiego; co dziwniejsza, mimo bryczki poznała go, spuściła taflę i zawołała:

— Pan Szarski! jak się pan ma?

Stanisław, choć bardzo po wiejsku i po podróżnemu ubrany, musiał podstąpić do powozu, a Bazylewicz podał mu rękę z dala, nie zmieniając pozycyi.

— A! wracasz pan nam więc do Wilna! zawołała literatka z uśmiechem, który nie nabierał wdzięku od

opuchnienia;—z kąde to? długoż się panem cieszyć będziemy? Tak pożądany gość, tak nam potrzebny! Pan wie, że już wyszedł pierwszy tom *Polyhystora*?

— Pierwszy to raz slysze.

— Nie znasz go pan?

— Dotąd nie!

— Gdzie pan mieszka? jutro przysię go panu.

— Jeszcze nie wiem gdzie mieszkać będę.

— Michasiu kochany, słodziuchno odezwala się żona: pan Szarski nie ma mieszkania, możebyśmy nastręczyli mu u nas... byłby blisko.

— A dobrze! dobrze! odparł wciąż zamyślony, może o podwójnem tém spotkaniu Bazylewicz, stopniami przychodząc do siebie.—Na dole są dwa pokoje wyborne, mieść się przy nas, co niedziela miewamy literacki wieczorek... wszystkie nowości... tyś musiał zardzewieć, odżyjesz.

Pani wciąż się uśmiechała.

— Nie prawdaż, że pan staniesz z nami? przy nas? nie prawdaż? A! toby było bardzo pięknie!

— Jeśli tylko będę mógł! rzekł kłaniając się Stanisław.

— Ale ja ci to urzędze! zawołał Bazylewicz. Zajeżdżaj tylko wprost do nas, bez ceremonii.

W téj chwili woźnica siadł na kozły, konie się rwać zaczęły niecierpliwie, i małżeństwo znikło mu z oczu, wiodąc żywą rozmowę, w której podobno chodziło o złapanie Szarskiego jako współpracownika do *Polyhystora*.

Jeszcze się Szarski w rogatce rozmyślał, co zrobić z sobą? czy po staremu zajechać do pana Horyłki? czy ruszyć do Bazylewicza? Wspomnienie zależności, w jakiej był na jednej z nim mieszkając

kwaterze, przeraziło go nieco i kazał się wieść na Trocką ulicę.

Hersz, usłużny faktor, już nie żył, a szanowny Horyłka zawsze w swój czerwonej zatłuszczonej mycce, pobrzękujący kluczami, nie poznał już dawnego lokatora, tak na oczy osłabł. Dopiero gdy się zbliżył i zagadał, poczał go czule ścisnąć.

— Oto to mi pan! oto przyjacieli! zawołał. Zaraz będzie stancya! taż sama co ja pan zna i lubi, którą ja zawsze pańską nazywam. Wolna właśnie i odnowiona przepysznie (w istocie dano czarny szlak górą i nową klamkę u drzwi). Moja żona tak teraz dom utrzymuje...

— A co? znowuś się pan tedy ożenił?... i utyleś w tym stanie? spytał Szarski.

— Jak to, znowu? rzekł Horyłka: a toć pan wie że żonaty z dawnien dawnal!

— Ale podobno... nie przypominam sobie...

— Tak! tak! były, były nieporozumienia, wszystko to ze złych ludzi, ze złych języków... Ale żyjemy teraz jak para gołębi, słowo honoru. Wszystko się wykłarowało: jeździła na wieś do familii, darmom ją posadzał, najpocziwsze kobiecisko, złota żona! Co to za ład! jaki porządek! zobaczy pan!

Odemknięto izdebkę. Ślady odświeżenia tak mało były widoczne, że Stanisław poznawał dziury od ćwieków, które sam niegdyś powbijał. Znowu więc zgodziwszy się z gospodarzem, zamieszkał tu ze wspomnieniem przeszłości.

Nazajutrz zaraz Bazylewicz, któremu więcej chodziło o *Polyhystora* niż o Stanisława, całe miasto przwrócił do góry nogami, szukając zbiega, i złapał go

nad wieczorem, domyśliwszy się, że zawsze powraca do jednej kryjówki.

— Cóż to ma znaczyć? zawołał wchodzić ogromnie otwartymi drzwiami, — także to, zawdzięczasz nasze dobre chęci? Moja żona formalnie się gniewa: najeliśmy ci mieszkanie, a ty uparcie lokujesz się w karczmisku?

— Nie znalazłem was wczoraj, a nałóg...

— No, to przenośże się natychmiast, — rzekł Bazylewicz, i wnet rozkazawszy konie zaprzęgać,abrał z sobą dawnego towarzysza.

Trudno się było tak dobrym chęciom opierać, uległ im Stanisław, choć niezbyt rad, że go już Bazylewicz ani spuścił z oka. Z nim zaraz i z rzeczami przebrał się na ulicę Wielką, gdzie go w dwóch izdebkach sklepionych, ale dosyć okazałych, ulokowano.

Wpadł więc w szpony spekulantów, a że zbyt się czuł słabym, by otwartą wojnę prowadzić, odłożył oswobodzenie swoje na później.

Nazajutrz rano wyszedł na miasto, i wstąpił po drodze do księgarni. Wielką tam zastał zmianę, która zaszła stopniowo w ciągu lat kilku, ale dziś była uderzająca. Znikły po większej części z półek wydania brukselskie romansów francuzkich, wszystkie zwykłe edycje paryżkie, a na ich miejscu domowe wyroby drukarni wileńskich, warszawskich, lwowskich, poznańskich, krakowskich, petersburskich, zajmowały skład prawie cały. Ruch był ogromny, zaprzątowanie wielkie; znać było, że literatura domowa wzięła nareszcie choć chwilowo górę nad cudzoziemskimi. Co chwila przybywały do księgarni paki z Lipska, Poznania, Warszawy, z nowymi dziełami; wcześniej i śpiesznie przyspasabiano ładunek kontraktowy, prospekta

leżały stosami, a księgarz uśmiechał się i ręce zacierał.

Trudno wypowiedzieć, z jakim połyskiem oczu poskoczył on, ścisnął dłoń Szarskiego, witając go z uprzejmością niesłychaną.

— A! przecież, przecież nam pan powracasz! zawołał. Witamy, witamy! Cóż nowego nam pan przynosisz? dawaj! wydamy jeszcze przed Kijowem! a prędko!! Możesz pan już gdzie był? — dodał niespokojnie, — toby się nie godziło opuszczać starych przyjaciół. Jam był, proszę pamiętać, pierwszym pańskim edytorem.

Staś uśmiechnął się.

— Nigdzie nie byłem — rzekł — ale też nic nie przywożę.

— Jak to? nic a nic? a godziź się to tak próżnować? zagrzebywać talent! A wstyd!! wstyd! wszak to sprawa literatury! To być nie może... tyle lat! pan musiałeś pisać!

— Orałem tylko.

— Jak to? zarzuciwszy wszystko?

— Prawie.

— Prawie! aha! łapię pana za słowo! musisz mi coś dać. Gdzieżeś pan stanął?

— Ja... rumieniejąc się rzekł poeta — ja... stoję razem prawie, to jest w tymże domu na dole, gdzie państwo Bazylewiczowie.

Na to imię księgarz usta wykrzywił.

— Przypadkiem? czy umyślnie?

— Proszono mnie...

Odeszli nieco na stronę.

— Na miłego Boga! — szepnął księgarz — coś pan najlepszego zrobił? Chyba chcesz wszelką swobodę postradać? zaprzedać się w niewolę? A toż pisać bę-

dziesz musiał i pisać do *Polyhistora*, bo oni gadać tylko umieją! Z tego pisania nie ci nie przyjdzie, ani sławy, bo tylko firmy porządne dać mogą rozgłos imionom... ani grosza, bo oni nie płacą. Potrzebaby się wynieść ztamtąd, uciekać! Ale maszże pan rękopism jaki?

— Zaczętych kilka.

— Zróbmy umowę o co poczętego, naglił księgarz: dam panu zadatek...

Stanisław wahał się, ale grzeczność jest jednym z tych narzędzi, któremi się najwięcej dokonywa, a księgarz był tak na ten raz ujmujący, tak słodki, że ciężko mu było odmówić; złapał więc zaraz na wstępie, i słowo się rzekło.

Zaledwie ztamtąd wyszedł Szarski, spotkał w ulicy profesora Hipolita, który zapomniawszy dawniej urazy, z uczuciem prawdziwem otworzył mu ramiona.

Ledwie go teraz poznał Stanisław... tak się roztył, zmężniał i niestety! wyłysiał!

— A witajże nam hospodyniel! rzekł żwawo i wesoło rzucając się ku niemu. Znowu z nami! Jużemy cię oplakiwać poczęli jako ofiarę wioski; jakże nam miło odzyskać, cośmy mieli za stracone! Jak się masz drogi, z czém przybywasz? Z pieśnią, powieścią, dramatem czy historią?

— Z niczém, kochany professorze. Znużony przybywam na spoczynek, z sercem wystygłem i głową spuszczoną.

— Nie wiem, czy ci jedno ogrzać, drugie podnieść potrafimy; ale zawsze to dobrze, żeś do nas przyjechał. Widzisz co się dzieje w literaturze! jakie zmiany! Książki sypią się gradem, więcej ich wychodzi w pół roku, niż przedtém w ciągu lat kilku, i wszystkie rozprzedają się, rozsypują po świecie. Rućn w ga-

zetach, w krytyce, w teorii sztuki, w myślach i w formie; pisma peryodyczne, pisma zbiorowe... drukarnie pracują dniem i nocą... Jest-li to sen czy jawa? będzie-li to trwałe, czy przejdzie jak mara? Ja, przyznaję się, nie mam wiary w takie gwałtowne paroksyzmy, bo wiem jak u nas o wytrwałość trudno...

— Ja nic nie wiem... nie rozumiem; byłem, jak wiesz, zbyt długo odosobniony, siedziałem na wsi, i obcy jestem temu, co się tu dzisiaj dzieje.

— Możesz więc i o losie pism swoich nawet nie wiedzieć!

— Nic a nic.

— Pozwól, bym ci pierwszy może dobrą zwiastował nowinę... powiem ci szczerze choćbyś się miał obrazić.

— Ja? wiesz professorze, że nie obrażam się niczém.

— Tém lepiej. Pisma twe, na które krytyka wrzeszczała, na które ludzie krzyczeli, któremi rzucali pomiatając literaci, koniec końców czytały się i czytają lepiej od innych, rozprzedają się doskonale i codziennie większą zyskują popularność. Była w nich forma czy nie? była myśl nowa? nie wiem, przypuśćmy, ale pisałeś je duszą całą, gorąco, i trafiłeś językiem tym do ogółu. Stałeś wyżej niżeliś się może spodziewał, a jeżeli wytrwasz...

— Los pism moich — odparł Stanisław — o tyle tylko mnie obchodzi, o ile się wiąże z losami literatury naszej i jest jój życia oznaką. To, co powiadasz, cieszy mnie jako znak głodu ducha, który spożywa wszelką strawę, jaką mu podają... nie zaś jako osobiste powodzenie. Żywot nasz cały dziś w tych sferach ducha, w literaturze, języku, piastujemy go i rozniecajmy to ognisko.

Hipolit ścisnął rękę jego z rozczuleniem i łzawymi oczyma.

— A z nami? kończył Szarski — co z nami będzie? czy pisma te wrzucą potem w kosz, który ma pójść na stos zapomnienia, czy je zdepczą pogardą, czy wyniosą na półki niedostępne czytelnikom, jaką taką opromienioną pół-sławą — nie wszystkoż to jedno, bylebyśmy dopięli celu rozbudzenia życia, chęci do pracy i umysłowego ruchu w kierunku prawym i zbawiennym, byleśmy zasiali myśli zdrowe i płodne? Oto jest cel, jaki dziś ma literatura; nie kunszt tu, nie zabawka, nie jakie takie wygadanie się z tém, co na sercu ciąży, trzeba mieć przed sobą, ale coś ważniejszego nad to wszystko... pożytek ogólny.

— Więc znowu przychodzisz pracować w winnicy?

— A jakże! odparł Stanisław z uśmiechem. Cóżbym ja robił, gdybym nie pracował?

— Pogodziłeś się z życiem?

— Nie kłóciłem się z niém, ale przywiązać się do niego nie mogę. Nie bawią mnie, nie radują, nie nasycają przyjemności innym drogie; zimny jestem na nie, cożem winien temu? Czynne życie mnie nie wabi, rzucam się w pracę jak w otchłań, jak inny w szal rozrywek... Ale... na cóż ci tu rozpowiadać.

— Cóż u licha takeś się za wczasu rozczerował? Dla jednej Żydóweczki! wstydź się! to już dzieciństwo.

— Byłoby dzieciństwem, gdybym takiej straty przeboleć nie mógł, rzekł Stanisław poważnie; ale są chwile, w których drobna kropelka płyn na brzegi naczynia wylewa... Dawno szukałem słowa zagadki tego świata, i znaleźć go nie mogłem długo... teraz schwyciłem je nareszcie.

— Ciekawym!!

— Stara to tylko niestety! i bardzo oklepana prawda, w którą z razu nikt wierzyć nie chce... Świat nie jest celem i końcem, ale przejścia drogą; trzeba więc przezeń ruszać szybko, uczciwie, prosto na wrota zwrócone mając oczy, niebardzo dbając jak się tu nam powiedzie...

— Oklepanka odwieczna! rzekł śmiejąc się Hipolit.

— Tak jest; ale kochany professorze, wszakże wielkie prawdy kryją się w oklepankach, któremi ludzie rzucają jak nierozgryzionymi orzechami, nie przechodząc za ich łupinę... prawdy te przechodzą mimo nas co chwila, jak przebrani za żebraków książęta, mijani wejrzeniem obojętném. Zdaje mi się, że połowę przynajmniej olbrzymich prastarych prawd, których nam braknie, możnaby odkopać z pod zasypów gruzu, jak Babilon i Niniwę z pod potłuczonych cegieł... Dla tego ja się szczególnie bacznie przypatruję nie ekscentrycznym pomysłom, w których często strój i forma stanowią całą nowość, ale oklepankom chodzącym w podartym łachmanie.

— Ba! ba! rzekł Hipolit: życie coś przecie warto.

— Nie przeczę, w pierwszej swój połowie; w drugiej żyjemy już tylko dla świata, stajemy się ofiarą; w trzeciej jesteśmy niepojętą ruiną oczekującą zagłady...

— Aleś ty pierwszej nie przeżył?

— O! dawno! dawno! Nie licz wieku latami, nie patrz na zęby jak koniowi, spojrzij na serce...

— Rozmowa twoja smutna do licha! zerwiemy ją... Dokąd idziesz?

— Do domu.

— A dom twój?

Stanisław wymienił mieszkanie.

— Jak to! w jednej kamienicy z Bazylewiczem?

— Tak jest... rzekł rumieniąc się trochę Stanisław.

— Jakże się to stało?

Szarski się przyznał; Hipolit smutnie pokiwał głową.

— Zaprząłeś się; — rzekł — niepotrzebnie, pokoju ci nie dadzą... Bazylewicz potrzebował prawej ręki, bo sam nie już nie robi, a chce grać jakąś rolę i ciągle mówi o tém tylko, co ma kiedyś przedsiębrać, co by zrobił, coby mógł zrobić, gdyby nie to, nie owo i nie tamto! Jejmość grzeczna, on natarczywy, spęta-
ją cię i wywierają na murzyna...

Staś ruszył ramionami.

— At! rzekł — bylebym w ciszy mógł pracować.

— Zapewne! odparł Hipolit; ale ta praca, owo panaceum twoje, dobra jest dopóki jój kierunkiem nikt nie włada; jak skoro tobą suwać zaczną w tę i w ową stronę, obracać, popychać, i ona ci obmierznie. Potrzeba, żebyś miał swoje przekonanie i cel, a tu ci i przekonanie i cel narzuca, a ust otworzyć nie dadzą.

— No! to ucieknę!

— Róbże to za czasu, bo się splączesz, i potem...

— Ale cóż splątać mnie może?

— Słabość twoja.

Stanisław mocno się nad temi przestrogi zamyślił wracając do domu, i wszedł pochmurny do izdebki, w której głównym fotelu zastał Bazylewicza rozciągniętego, palącego cygaro i zadumanego głęboko. Zdawał się oczekiwać na niego.

— No! bierz frak — rzekł do wchodzącego — i chodź do nas na literacki wieczorek. Moja żona wysłała mnie umyślnie, żebym cię prosił; spodziewamy

się, że weźmiesz z sobą jaki rękopism i przeczytasz nam cokolwiek.

— Ja? zawołał cofając się Stanisław—ja? Ale ja nigdy a nigdy nie czytam.

— Dla nas zrobisz wyjątek.

— Nie mogę!

— No, mniejsza zresztą o to, ale chodź, poznasz literaturę naszą, i przekonasz się, że jest życie w pokoleniu, które po nas nastąpi, lub z nami idzie razem.

Stanisław, jakkolwiek zmęczony i smutny, dał się znowu namówić, i jako tako przybrawszy się, wszedł z gospodarzem do saloniku na pierwszym piętrze.

Nie ciekawy bywa zwykle salonik literacki, i ten też nie odznaczał się wytwornością; porządku w nim było niewiele, pyłu dużo, książek, rycin, nót i litografij po stolikach i kanapach kupami, a za okrągłym stołem siedziała gospodyni domu, przecinając karty nowego jakiegoś dzieła, którego podobno nigdy czytać nie miała.

Na ścianach, jako dowody czci dla sztuki nieoddzielnej od literatury, wywieszone były próbki młodych artystów: ogromny pejzaż straszliwie oświecony księżycem, nad którym chmury białe wyglądały jak rozczochrana czupryna; głowa starca dyabelnie czerwona pod pretekstem kolorytu; szkic bitwy, w której dym i trzy końskie pośladki widać było; karczemka z drzewami koloru szpinakowego z niebem przeraźliwie lazurowem. Oprócz tego; stał na postumencie tors jakiś z listkiem winnym, nieudatna domorosła Wenus jakaś udrapowana ręcznikiem, a łeb filozofa doskonale ły-
sy kompletował tę wystawę płodów sztuki krajowej, wcale nieciekawą.

Ciekawsze było daleko towarzystwo literacko-artystyczne, które Stanisław zastał już zgromadzone w saloniku, a pierwszy rzut oka nie dozwolił mu ducha jego ocenić. Była to młodzież sama, z której twarzy patrzyło tyle dumy, wyniosłości, pogardy ludzi i zarozumienia, że gdyby drugie tyle znalazło się w niej talentu, ileżby to dokazać mogła!! Jedni odznaczali się heroicznymi czuprynami, drudzy brodami ogromnemi, inni ostrzyżeniem włosów przy samém skórze, ubiorem osobliwszym, okularami i t. p. Każdy z nich miał minę aktora występującego w jakiejś roli, przybraną, cudzą, nienaturalną, a co za tém idzie, śmieszoną.

Gospodyni odciągnawszy na ten raz fluksę swoją nie wiem jakimi środkami derywacyjnemi, promieniała jak muza w pośród tego grona.. Byli tu i artyści w listkach jeszcze, i muzycy w pączkach, i krytycy kielkujący dopiero, i poeci poczynający rozkwitać, i wszystko, co tylko kollaborowało lub kollaborować mogło do *Polyhistora*; autorowie jednej piosenki, twórcy niewydanych dramatów, historycy wybierający się dopiero uczyć dziejów. Na widok Szarskiego, który niczem się nie odznaczał chyba zbytciem nieśmiałości i pokory, ci ichmość spojrzeli ze wszystkich stron, poczymychali głowami, ruszyli ramionami i poczęli pozsceptywać między sobą.

Milczenie ogólne przerywane tym szmerem na stronie, nie potrwało długo, i poczęła się rozmowa, jak Canon na mnóstwo głosów, z których coraz to nowy do chóru się przyłączał.

Najbardziej uderzającą prowadził w niej rolę błąd, w dosyć wytartym fraczku jegomość, na którego twarzy nie wiem czy smutek z choroby wynikły, czy

chorobę ze smutku zrodzoną widać było. Mianowano go poetą, ale ilekroć się odzywał, niemiłosiernie ze wszystkiego szydził, co nie dowodziło usposobienia poetycznego wcale.

— Kto to jest? zapytał Szarski gospodarza.

— To pan P. P., poeta... człowiek z geniuszem wielkim, ale na nieszczęście nic robić dotąd nie chciał, pije tylko, hula i po billardach się włóczy... Geniusz jego, jak sam o sobie powiada, żadnych oków ściępieć nie może, on sam brzydzi się pracą. Wyśpiewawszy trzy zręczne piosenki, już na laurach odpoczywa.

Drugi z ogromnym włosem, rodzaj dandysa niż kiej próby, niezmiernie gadający i obfity, który ciągle głos zabierał i sądził bardzo surowo o wszystkim co się nawinęło, miał być krytykiem i filozofem *Polyhistora*, ale do tej pory trzy dzieła niemieckie przeczytawszy, o nich tylko, z nich, przez nie rozprawiał, i widocznie żył tylko niemi. Trzeba było posłuchać, jak ci panowie sądzili całą przeszłość, całą literaturę własną, najzasłużeńszych mężów i najlepsze dzieła. Wszystko u nich było słabem, niedołężnem, nieudolnem, akowskiem aż do przyjścia na świat tej szkoły, której się mianowali przedstawicielami.

Dla jednego epokę odrodzenia stanowił jego własny poemat, dla drugiego jakiś urywek bezimienny, wszyscy po uszy siedzieli w otchłani filozofii niemieckiej i chodzili w sukni cudzej, zmieniawszy tylko naśladownictwo, a głosili się pisarzami oryginalnymi i narodowymi.

Ich pojęcie postępu, z którym nieustannie na plac wyjeżdżali, tak było fałszywe, ciasne, dzikie, a nieznamość warunków istotnego postępu ludzkości tak śmieszna, że słuchając ich, dreszcz przebiegał po skó-

rze, włos się jeżył na głowie, strach przejmował i li-tość.

Żaden nie pojmował i nie rozumiał dysputy: wy-rzekł i basta! dawał wyrok w sprawie, i obwinawszy się w swoją togę konsularną, ani już zważał co gmin o wyroku rzeknie, a uchowaj Boże opozycyi, szyder-stwo i łajanie zastępowało argumenta!

Moralność w tém gronie i zasady reprezentował niejaki pan Plucha, młody człowiek, który się zgry-wał regularnie trzy razy na tydzień, a upijał naj-mniej drugie tyle, ale za to zgrany i pijany wołał nieustannie o zwrot do pierwotnego chrześcijaństwa, do czystej nauki Chrystusowej, i pisał artykuły bez końca o zgodzie życia z teorią moralności, o wprowadzeniu w czyn zasady wiary i t. p. Zajadły deklamator, śmiały napastnik, bił w łeb wszystkich sześciolokciowemi wyrazami, i nikt mu odpowiedzieć nie śmiał prostém nawet: *Medice, cura te ipsum!*

Historyków aż dwóch było w tém gronie: pan Po-cieszkiewicz i Brukiewka. Pocieszkiewicz badał fakta i głosił, że w historii wszystko jeszcze było do zro-bienia; chłostał starą szkołę za brak krytyki, wyty-kał powiększając wady poprzedników, wołał o wlanie życia w dzieje, a sam pisząc, nie umiał z najżywszych materiałów nie zlepić, prócz małych i dość niezgrab-nych obrazków, w których moc była chęci, naprężeń, wysilenia, ale za grosz skutku.

Sławny to był odkrywacz drobnostek, do których niezmierną przywiązywał wagę; udało mu się gdzieś wyszperać stare inwentarze z XIII wieku... cóż się o nich nie naspiewał, co niemi nieszczęśliwego Narusze-wicza nie nasiekał, ile razy codzień z nowym sosem po-dawał je czytelnikom i jak się niemi wynosił! A prze-

cię trzeba było kogoś innego, żeby z nich istotną ko-rzyść żywotną odniosła historia. Dla niego ksiądz bis-kup smoleński i jego praca godni byli spojrzenia z wysokości, poprzednicy zaś historyka, nie wyłączając nikogo, stali po za ilościami oznaczalnemi, w mro-kach niebytu... w nicości.

Pan Brukiewka z innego znów stanowiska zapa-trywał się na historję: ciągle wywołując Vicon'a, Her-per'a, Hegla i lichy wie ilu jeszcze patronów nowej jakoby nauki filozofii dziejów, zapomniał tylko w tym poczcie Bossuet'a, podobno umyślnie. Miał on wedle swych popieczników missyę stworzenia filozofii historii krajowej, i uspasabiał się już ku temu, kiedy niekiedy deklamując po salonach wyjątki ze swego dzieła. Ro-zumie się, że głowę nosił do góry, pewien będąc, iż dzieje krajowe poczną się dopiero od niego, a to co mu służyło za podścielisko pracy, zginie marnie po-żarte przez olbrzyma. Brukiewka był naturalnie heg-listą i filozofem z niemiecka, choć o myśli rodowej, duchu rodowym, charakterze rodowym prawil nie-ustannie po niemiecku, a Niemców ich własną rznąć bronia, ścigał przekleństwami historii.

Dodajmy zresztą, że Brukiewka był wcale dobrym człowiekiem, byle go nie zaczepiać ze strony filozofii historii, bo tu sobie w niczem zaprzeczyć i opierać się nie pozwalał. Najpewniejszy był między innemi swemi odkryciami, że pierwszy wynalazł missyę Słowiańszczyzny i epokę słowiańską zbliżającą się dla Europy, i naiwnie chodził z tém jak z myślą własną, powtarzając ją najmniej trzy razy na dzień.

Był tam jeszcze wielki i znakomity archeolog, któ-ry nie nie czytając o tém, co gdzieindziej po świecie zrobiono, odkryto, wybadano, nie porównywając, nie

szukając światła u ogniska, sądził sobie spokojnie *a priori* o wszystkiem, i najpewniejszy był, że archeologię krajową wytrzęsie z rękawa, byle chciał.

Był i krytyk-artysta, wielki znawca, który nie pracując nad sztuką i nie mając jęj pojęcia, posługując się jakimiś formułkami, wyrobił sobie, że go uważano za wyrocznię, choć jednemu Bogu wiadomo co prawili, gdy sobie cugli popuścił! Najgrubsza nieznamość przedmiotu, teorii jego i dziejów, podpierająca się w nim, jak w większej części tego areopagu, za rozumiałością niesłychaną, olbrzymią, szaloną; ale wśród ludzi, co i tyle nie umieli ile on kłamał, uchodzić za krytyka i znawcę było łatwo. Krytyk nasz jako żyw ołówka i pendzla w rękę nie trzymał: mówił, że niegdyś suche drzewo w sztambuchu pani R... posadził z podpisem: *Deraciné par l'orage* (dając do zrozumienia, że on był tém drzewem, a może pani R. tą burzą); ale więcej płodów jego świat oglądać nie miał szczęścia. Przeczytawszy jakąś podróż po Włoszech i pocziwy jakiś manual, który go wyuczył półkopy nazwisk, puścił się śmiało w krytykę. *Usus te plura docebit*, powiedział sobie, i tak się też stało! Omyłki, jeśli go kto na nich niegrzecznie złapał, lękał nie przyznając się do nich; coraz sobie lepiej wylaamywał język, uczył się terminów, i ostatecznie złapawszy wyrazy: *chie, flou, fouilli, ficelles et le reste*, ani już z sobą mówić dozwalał profanom.

Sądy jego często były śmiesznie fałszywe i krzyżaco dziwaczne, ale ani się zająknął, gdy je głosił. Zresztą, opponentów zakrzykiwał i zaplawał, bo piersi miał silne, a usta zawsze wilgotne. Wyrobiwszy sobie stanowisko krytyka, żył niem moralnie i na serio się uważał za Arystarcha. Zapraszano go, gdy kto

obraz kupił, gdy odmalować kazał portret, używano do roznoszenia po świecie famy dzieł artystycznych, a malarze i rysownicy schylali przed nim czoło, kupując życzliwość jego podarkami szkiców i pokorą, choć w duchu doskonale znali jego głupotę i nieuctwo. A! cóż robić mieli biedni! Kto mu się oparł, zgnieciony został jedném słowem. Dość było, by wyrzekł w salonie: „To bazgrał! nie ma poczucia kolorytu!” lub co podobnego, żeby od artysty uciekali wszyscy, powtarzając wyrocznię.

Najśmieszniejszym był, gdy się puścił czasem w tłómaczenie profanom tajemnic techniki, otwierając im gęby dziakimi wyrazy, choć baka sadził po baku. Wszyscy szeptali zdumieni: „Zkąd on to wszystko wie? oto się zna bestya!”

Rozmowa stała już na bardzo górném stanowisku, gdy po chwili przerwy, gospodyni rozpoczęła ją na nowo, ni muięj ni więcej tylko rozbiorem zagadnienia: czy sztuka i literatura są wypływem społeczności, lub kreacją niezawisłą od nięj, a do działania na społeczność przeznaczoną? Sposób, w jaki kwestya ta położona była, absolutne jęj rozcinanie, wyrodziły androny; a gdy Szarski odezwał się, że tu, jak w wielu zdaniach, prawda jest w pośrodku dwóch ostateczności, to jest, że literatura i sztuka wypływając ze społeczności, działają wzajem na nią,—nikt nie raczył nawet podnieść tego, co rzucił, i umilknąć musiał prawie zawstydzony, że się tak nie do rzeczy odezwał. Każdy po chwili począł się popisywać przed nowym przychodniem, czując potrzebę zarekomendowania się: jeden wywłókł swój system historyczny, drugi swą teorię sztuki, trzeci sąd o literaturze, i puścili się w taką logomachię, że gdyby nie gosposia, która słowa

swego nie mogąc wcisnąć, nudzić się poczyniała słuchaniem tego, co po raz setny obijało się o jęj uszy—byliby się do białego dnia spowiadali, wzajem sobie pomagając. Poeta oddeklował wiersz pod tytułem *Odrodzenie*, któremu pokłaśnięto hucznie, i na tém się przecię skończyła sessya.

Stanisław ziewając schodził ze schodów, gdy Bazylewicz w szlafroku już schwycił go, doganiając z cygarem w ustach.

— A co? spytał—a co? nie żyje literatura nasza? nie rośnie? Co to za ludzie! jakie talenta!

— Moj drogi—odparł Szarski—może to prawda, ale ludzie ci niedojrzali, zdaje mi się, zrobiliby więcej, skromnie ucząc się i pracując, niżeli głosząc godzinami swe zielone teorye.

— Heretyku! co mówisz?

— Każdy z nich myśli nie o literaturze, nie o nauce swęj, nie o sztuce, ale o sobie... Ten się chce popisać, ów zadziwić, inny choć czuje się miernym, udaje geniusz; nie naturalności, nie prawdy, komedia tylko źle odegrana; a co nieuctwa, a co głupoty pod maskami dumi i zarozumiałości!

Bazylewicz spojrział nań z ukosa.

— Stasiu—rzekł—ce ty gadasz! czém cię oni obrażili?

Szarski się rozśmiał szczerze.

— Kochany mój — odparł — poznajże mnie raz przecię! Co tu ma do sądu obraza osobista? Gdyby mnie z nich każdy obraził najsrożej, krwawo, śmiertelnie, cóż to ma do mojęj opinii, jako o pisarzu i talencie? Musiałbym oddać mu sprawiedliwość i pokłonić się geniuszowi. Najsroższą obrazą jest nieudolność napuszona, bo tęg znieść nie mogę.

— Zbyt surowym jesteś sędzią.

— Zbyt szczerym może.

— Czyż istotnie tak o nich sądzisz?

— Najszczerzej. Mogą mieć talenta, ale je zabijają w sobie dumą, ale je paraliżują lenistwem, marnują w próżnowaniu, trują zarozumiałością.

— Czekaj! czekaj! przeczytasz i nawrócisz się.

— Daj Boże!

— Dobranoc!

Bazylewicz odszedł chmurny prędzej niż myślał do żony, która go podobno posłała dla wybadania wrażenia, jakie jęj koterya zrobiła na przybyłym; a Stanisław osmutniał, wsparł się na łokciu i pół nocy przedumał, usnąć nie mogąc.

— Mój Boże! rzekł klejąc nareszcie powieki: czy świat w istocie tak wart mało? czy tylko ja tak nieszczęśliwy jestem, że trafiam zawsze wejrzeniem na najgorsze strony jego?

I wolał siebie obwinić w końcu, niżeli drugih potępić.

Gdy się to dzieje w Wilnie, a Szarski powraca do dawnego życia trybu, na wsi pozostałe pani Brzeźniakowa i Marylka, po wyjeździe jego smutne, długie pędziły godziny. Rozpłakała się Marylka wsiadając do powozu w Krasnobrodzie, i matka łyż jęj widziała, nie śmiejąc o nie zapytać; ale gdy się płacz coraz częstszym stawał, gdy smutek coraz cięższy począł okrywać jęj czoło, gdy czas zamiast goić ranę

jeszcze ją powiększał, niespokojna matka pośpieszyła do sędziny.

Upatrzyła chwilę, by się z nią sam na sam spotkać, a gdy obie w kąciu zasiadły, z westchnieniem rozpoczęła dawno przygotowaną rozmowę.

— A, moja droga! odezwiała się do przyjaciółki: wielkiej ci się biedy mam wypowiadać!

— No! no! cóż to takiego moje serce? (Byle tylko nie po pieniądze przyjechała!—dodała w duchu sędzina, troskliwa o swoje zbiory—żłem się jej wygadała, że grosz mamy w zapasie!)

— Bieda, moja kochana! Marylka mi choruje, smutnie...

— Możeby doktora? Lusiński bardzo dobry doktor.

— A! gdzie tam! co on jej pomoże! Wiem ja co jej takiego.

— Cóż to? zmiłuj się! śmieliej przysiadając się zapytała staruszka.

— O! zakochała się biedaczka!

— A! co ty mówisz! doprawdy? łamiąc ręce krzyknęła sędzina. Mów ciszej, żeby moja Mania nie posłyszała...

— Tak jest! tak jest! Twój Staś głowę jej przewrócił.

— Ale się chyba mylisz! On! on! zlituj się! gdzież to do niego podobne!

— On nic temu nie winien...

— No, a jakże się to stać mogło?

— Marylka go sobie podobała... Nie wiem sama co począć! On widzę ani dba o nią, a ta mi schnie po nim i choruje... Powiem ci moja droga, po staremu, otwarcie: Marylka niezła partya, będzie miała ze

mnie i z ojca sto kilkadziesiąt tysięcy; jest za co ręce zacześć.

— Sto kilkadziesiąt! piękny grosz!

— I remanenta! moja droga!

Staruszka pokiwała głową.

— Lepiej partyi nie chciałabym dla Stasia... Możeby napisać do niego?.. Ja z duszy jestem za tym, ty nie od tego, to się skojarzyć powinno.

Tak w prostocie ducha, po staroświecku pojmowała to sędzina; ale pani Brzeźniakowa lepiej świat znając i ludzi, uśmiechnęła się boleśnie na jej słowa.

— Moja droga—odpowiedziała z cicha—na co się to zdało, jeśli on dla niej nie będzie miał serca?

— A czemużby serca nie miał? odparła sędzina z podziwieniem naiwnym. Dziewczę śliczne, edukacja dobra, dom uczciwy, bo to Brzeźniakowie nawet się z Sapiehami pokumali! posażek szlachecki...

— Cóż poczniesz, jeśli jej nie kocha?

— Ale jakżeby nie miał kochać, proszę ciebie? czemużby nie kochał? cóż? ślepy czy szalony?

— Moja droga, teraz świat taki, że i wdzięk i młodość im nie starczy... nie dość im tego! chcą jakiejś sympatii... chcą... licha ich tam wie czego! ja stara nie rozumiem!

Sędzina ruszyła ramionami.

— A! głupstwo, rybeńko! rzekła: niech no ja go tu sprowadzę, powiem mu, głowę natrę, to ich poženimy, dalipan poženimy.

— A! dajże mi pokój! nie o takie ożenienie mi chodzi—odparła Brzeźniakowa—ale żeby ją pokochał... potem reszta już nietrudna... sama się robi. Ale tyle czasu byli z sobą, a prawie na nią nie spojrzali!

— Jakże bo ty chcesz, żeby pokazał co czuje? go-dzinami z sobą nagadać się nie mogli.

— Tak, i wyjechał, słowa nie powiedziałwszy.

— Nieśmiały rybeńko! Ściągniemy go nazad!

— Nie! nie! tego nie chcę: sama pojedę do Wilna z Marylką, mam tam krewnych, będziemy go widywali, kto wie, może Bóg się zlituje nad mojem dziecięciem. O złote to serce! o dusza anielska! ale Bóg mnie skarał, zem jój książkę dała w rękę... Nauczyła się marzyć, serce się rozkołysało i przywiązała właśnie do tego, który jój kochać nie może!

Sędzina ruszyła znowu ramionami, zdejmując okulary dla pokrycia ruchu tego.

— Bóg widzi, serce moje, że ja ciebie nie rozumiem. Jak to? kochać nie może? I ty bo jakieś romanse masz w głowie, kiedy tu najprościej możnaby sobie dać radę. Ściągnąć go z Wilna, zrobić zaręczyny, pobłogosławić i kwita.

— Dobrze—rzekła uśmiechając się boleśnie pani Brzeźniakowa—ale niech to będzie środek ostatni; a ja jutro wyjadę do Wilna... Siłą, moja droga, takie się rzeczy nie robią.

W kilka dni potem, w istocie matka z córką ruszyły w drogę ku Wilnu, pod pozorem odwiedzenia krewnych i starych znajomych. Marylka rozweseliła się nieco, ujrawszy mury odwiecznego grodu i wieżycę jego kościołów.

Ale przybywszy tu, długo musiała pani Brzeźniakowa szukać sposobu, by do Stanisława się zbliżyć. Nigdzie go spotkać nie mogły; wreszcie matka musiała pod pod pozorem listu od sędziny do syna i nowin z Krasnobrodu, wezwać do siebie Szarskiego.

Marylka ani myślała ukrywać swojej radości na

widok tak pożądanego jój gościa; ale ani drżenia jój dłoni, ani blasku jój oczu, ani uczucia przebijającego się w głosie nie zdawał się postrzegać Stanisław.

Uśmiechnął się do Marylki, bo ją zastał tylko samą, usiadł przy niej, i począł żywo rozpytywać ją o swoich, o siostry, o matkę. Dziewczę patrzyło nań, patrzyło jak w tęczę, i tak się nasycalo tém długiem wpatrywaniem się po ciężkiej rozłące, jakby nim nigdy dosyć nakarmić się nie mogło—i nie, nie, nawet wzrok jój łzawy nie budził ze snu tego, ku któremu biło tęskne serce Marylki.

Weselszy trochę niż zwykle, swobodniejszy, żartował, a każde słowo jego tak było dla niej bolesne, tak przekonywało o obojętności! Jeszcze w nią wierzyć nie chciała; zdało się jój, że siła tego przywiązania, które było i czyste jak miłość anioła, i potężne jak młodzieńcza miłość, wkradnie się do zastygłego serca, ożywi je, roznieci iskrę i zbliży do piersi, która od niego wołała zycia!

Kiedy byli razem, myślała czasem, że go już potrafi poruszyć, że go poruszyła... zdawało się jój, że dojrzała blasku w jego oczach, że dosłyszała w głosie coś drżącego; ale po chwili przelotnego rozbudzenia, powracał do dawniej nieczułości i zdrętwienia.

Spotykali się w domu pani Brzeźniakowej, która różnemi sposobami wabiła Stanisława, nie okazując mu tego wyraźnie—w kilku domach, do których ona go wprowadziła umyślnie, i gdzie sama często bywała—na przechadzkach, w mieście,—ale nic nie okazywało, żeby Szarski pomyślał o nich, zapragnął widzieć, zbliżyć się, spoufalić. Marylka rumieniąc się, szła przeciwko niemu cała drżąca, witając go z tak wyraźnem uczuciem, że nieraz przerażona matka ła-

mała ręce, obawiając się, by w oczach ludzi nie skompromitowała się przywiązaniem swoim; ale pocziwe dziewczę tak się zapominało, że świat cały dla niej był niczem, a oczy obcych i sąd obcych obojętnym. Codzień rosła ta miłość, a w miarę jej nieczułość Szarskiego widoczniejszą się coraz stawiała. Nie przeradzała się ona w rozpacz, nie zdradzała jękiem i łkaniem, ale co chwila silniejszą się stając, groźną już była dla matki.

Nie wiedziała co począć: czy zostawić rzeczy jak były i zamieszkać w Wilnie, w nadziei, że Stanisław przejrzy nareszcie i poczuje jakie szczęście ku niemu się zbliża? czy powracać na wieś, by oderwać od niego Marylkę i próbować ją uleczyć? Matka z córką nigdy jeszcze nie mówiły o tém; pomiędzy niemi panowała ta serdeczna sympatya, która sprawia, że mowa się staje niemal niepotrzebną i zbyteczną. Czuła Marya, że ją matka rozumie, nie kryła się przed nią z niczem; wiedziała matka, że ona także pojmuje, co serce jej czyni dla dziecięcia; ale żadne dotąd słowo nie przerwało dobrowolnego z obu stron milczenia.

Ze łzami tylko kryły się obie, i plakiwały po kątach, myśląc, że ten wytrysk boleści przed sobą utają.

Stanisław wciąż był jednakim, a obojętność jego dochodziła do tego stopnia, że czasem zasiadywał się uparcie w domu i trudno go było wyciągnąć od książek, a pani Brzeźniakowa potrzebowała całej strategii kobiecój, żeby go skłonić do wyjścia, tak, aby się nie postrzegł, że umyślnie go wyciągano. Od czasu przybycia do Wilna, po długim spoczynku, Staś zagrzebał się całkiem w pracy, zakopał w swęj izdebce, a że żył duchem tylko i myślami, że do nich zasoby z ksiąg czerpać musiał, bo żywy świat był dla niego stra-

wą niesmaczną — coraz namiętniej przywiązywał się do zimnych kart, z których ssal życie i pokarm swęj duszy. Z tego zamiłowania powstała nieuchronna mania książkowa, na której kończą zawsze zawzięci, nałogowi pracownicy; pokochał nietylko te księgi, którym był winien pokarm codzienny, ale wszystko, co się księgą zwało... Jak pan Benedykt Pleśniak, nieznacznie wpadł w antykwaryuszowstwo, w bibliomanię prawie; a że naówczas w Wilnie, dzięki kilku Żydkom, którzy wiedli handel książkowy, łatwo było tęj namiętności dogodzić za małe pieniądze, za Lelewelowskie nawet ceny, Szarski począł zbierać biblioteczkę, badania jakieś starożytnęj literatury, i utonął w szpargałach. Stworzył tęp sobie życie sztuczne, na którym, jak na wódce pijacy, kończą ci, co potrzebują zajęcia dla umysłu i serca, a do ludzi się po nie odwołać nie chcą, wyziębłszy dla nich na zawsze. Al! ma i serce udział w tęp suchej sprawie, i ono bije na widok żółkłego pergaminu, na którym leży piętno przeszłości, jak dawniej biło może do uśmiechnionęj twarzy dziewczęcia! Mania ta staje się w końcu namiętnością, szaleem, gorączką... Tak Goethe siwiejąc, zbierał kruszce i kamienie... Stanisław jednak nie był zbieraczem bez celu i idei, ale przedsięwziął pracę, może aby się sam usprawiedliwił przed sobą, a do niej gromadził co tylko mógł i jak mógł. Śmieszne to, może ale zaprawdę niebezużyteczne zajęcie szperacza: ten tylko wie kto pracował, jak zbliżenie rozpięchłych rysów, bodaj drobnych, może wielką zbudować całość; niespodziane światła tryskają z tych zetknięć często trafunkowych, a zbiór materyałów jest już dzieła połową.

Utonąwszy w pracy, do której samo przygotowa-

nie ogromnych wymagało zasobów, Stanisław uczuł się szczęśliwszym, spokojniejszym, zobaczył cel jakiś przed sobą, ale zarazem z tą metamorfozą, która z poety zrobiła go badaczem, smutek, po lekarsku mówiąc, będący chorobą zapalną, stał się, powiedzieć można, chroniczną, przeszedł w wiekuiłą tęsknotę, zrosła z naturą jego i życiem.

Czasem jeszcze zapalało się oko, pierś zadrżała, gdy nagle rozjaśnił mu się horyzont badania, ale wnet znużony, szukając spoczynku, twarz przyoblekał smutkiem, i wzdychał silniej jeszcze przywalony przeszłością. Al tak pusty! tak pusty był mu świat! taka głucha cisza zalegała daleki życia gościniec!

Towarzystwo Bazylewicza, jego żony i ich konfraternii wcale nie przystawało do serca. Byli to ludzie sztuczni, inni po wierzchu, a inni we środku, cali na pokaz, na wystawę, na oszukaństwo, a on nie skłamał, nigdy ani słowem, ani wejrzeniem, ani ruchem. Wśród tych istot pełnych przesady, musiał się wydawać blade, nikło, zatarto, jak postać odmalowana barwami naturalnemi wśród krzyczącego kolorytem obrazu. Nie przyznano mu też ani zdolności, ani zapału, i sądzono jako istotę chłodną, niedaleko widzącą, a nawet nieuka, bo nigdy się nie przyznał, że wiedział to, o czém wyobrażenia nie miał, i szczerze spowiadał się z błędów i omyłek.

Tak tedy wlokło się to życie wpół zakopane w księgach, na pół oddane dumanium, którego część tylko małeńka szła na łup ludziom i towarzystwu. Pani Brzeźniakowa, której oka nie nie uchodziło, widziała go codziennie starszym, zimniejszym, więcej opanowanym tęsknotą, bardziej oderwanym od świata, i truchlała patrząc na postępy tej choroby. Było to w isto-

cie jakby chorobą jakąś. Stanisław zamyślał się coraz dziwniej, coraz mniej widział co się w koło niego działo, coraz mniej czuł, coraz rzadziej dawał się wywieść z tego stanu odrętwienia; często przyszedłszy siadł w krzesło, zapatrzył się na ścianę, spuścił głowę, i tak milczący przetrwał bez ruchu godzinę. Marylka budziła go słowem, śpiewem, uśmiechem, piosenką; odwracał oczy, westchnął, a gdy się zdawał wzruszony, gdy rumieńce jak dwa liście róży przyklejone do policzków zakwitły... brał za kapelusz i uciekał.

Rzekłbyś, że obawiał się już bicia serca i wszelkich następstw jego, że się sam odciągał siłą woli potężnej od punktu, którego dojść nie chciał. Coraz nawet rzadziej usta otwierał o rzeczach obojętnych, a te dawniej ogniste wykrzyki, co mu się z piersi wyrwały jak potoki wiosenne, zamilkły na zawsze...

I twarz też młodzieńca nosiła piętno zmiany, której uległ cały: wyniszczał, wysechł, wyżółkł, zgarbił się, zestarzał; oko miało na sobie powłokę, która ani do duszy jego zajrzeć, ani jęj wyjrzeć na świat nie dozwalała; usta zapomniały uśmiechu młodego i obojętnego; a łza, łza co jeszcze czucie i boleść poświadcza, już nigdy nie zwilżała mu żrenicy.

Doktor Brant, którego do siebie umyślnie podobno ściągnęła pani Brzeźniakowa, zobaczywszy go u niej, rozczulił się na widok starego znajomego, i zapomniawszy wszelkiej urazy, z uczucia litości znowu się przywiązał do Stanisława.

Szarski uczuł się na chwilę wzruszonym temi oznakami przyjaźni pocziwego starca; ale gdy Brant usiłował po swojemu zająć się jego moralną kuracją, uparcie się jęj bronił. Naprózno doktor go na przejażdżki namawiał, to go w świat prowadził, to bawił

to rozśmieszał, to mu naciągał natrętów, nic to nie pomagało. Szarski wymykał się, wykręcał, uciekał, i lekarstwo poskutkować nie mogło.

— To się źle skończyć może — rzekł nareszcie Brant po cichu do Brzeźniakowej, zażywając ogromnie tabakę: — choroba już się wpila w duszę, a gdzie dusza zajęta, tam ciało sobie rady nie da... na głos jej, jak na dźwięk trąb Jerycha, gród upaść musi... Tak pani! tak pani! w tym chłopcu nie ciało dotąd, ale dusza zraniona, serce skancerowane.

— A! doktorze, ratuj go, jeśli można! ratuj na miłość bożą!

— Gdybym mógł! ale jak ratować, gdy się kto co dzień sam truje?... Bóg... czas... oto środki jedyne... Ja tylko patrzeć muszę i wdychać z wami.

Szczęściem słów tych złowrogich nikt oprócz wdowy nie słyszał, a ta dobrze się po nich upłakała w ciemnym kątku, postanawiając nareszcie córkę odciągnąć i na wieś powrócić.

Ale na pierwsze rzeczone o tém słowo, Marylka zawiesiła się na szyi Matki i zawołała:

— Matuniu droga! mateczko! ja jechać nie mogę!

— Dziecko moje, ty musisz, tyś powinna.

— Muszę, powinnam, ale nie mogę, bo umrę...

Przestraszona gwałtownością tych słów, wyrzeczonych z niezmierną uczucia siłą, matka zamilkła.

— Marylko, mówmy szczerze, dziecię moje... ja cię chcę ratować — odezwała się łzy połykając — ty kochasz Szarskiego, a ta miłość życie ci struje.

— Tak! ja to czuję... ale... kochać go muszę... to los mój, to przeznaczenie...

— Wyjdziemy, wypłaczesz się, wytęsknisz i musisz o nim zapomnieć.

— I umrę! i umrę! matuniu kochana!.. krzyknęło dziewczę, padając jej do nóg. Zostaw mnie tutaj... ja nic więcej nie pragnę, tylko go czasem zobaczyć.

— Ale on ciebie nie kocha! on cię kochać nie może!

— Ja wiem! ja to czuję! sto razy powtarzałam to sobie daremnie... ale go kochać muszę... zawsze... zawsze do śmierci.

Pani Brzeźniakowej zdawało się, że ostatniem heroicznem lekarstwem na to obłąkanie być może historia Sary, o której dowiedziała się od doktora Branta. Zebrała się więc na odwagę, aby ją całą opowiedzieć Maryi.

Marylka słuchała z zaognionemi oczyma, z pierwszą wezbraną westchnieniami, z ciekawością dziecięcia zaglądając w przepaść, a w końcu we łzy się rozlała.

— On ją dotąd jeszcze kocha — dodała matka odważnie.

— On ją kocha! powtórzyła Marylka — wiem, i nigdy kochać mnie nie będzie; ale cóż poradzić sercu mojemu! Nie, matko! ja go żałuję, ja go kocham mimo wszystko! porzucić go nad siły moje...

— Odjedźmy więc, choć na czas jakiś, powrócimy później.

Marya nie mogąc już wyrzec słowa, padła jej do nóg; ale jej płacz tak był wymowny, żal jej tak przejmujący, że biedna matka nie śmiała się sprzeciwiać jej, i uleść musiała.

Dość długi przeciąg czasu upłynął prawie bez zmiany; żaden ważniejszy nie przerywał go wypadek, nic na pozór nie zmieszało zwyczajnego porządku, a jednak dla obcych, dla świeżych oczu, historia ta, którą opowiadamy, prosta, prawdziwa, niebogata w fakta, bo nieobmyślana dla zabawki, zbliżała się widocznie do końca.

Stanisław gorączkową pracą wyczerpywał się, schnął, zabijał.

Tuż Marya często dni całe przesadywała samotna w okienku, w oczekiwaniu, i całe tygodnie cierpiała samotna, by potem skradzioną godzinę obok obojętnego przepędzić, — i wiedła także powoli, jak kwiat podgryziony przez niewidomego robaka. Ani matka, ani ona nic już nie mówiły więcej; życie się wlokło tym trybem jak poczęło. Stanisław tylko coraz rzadziej a rzadziej przychodził, a najczęściej powiernik wdowy, doktor Brant, musiał go do niej gwałtem prawie ze szlafroka od książek i pióra wyciągać, wiodąc w różne miejsca, gdzie Marylkę spotkać mogli. Zdawało się na przekór wszystkiemu, że im dłużej trwała ta znajomość, tém Szarski bojaźliwiej się ku nim zbliżał, witał zimno, zmieszany, odchodził obojętny, z pośpiechem, a Marylki rozmowa często przebrzmiała próżno, nie doszedłszy ani ucha, ani serca...

O! smutny to był widok tego przywiązania tak szczerego, téj miłości tak czystej i pełnej poświęcenia, a obok chłodnej, nieszczęśliwej istoty, co już czuć nie mogła, czy nie chciała, która odszedłszy od pracy nałogowej, jak wytrzeźwiony pijak opium, traciła władzę i drętwiała w spoczynku. Jakiego tam było potrzeba serca, jakiej siły nad sobą, by wytrwać od-

pychaniej, by się nie zrazić, by nie dać ozwać się głośniejszemu ani dumie, ani miłości własnej, ani pragnieniom młodości!

Marł powoli Stanisław, a z tych ostatków życia jego korzystali ludzie, dla których obojętne jest cierpienie, byle jedwabnik umierając uprzął im kłębek jedwabiu. Pisma Szarskiego, w których schroniło się całe życie, cały zapal, cała siła niewyżyta, chwycił Bazylewicz, zabierali księgarze, i jak pędzącej wodzie narzucają młyny, tartaki i maszyny, by je obracała, tak jemu nadawano prace, aby je w téj gorączce, pragnącej zajęcia, obrabiał. Stanisław był już powolny i robił co mu kazano, byle tylko pracować.

Każdy przedmiot w téj duszy zogniskowanej w sobie, zamkniętej we wnętrzach, a silnej jeszcze, bo niezamarnowanej żywotem, przybierał rozmiary wielkie, poważne, i stawał się pod ręką jego utworem nowym, silnym, zdrowym, w którym czuć było krew krążącą i bijące pulsa życia. Najmniejsza drobnostka, jedno często słowo budziło w nim szereg idei, émy marzeń, których tłumy wywołane zjawiały się jak słowem czarnoksiężnika w ludzi przemienione kamieniem.. i szły, ciągnęły się, snuły pasmem nieskończonem.

Zdumiewać się nareszcie poczęli téj władzy jednoczenia ze światem idei najobojętniejsi, którzy sądząc pisarza z człowieka, nigdy nie domniemywali się w nim ognia, zapalu i tego bogactwa myśli! Bazylewicz chwycił urywki i zapychał niemi *Polyhistora*; większe rzeczy drukowano osobno, a że Stanisław mało czytał krytyki, a mniej jeszcze na nią zważał, posuwał się drogą własną, nie postrzegając nawet, jakie robił wrażenie i wywoływał krzyki.

Wśród zmuǳnego zajęcia, jędyną zabawką były stare księgi, któremi istotnie bawił się jak dziecie, oddając za nie co tylko miał do ostatniej sukni. Śmiano się z razu, lecz gdy poczał tłómaczyć co wiǳiał w suchym szpargale, wszyscy go uniewinnić musieli. Często Bazylewicz rzucał go z rana i zastawał nocą nad foliantem, który poczawszy czytać, nie wstrzymał się aż pożarł cały. Zimny i zaschły kronikarz wywoływał przed nim całą epokę; z ponizanych jak paciorki na sznurek faktów, z martwych kilku wyrazów, w umyśle jego tworzyły się obrazy żywota pełne. A gdy po długim czytaniu głos podniósł o treści księgi, nie poznać jej było w zmianie, jakiej przechodząc przez duszę jego, ulegała. Stara to i wielka prawda, że każdy w miarę siebie wyczyta na książki karcie; dla jednego ona jest obrazem barw i światłości pełnym, dla innych pemieszanych gruzów stosem. Stanisław czytając, tworzył.

Kilka razy z domu zajmowanego przez Bazylewiczów wynieść się chciał Szarski, i doktor go ztamtąd wyciągał, wiǳąc, że tu zamiast hamować go w pracy zabijającej, korzystają z niej tylko; ale literackie małżeństwo pod różnemi pozorami nie dopuszczało Stanisławowi odmienić mieszkania. Wreszcie namnożyło mu się jakoś książek, a w miarę wzrostu ich liczby, nieporządek, w którym rozrzucone były, pomnażał się, i Szarski nabierał wstępu do przenoszenia się gdzieindziej, któreby mu pracę przerwać musiało i zamęt sprowadziło nierozwikłany. Ciężko mu było ruszyć się z usłanego raz gniazda.

Tak stały rzeczy, gdy raz professor Hipolit, który od dawna jakoś zapomniął o biednym poecie, wpadł do jego izdebki, i zastawszy go na ziemi, wśród fo-

liantów, wybladłego, żółtego, z wypieczonym rumieńcem, z rozczochranym na skroni łysiejacęj włosom, osłupiał na ten widok.

— Poeto! na Boga! co ci jest? Alboż to tobie plug ten ciągnąć? albożeś wołem do jarzma stworzonym? tyś przecież skowronkiem, co śpiewa oraczom... chwyciłeś się nie swojej rzeczy!

Szarski podniósł powoli nawykłą do schylenia głowę.

— To lekarstwo! rzekł cicho — lekarstwo!

— Jakie lekarstwo?

— Na wyżycie się...

— Gdzieżeś się ty wyżył? śmiej się z tego! uroje nie! Ubieraj się i chodź.. obudzę cię jednem słowem... Sara przyjechała!..

Na to urocze, czarodziejskie imię, Stanisław zapłonił się, zachwiał, ale pochwycił na nogi, i jakby nagle wszystkie siły odzyskał, rzucił się ku profesorowi.

— Ty szydzisz! ty żartujesz, niegodziwy!

— Ale nie! nie! stokroć nie! Sara przyjechała, — i jeśli widok niegodnej ciebie zalotnicy, co zapomniawszy chwilowej miłości, szaleje po świecie, gdy ty tak głupio schniesz dla niej, ma ci przydać się na co — dziś jeszcze zobaczyć ją możesz.

Stanisław zmienił się w oka mgnieniu, przygasła już namiętność wzięła nad nim górę i opanowała go znowu, ożył, poczał, rozrzucając księgi, odtrącając papiery, szukać sukni, chwycił, puszczał z rąk co złapał, śmiał się, płakał, ale żył przecie! Usta jego powtarzały machinalnie zapłakanym oczom:

— Sara przyjechała! Sara przyjechała!

Hipolit spoglądał na niego w podziwieniu milczą-

cén, nie umiejąc sobie zdać sprawy z wrażenia, jakie słowa jego zrobiły: w uśmiechu jego było trochę politowania. Staś już się odział, i nie czekając na przewodnika swego, nie pytając nawet gdzie ma szukać téj, której imię z odrętwiałości go obudziło, wyleciał, drzwi rozwarł zostawując za sobą. Professor próżno wołał, chciał zawrócić, musiał sam pozamykać, oddać klucz i odejść zasmucony; w ulicy śladu już Stanisława nie znalazł.

Sam on nie wiedział dokąd biegł z tą myślą, że Sarę znowu zobaczy. Zdawało mu się, że z nią przeszłość jego powróciła, że nowe zawitało życie. Machinalnie nogi go powiodły na ulicę Niemiecką, i ani się w początku opamiętać mógł, gdy wśród pochodu wstrzymał go głos pani Brzeźniakowej, pytający: dokąd tak leci?

Nie spostrzegł on ani jój, ani Marylki, choć się z niemi twarz w twarz spotkał. Kobiety poglądały nań zdumione tą niezwykłą jego żywością.

— Co to jest? dokąd pan tak śpieszysz?

— Ja? dokąd? powtórzył Szarski: a! prawdziwie... sam nie wiem!... Wyszedłem tak — wyjąkał rumieniąc się i nie umiejąc przyznać — na przechadzkę! czułem potrzebę powietrza i ruchu!

— Idźże pan, idź, żyj, oddychaj! zawołała uradowana tą odpowiedzią Marylka. A potem, potem przyjdź i nas pocieszyc widokiem swego zmartwychwstania.

Ostatnie tylko jój słowo uderzyło o ucho Szarskiego, który spojrzał na Maryę, podał jój rękę z niewysłowioném, tajemniczym jakimś uczuciem, uśmiechnął się smutnie i znów pobiegł dalej.

Długo dwie kobiety oglądały się za nim, nie mogąc

pojąć, co tak nagłą i dziwną zrządziło zmianę w człowieku, który dotąd ledwie się włókł, ledwie ospałym okiem spoglądał przed siebie. Twarz jego rozogniona, płomieniejąca, postawa wyprostowana, oczy zarazem pełne jakiegś żądzy i łzawe boleścią, znamionowały jakby odrodzenie się duszy.

— A! Boże! niechże ci będą dzięki! westchnęła Marya. Tyś się zlitował nademną i wysłuchał modlitwy... on powraca do życia...

I łza szczęścia, za którą wkrótce inne pobiedz miały, spłynęła po twarzy Maryi.

Stanisław już był daleko, ale szał jakiś nierozważny wiódł biednego. Imię Sary obudziło w nim szeregi umarłych wspomnień aż do ostatniego... zdało mu się, że też sama, ta, którą znał niegdyś, którą porzucił dzieweczką, stanie przed nim na tym progu, u którego ją pożegnał.

Biegł wprost do kamienicy Białostockiego, aż na strych, do swojej niegdyś izdebki, i opamiętał się dopiero wtedy, gdy otwarłszy drzwi jój ledwie przytknięte, ujrzał się w pustecę...

Okno było wybite do szczętu i wiatr tylko ostatkiem ramy połamanéj poruszał powoli, podłoga przysuta starą kurzawą, ściany poopadałe, a przez dach snadź sączyła się długo woda, która wilgotne, czarne po sobie pozostawiała plamy. Powietrze przesiąkłe było stęchłą, zbutwieniem, ruiną... Ten widok dopiero go otrzeźwił — stanął, obejrzał się, ochłódł, i wsparłszy się o drzwi, pozostał tak niemy, pytając sam siebie: co tu robi? po co przyszedł? czego się mógł tu spodziewać?

Powoli odczarowany, z myślą kirem tego opuszcze-

nia powleczoną, zszedł ze schodów i znalazł się znów w gwarną a brudną ulicę.

Powietrze bijąc mu w twarz chłodem i wilgocią, otrzeźwiało go powoli, ale nogi chwiały się pod nim po tym szalonym biegu, po niezwykłym wysiłku duszy i ciała, który nagle zmógł go do ostatka. Z zapaleńca uczuł się chorym, biednym, przytomnym już człowiekiem, tak, że po rozwadze spytać się postanowił Żyda o mieszkanie niemieckich aktorów.

Całe podówczas wiedziało o nich miasto, bo przybycie ich było dla Wilna wypadkiem, i niedługo szukać potrzebował na Niemieckiej ulicy faktora, o którego łatwo wszędzie.

— A kogo pan chce? o kogo pan pyta? począł usłużny Żydek, biegnąc już przodem. Truppa stoi u Icka — pan wie... u Icka Weinstocka. A może do Smaragdiny? nu! to co innego! mieszka osobno... dla niej wynajmowali pokoje! gwałt!

— Prowadź mnie do niej! znów szalejąc rzekł Stanisław żywo — prowadź mnie do niej!

Żydek biegnący przodem ledwie mógł podołać podwojonej znów niecierpliwości Szarskiego, lecącego jak się zdrowo i przytomnie lecieć nie może.

Wpadli oba do zajezdnego domu jakiegoś na schody. Szarski nie pytając o nic, otworzył drzwi wskazane, i cały wrzący wbiegł do pokoju.

Była to salka dość schludnie jak na izbę gościnną przystrojona i wytworna, z trzema na ulicę oknami. Zachodzące w tej chwili za dżdżyste obłoki słońce, wpadając oknem od balkonu, część jej jaskrawo oświecało, a w półcieniu przezroczystym ujrzał Stanisław ideał swój na wpół siedzący, wpół spoczywający na sofie.

Śliczneż to, śliczne było zjawisko! bo nawet wśród tego zaniedbania i spoczynku, artystka pamiętała, by być piękną. Wdzięcznie spadała jej blado lila sukienka z nóg wyciągniętych na sofie, na których rozwieszona była jak draperya greckiego posagu; ręka jedna półkolem zginała się nad głową spoczywającą na poduszce karmazynowej, odsłaniając śliczną szyję i część popiersia cudnych kształtów i śnieżnej białości.

Padając dopiero u nóg czarodziejki, Szarski postrzegł, że nie była samą.

Na téjże sofie, w drugim jej końcu, siedział z podkreconemi po turecku nogami młody, bardzo przystojny, słusznego wzrostu, barczysty i jak Antinous zbudowany mężczyzna, w czerkieskim ubraniu, z cygarem w ustach.

Twarcz jego była widocznie słowiańska, strój, postać, blond włosy, niebieskie oczy łagodne a obojętne, pół uśmiech dobrotliwie szyderski, tak wyraźnie mówiły o pochodzeniu, że roztargniony nawet Stanisław poznał w nim Rossyanina. Z miny widać było dobrze wychowanego człowieka, miał bowiem w sobie coś wdzięcznego i wdzięczącego się, co ludzi klasy arystokratycznej cechuje wszędzie; w oku wiele docipu, w ustach trochę sarkazmu, ale zarazem wiele serdecznej dobroci.

Na widok wlatującego zapaleńca, Sara nie zmieszła się, nie zapłoniła, nie krzyknęła, ale w głos tylko, sucho, jasno, zimno roześmiała się dziwnym dźwiękiem.

— A to on! zawołała, wskazując nań ręką księciu: to mój poeta!

Księżę wstał grzecznie, i z uśmiechem podał białą

swą rękę, ale Szarski cofnął się od niej i obłąkanym wzrokiem powiódł po obojgu.

— No! powitajże się z księciem, dodała aktorka. Al! to tak dobry, tak dobry człowiek!... Czego pan jak wilk na nas spoglądasz?... Bądź grzeczny proszę, siadaj, ochłoń, oprzytomnij.

Staś mowy téj jeszcze zrozumieć nie mógł.

— Co to jest? któż to jest? spytał jakając się i szukając krzesła, o któreby się mógł oprzeć, bo drżał cały.

— To książę R*, mój przyjaciel... mój protektor! mój kochanek, jeśli chcesz, żebym mówiła szczerze — odparła Sara głosem, w którym chwilami coś osobliwym boleści drżało wyrazem.

Dopiero teraz, gdy oczy w nią gniewne, pełne rozpacz i wymówek wlepił Szarski, postrzegł jakie w niej zaszły zmiany, jak się ta istota przeistoczyła znowu...

Al! straszliwie była bo zmieniona! cudniej piękna, ale już nie kapłanka sztuki, raczej bachantka zimna i roztrzępana, z zastygłym sercem, płonąca głową.... Boleść nie dała mu z pod tych osłon zimnych dojrzeć uczucia, które jak dziecina w kolebce zarzuconej pokryciem śnieżnym, drgało i poruszało się wpół senne...

— Podajże rękę księciu! rozkazująco rzekła Sara.

Szarski zadrżał, ale dłoń wyciągnął, i spotkał serdeczne ujęcie ję księcia, który śmiejąc się, usiadł na swoim miejscu.

— To poeta — zaśpiewała aktorka — o którym mówiłam księciu dojeżdżając do Wilna... poeta, który stworzył Sarę.

— Piękny poemat! rzekł książę R.

— Poeta, z któregośmy się razem śmieli... dodała Sara — a za którego stałość i serce ręczyłam niegodna!

Dziwny był stan Szarskiego, który słuchał téj mowy jakby gromu i burzy, nie pojmując ję wcale. Miotał się, uspakajał, porywała go odraza, chęć zemsty, gniew; to znowu twarz ta ku niemu zwrócona, przypominająca przeszłość niepowrotną, twarz, której sam widok był szczęściem, od której blasku bał się zostać wygnanym, wstrzymywała porywy rozjątrzenia, spadała go na niewolnika zaprzędanego się z głodu.

Na twarzy nieszczęśliwego najdziwniejsze przełatywały uczucia jedne po drugich, wiły się, mieniały, walczyły, aż wreszcie przyszedł do rodzaju zdrętwienia, słów już nie słysząc i nic nie widząc prócz téj twarzy, w którą się osłupiałymi wpatrywał oczyma.

Książę uśmiechał się z początku, ale ta siła namiętności, ten wyraz oblicza strawionego długim cierpieniem, ożywionego połyskiem nadziei, przejęły go do duszy. Spojrzał na Sarę szebioczącą może dla pokrycia wzruszenia, strzęsnął popiół z cygara, i poszedł do okna, z przykrém widocznie wrażeniem.

— Powiedzże mu choć słowo od serca, jeśli masz serce! rzekł pańskim tonem i głosem, w którym przebiła się niemal pogarda. Ten człowiek kona dla ciebie...

— Książębyś powinien brać przykład z niego — odparła aktorka po cichu, starając się przebłagać wejrzeniem pięknego blondyna i wabiąc go żrenicą.

— Ja! zapewne! szydersko mruknął książę. Bądź spokojna! nie głupim stawie życie na serce kobiety; Nie! nie! Wiesz dobrze, że moja miłość inaczej wy-

glądał Miłość to próżniacza, książęca, kapryśna, dziś milion płacąca za to, co jutro za grosz ma sprzedać... Gdybym miał w sobie to wielkie i piękne uczucie, którym ten człowiek goreje, użyłbym go na co innego.

— Oko anioła, a pierś kamienna! odezwiała się Sara z wymówką i westchnieniem, nie zdając się już zważać na Szarskiego.

— Może mnie Ktoś sprawiedliwy użył za narzędzie zemsty... za niego!

Na te słowa błysnęło tylko jakimś przelotnym płomykiem oko Sary, ale tłumiąc uczucie, zamilkła ścinając usta. Książę spoglądał na Szarskiego i z wolna przechadzał się po salonie. Ten jak padł tak siedział nieprzytomny, a łzy mu ciekły po twarzy... upajał się widokiem Sary.

Aktorka rzuciła nań niekiedy czarną żrenicą, ale to już nie było owe głębokie, silne, porywające spojrzenie dziewczęcia; był to wzrok wyuczonej zalotnicy, więcej obiecującej, niż dotrzymać może.

Po chwili książę R*, nie mogąc wytrzymać widoku tego męczeństwa, chmurny wyszedł do drugiego pokoju.

— Słuchaj Stanisławie — rzekła budząc go dotknięciem ręki Sara, sucho, zimno, chłodno — opamiętaj się, przyjdź do siebie, proszę... miej rozum! Tyś zawsze jeszcze dziecko... o! mój Boże!

— Tak, dziecko! wielkie dziecko! odpowiedział Szarski powoli.

— Ależ czas wyrosnąć z tego, dodała Izraelitka. O mój Boże! widzisz jak mnie to męczy... dosyć mam dramatów na teatrze! Mówmy chłodno, mówmy rozumnie... możesz mi zaszkodzić swoim szaleństwem! Słuchaj! — dodała z niecierpliwością prawie: Sara nie

jest tém czém była... zapomnij o dawniej Sarze. Wiek i życie odmienia, nowe się coraz budzą żądze, nowe pragnienia i potrzeby. Kapłanka poezji i piękności nie może znieść nędzy i niedostatku... Ja potrzebuję zbytku, pieniędzy, złota... i swobody, która się za nie kupuje. Ja kocham wszystko co piękne i co mnie piękną czyni... potrzebuję darów i dani całego świata na moje rozkazy... Ja muszę żyć w tych złotych ramach, bez których nie pojmuje życia... muszę być panią, i sypać złotem dokoła. Życie w nędzy, w wyrobnictwie w trosce o jutro, nie dla mnie... Musiałam skosztować bogactwa i mam je nareszcie... Sprzedałam się... wszyscy się sprzedają!

— Nie wszyscy! zawołał wstając Stanisław: nie wszyscy! Ani ja, ani nikt z tych, co w sobie nie zabili serca, nie dadzą się kupić za marzenie zbytku...

I chciał skończyć przeklęstwem, ale wzrok Sary, przenikający, ognisty, przybił go, przykuł do miejsca i zamknął mu usta.

— Ja się gniewać na ciebie nie mogę — odpowiedziała, — powolnie przyjmę co powiesz, zabojeć może, ale zniosę wszystko... Jestem zaprzeczona, jestem kupna kochanka tego człowieka... prawda! Ale tę sprzedaż podłą uszlachetnia coś Stanisławie... na jego widok serce mi bije! Ja go kocham! ja go kocham!

Nie wiem z pewnością, czy wymawiając te słowa, aktorka miała na myśli, że książę podsłuchiwać ją może pode drzwiami, ale to pewna, że uczucie swe prawdziwe czy odegrane — wyrażała z zapalem przejmującym.

Stanisław chwycił się za piersi, chciał coś odpowiedzieć; Sara spojrzała nań nakazując milczenie, i tak mówiła dalej:

— Wiem, że on mnie nie kocha i kochać nie może; ja się tém dręcę, że jestem dla niego zabawką; ale to tak dobrze, tak miło, choć omamieniem kupić sobie szczęścia chwilę! Ja się łudzę, uwodzę, ale na niego patrzę, ale go trzymam przy sobie. Chciałabyś przez zemstę, przez to uczucie zwierzęcia i dzikiego barbarzyńcy, popsuć mi jasne dni moje?

— Al! dni jasne za tobą! rzekł odzyskując myśl i głos Szarski. Szukaj ich w twojej młodości, wówczas gdyś dzbanek, w który może łaża spadła, niosła na strych biednemu sierocie... to były jasne dni twój!

— Piękne to dni były — cicho szepnęła Izraelitka, — ale nam ich nie powrócić... Każdy wiek ma swoją szczęścia godzinę, a każdy inną: tamto było szczęściem dziewczęcia, to pragnieniem kobiety.

— Ale biada temu — przerwał Szarski, — biada temu zaślepionemu co dziecięcym szczęściem wyżyć nie umie, sięgając po coraz inne... Zajdzie tak aż do kałuży.

— I napije się w niej... z ponurym uśmiechem dodała Sara.

Zamilkli oboje... Książę wszedł świszcząc na salę z ogromnym psem duńskim, który swawoląc wesoło podskakiwał do wzniesionej jego ręki; bawił się z nim najspokojniej i śmiał głośno, nie rzuciwszy nawet okiem na Sarę.

— Widzisz go, odezwała się aktorka: jak z tym psem bawi się ze mną, nie więcéj... i kocha mnie tyle co swego duńczyka... Miałabyś mi téj odrobiny szczęścia zazdrościć?

— Cóż mi każesz robić? spytał Szarski. Odejść, nie pokazywać się?

— Po co? dla czego? przerwał książę przystępu-

jąc z wesołą twarzą. A cóż my sobie szkodzić i przeszkadzać możemy? Pan jesteś przeszłością Sary, o której wiedzieć musiałem... Co innego gdybyś przyszłością mi groził; ale przeszłość nigdy nie wraca... Kochana Smaragdino, nadto już znasz mnie mało, i zbyt się obawiasz...

Stanisław rzucił się ku niemu z wdzięcznością w oku i bijącym sercem.

— Więc mi pozwalasz patrzeć na nią, i nie wypędzisz mnie?

— Ale mój drogi paniel! odparł książę ruszając ramionami: nie przypisujże mi pan dziwnej jakiejś zazdrości, któraby mnie śmiesznym tylko czyniła... Któż zazdrośnym być może?...

Tylko co nie dodał:

— O aktorkę, której płacił

Ale wychowanie i grzeczność, do której przywykł, nie dozwoliły mu dokończyć myśli obraźliwej dla niej, i dolożył powolnie:

— Któż zazdrośnym być może... o dzień wczorajszy!

Sara westchnęła.

Szarski ścisnął rękę śmiejącego się księcia R* z wdzięcznością, która w nim politowanie wzbudziła... Trząśnięty cały, łyż jeszcze biegły mu z oczu, pobiegł do kąta, siadł osłonięty mrokiem, i ztamtąd w ciszy począł patrzeć znowu na wcielone wspomnienie lat szczęśliwszych...

Sara leżała wciąż, ale chmurna i podrażniona; niekiedy na księcia, co się z psem swoim bawił, to na Stasię rzuciła wzrokiem, jakby porównyując ich z sobą, i Bóg jeden wie, jakie tam myśli krążyły po téj głowie, tak pięknemi patrzącą oczyma. Wieczór

nadszedł, a Szarski z miejsca się nie ruszał. Podano herbatę, na którą ze szczególną grzecznością, musiem prawie i siłą, książę wyprowadził Szarskiego z ciemnego zakątka. Sara się jakoś rozweseliła, ale czy przez złą rachubę, czy żeby do reszty zrazić Stanisława, przedmiotem ję szyberskiej rozmowy była ciągle przeszłość, którą wyciągała na plac, by ją policzkować ironią i śmiechem. Wszystko! wszystko! aż do czystego dzbanka wody, roztlukła przed oczyma Stanisława, deptając, gniotąc, walając z zjadłością rozpacz.

Szarski wybiegł nareszcie od niej zrozpaczony, rzucił się na ubogie łóżko swoje, i poprzysiągł, że więcej ję nie zobaczy, że do niej już nie wróci!

Piękna jest krew, gdy z rany płynie wstęgą purpurową... piękna gdy wytryska brocząc ziemię swą barwą ognia i żywota... ale z nią ubiega życie, ale aby ją widzieć, potrzeba rozedrzeć żyły i utoczyć ze źródła siły... Tak piękna, jak ta krwi struga, była pieśń rozpacz, którą wyśpiewał poeta po powrocie do domu, zamknięty w swęj cichęj celi, zaledwie wiedząc co czyni; ale gdy w głowie jego i piersi gorączkowemi lży szarpanęj, brzękła tęj pieśni nót ostatnich... z nią całe lata przebrzmiały i wyczerpało się życie.

Tymczasem na drugim końcu miasta, Marya, powróciwszy z matką do domu, biegła klaskając w dłonie i ciesząc się jak dziecko, że tak żywym, tak zdrowym, tak innym widziała Stanisława. Na matce ta ję radość przykre robiła wrażenie; dla niej coś straszego było w tém nagłym zmartwychwstaniu trupa, była pewna katastrofy, zawodu, boleści nowęj i niespodziewanęj. Ale pragnąca dusza tak łatwo chwytła

się lada jakiego pozor! Marya marzyła uzdrowienie, szczęście, pokój niezmacony!

— Mamo droga, mówiła: ty wszystko widzisz zbyt czarno i straszno... On wyzdrowieje, to było chorobą tylko, dźwignie go młodość wszechmocna, serce uderzy znowu... Widziałas jak mu oczy jaśniały, jak się do mnie uśmiechnął przy rozstaniu?

— Ale byłże on przytomny?

— A! tak był piękny! odparła Marya naiwnie; takie z niego pałało natchnienie!

Wdowa spuściła głowę i umilkła.

Jakby naumyślnie los przyniósł tam doktora Branta, a Marylka pierwsza pośpieszyła do niego z wesołą nowiną.

— Wiesz, kochany doktorze? zaszczębiotała wesoło: nasz drogi chory jest już na drodze uzdrowienia. Widziałyśmy go tak ożywionego, tak niemal wesołego jak nigdy, idącego tak szybkim krokiem, z wyjaśnionemi oczyma, z uśmiechem na ustach.

— A! nie pochlebiaj sobie pani napróżno, odparł stary ponuro: to, coś widziała, zabić go tylko może!

Marya stanęła słupem i ręce ję opadły.

— Doktorze, na Boga! zawołała matka: bądź ostrożny...

— Tak! lepiej może, powoli i po trosze ją męczyć, kłóć szpilkami! ofuknął się stary lekarz niemal gniewnie. Tu nie ma co tać i malować. Widziałyście go panie wesołym, a jakże nim być nie miał! Tylkom co spotkał profesora Hipolita, który mu pierwszy doniósł o przyjeździe dawnęj jego kochanki Sary, dziś aktorki... Chłopiec po prostu oszalał i wyleciał do niej jak szalony!

Marya pobladła trochę, i usiadła osuwając się na krzesło, ale nie rzekła słowa. Usta ję ścięły się ja-

kimś niezrozumiałym uśmiechem, który nakazała dziewczę skromność i wstyd niewieści; ale źle biedna kłamała! Chciała udać obojętność; nikt przecie na tę źle i łzawo odegraną nie oszukał się komedyi.

Doktor spojrział i pożałował, że przed chwilą nie miał litości, ale już było za późno; matka zadrżała, nie chcąc okazać, że się zlekła; a dziecko dla niej podwajając siły, wstało na pozór uspokojone.

— Nie macie tu państwo co robić, odezwał się w końcu Brant. Jedźcie już sobie lepiej na wieś. Powietrze tutejsze wam nie służy; życie to miejskie nie dla was.

Takimi radami zamknął krótkie odwiedziny swoje, i nazajutrz pani Brzeźniakowa poczęła się istotnie wybierać w drogę, ale Marya tak była zdrętwiała, tak zgnębiona, tak widocznie przywiedziona do niemój i groźnej rozpacz, że matka zalawszy się łzami, musiała mimo jój posłuszeństwa i milczenia myśl swoją rzucić i znowu wyjazd odłożyć.

Tegoż dnia Marya wieczorem przyszła przymilając się do niej, pierwszy raz żądając rozrywki. Zachciało się jój teatru, a matka biedna zapomniawszy o Sarze, chwyciła się z radością jój życzenia jako oznaki szczęśliwości.

Pojechali więc na teatr, a pani Brzeźniakowa pomimo swój przenikliwości macierzyńskiej, nie postrzegła, że Marya na tę zabawę wlokła się wcale do niej nieusposobiona, z gorączkową tylko niecierpliwością, jakąś śpiesząc do teatru.

Trudno już było dostać biletu do łoży, tak na tych nadzwyczajnych przedstawieniach ścisk był wielki; a dnia tego podwójnie się jeszcze zbrali ciekawi, bo sławna Smaragdina występować miała w polskiej

sztuce po raz pierwszy. Teatr był cały zapchany i przy największym staraniu, wdowa ledwie sobie i córce miejsce w łoży państwa Ciemiggów uprosić mogła.

Marya usiadła tak, żeby nie była widziana, ale oko jój wprost pobiegło na scenę, i zdawało się wcześniej przebijać korynty, sięgać po za nią, wywołując tę, która ją obchodziła jak życie Stanisława. Chciała odkryć tajemnicę, którą ta kobieta usidliła go, przekonać się sama o wielkości niebezpieczeństwa, i liczyła chwile niespokojna, z bijącym sercem, z palającą twarzą. Matka dopiero teraz spostrzegła to zaprzątanie, ale go jeszcze zrozumieć nie mogła, prawie się niem radując.

Rozpoczęto jakąś farsą, Smaragdina nierychło ukazać się miała na scenie, Marya siedziała jak przykuta, wyglądając, prędko-li się ukaże ta, co jój życie zabrała?

Nie spostrzegła nawet w dole za orkiestrą siedzącego Stanisława, którego cały teatr palcami sobie wskazując, wziął za cel śmiechu i urągowiska. Szarski nie wiedział o tém i o niczym co się w koło niego działo; on także wyglądał, czekał tylko ukazania się Smaragdiny.

W rozrzuconej sukni, z włosom w nieładzie, z oblaczem napiętnowanym namiętnością, która opanowała wszystkie myśli jego, siedział poeta biedny wsparty na łokciu, w postawie, która na pierwszy rzut oka zdawać się mogła wymuszoną, przesadną, tak była nie naturalnie swobodną.

Ludzkie oczy, gwar, mowa, wszystko, co go otaczało, w oczach jego nie liczyło się za nic, żył w sobie i czekał Sary.

Marya i on gorąco zwrócili oczy, gdy się korytna podniosła, ale Sara nie wystąpiła w pierwszej sztuce, i po dość długim wstępie, po dłuższym antrakcie, zasłona znowu do góry dźwignięta, odkryła czarodziejkę w całym blasku uroczej piękności, podniesionej sztuka.

Sara tego wieczoru miała jedną z tych ról pospolitych teatralnych kochanek, którą tylko prawdziwie wielka artystka dźwignąć może grą umiejętną, nadając jej życie nowe. Było to zadanie trudne, niepodobne prawie, bo typ ten, wystereotypowany we wszystkich sztukach, tak jest oklepany, powszedni, tak starty, że jak ze starego łachmana nie już zeń zrobić nie można. Ale ta kobieta od pierwszego kroku, od pierwszego ust otwarcia, tyle wlała w swą niewdzięczną rolę życia, ognia, siły, oryginalności, że i w powie w uniesieniu autora i sztuki poznać nie mogli; rzecz stała się nową przez świeże jej pojęcie, nową, przez potężne wcielenie. Charakter roli namiętny, czuły, pełny poświęcenia i najwznioślejszych uczuć, byłby się wydawał przesadzonym, gdyby umiejętność artystki nie uczyniła go naturalnym. Widziała Sara, że co w ustach jednego jest przesadą, w drugich będzie żywą naturą; obliczem więc swoim, postawą, ruchem, dźwiękiem głosu i stopniowaniem nie zrównanem tak rolę swą prawdziwą uczyniła, iż w niej wydała się cudną!

Biedna Marya, jednocząc w myśli swęj aktorkę i kobietę, dziwną omyłką naiwności nie mogła ich rozdzielić, i pokochała tę, która tylko wzięła na się chwilową maskę ideału, tak się jej zdała piękną i wielką.

— Al! nie dziwię się, że ją kocha, mówiła w du-

szy: to ideał! Któż przy niej wydać mu się może godnym wejrzenia? Myśmy tak zimne, tak nudne, tak niezdolne istoty!

I lzy kręciły się w jej oku, zwiły się nie mogąc spłynąć po twarzy, wracały do ściśniętego serca.

Serce to było przekonaniem, że Szarski na wieki pozostać musi w więzach Sary... i rozdzierało się cichą rozpaczą. Szczęściem dla niej, wrażenie, jakie widocznie robiła Sara na Maryi, przypisywano samej sztuce, grze, teatrowi, i nikt się nie domyślił obok dramatu zmyślonego, łez nieklamanych, gorzkich łez pokrywanego cierpienia. Matka jeszcze się cieszyła rozrywką!

O kilka kroków od tej łoży, w której boleśniesz niż na scenie odegrywał się dramat, siedział książę R* sam jeden, lornetując swoją Sarę i powtarzając w duchu:

— Al! gdyby ona tą była, którą tak doskonale kłamię!

Poniżej znowu Szarski patrzył na aktorkę, i w tej roli widząc jakby przypomnienie dawniej swęj miłości, dawnego jej uczucia, poił się nią i zatruwał. Sara tak była wielką artystką, tak prawdziwą i przejętą, że i on oddzielić już nie umiał aktorki od kobiety; wczorajsza zdawała mu się fałszywą, a dzisiejsza jedyną żywą i istotną...

— To być nie może—powtarzał—żeby się ona tak zmieniła straszliwie!... Ona udaje, ona jest aniołem! Natura ludzka nie potrafiłaby uleść takiemu przeistoczeniu... gdzież podziałoby się serce? gdzie pamięć? To była próba! to było udanie!

Nareszcie zasłona zapadła na scenę ostatnią, odegraną z podwojeniem talentu i rozdzierającą uczuciem

gorącym. Oklaski jak grzmot zahuczały tysięczne, wywołano Sarę... A Szarski odurzony, nie w tém wszystkim nie widząc prócz swego losu, wybiegł uprzedzając powrót aktorki, prosto do jój mieszkania. W drodze minął go powóz unoszący zesiabłą i na wpół omdlałą Maryę, a w bramie zajazdu, o mało nie rozbiła landara księcia, który ze swą Smaragdina powracał do domu.

U stopni wschodów, jak żebrak, stał pokornie czekając na nich Szarski. Ujrawszy go Sara, krzyknęła zdziwiona i zniecierpliwiona; książę się tylko uśmiechnął.

— Nie prawda—rzekł—że cudną była w dzisiaj-szej swój roli?

— Bo była sobą, odparł Szarski; taką, jaką w głębi jest jój dusza!

— Dziwne widzę, poeto, masz pojęcie o sile mojej, przerwała aktorka. Byłoby sztuką pokazać tylko co we mnie? O! jam właśnie warta była oklasków, bo szyderstwo śmiało się w mojem łonie, gdy odegrywałam rozpacz...

— Nie masz litości! rzekł Szarski; ale ja tego nie słucham, ale ja temu nie wierzę!

— Zawsze dziecko! szepnęła Izraelitka, wchodząc do sali i rzucając się na sofę zmęczona.

A postrzegłszy, że Szarski usiadł zaraz naprzeciw niej, nieukontentowana ruszyła ramionami.

— Oszalał! powiedziała tak, żeby ją mógł posłyszeć.

Książę tymczasem chodził po salonie, gospodarując z krwią zimną,—i była długa, długa chwila milczenia. Nareszcie, korzystając z oddalenia się protektora, Sara powstała i żywo zbliżyła się do Stanisława.

— Co pan tu robisz znów? zawołała gorąco i niespokojnie. Muszę ci jeszcze raz powtórzyć, że wszystko się skończyło? że potrzeba się rozstać i zapomnieć na zawsze? Idź! idź! nie zatrzymaj sobie życia! jam ciebie nie warta!... ty mi przeszkadzasz, do-dała zatrzymując się.

— A! zlituj się! zlituj! składając ręce przed nią wyjąknął nieszczęśliwy—chcesz chyba, żebym umarł na ulicy patrząc w okna twoje... Nic wypędzaj mnie! nie wypędzaj! ja nie mówić nie będę, ja ci w niczem nie przeszkodzę!

— Ale książę...

— Książę tak dobry... on nie jest zazdrosny.

— On lubi swobodę...

Czy Smaragdina znów grała rolę jaką, czy była tylko sobą i najszczerzym swój myśli wyrazem?... Nie wiem, ale coś w jój oku przelatywało jakby uczucie, coś w ustach jakby żal drgało. Zdawało się, że odpychała go umyślnie, jak gdyby czuła, że uścisk jój skalany jest i zatruty, że się nie godzi zapłacić nim za szczerą, za poczeiwą miłość poety.

— Ha, pójdę więc, pójdę—rzekł Szarski—muszę...

I chciał odchodzić, i wahał się, spoglądał, siedł i powracał, tak rzucić mu ją było ciężko. Wtém nadbiegł książę.

— A cóż to? pan odchodzić myślisz? rzekł żywo do niego. Tyś bo nielitościwa Smaragdino! odezwał się zwracając ku niej z wymówką. Dajże mi się pocieszyć widokiem jedyne go szczerego, stałego, choć nieszczęśliwego przywiązania, które mnie może ze światem pogodzić...

Ale Sara wciąż niecierpliwie powtarzała Stanisławowi znaki, aby odszedł, i posłuszny niewolnik, choć

go tu jój oczy przykuły, pomimo prośb i nalegań księcia, musiał wysunąć się biedny...

Jakiś czas stał jeszcze naprzeciw kamienicy, patrząc w jój oświecone okna; myślał, że go kto zawoła, że będzie mógł powrócić, że cud jakiś stanie się dla jego męczarni... Ale wkrótce światła poczęły gasnąć w oknach, lampka tylko zaświeciła daleko gdzieś w otatniem, cisza nocy ogarnęła miasto... Szarski poleciał do domu.

Nazajutrz, doktor Brant zastał go z rana ubranego jak był w teatrze, siedzącego w krześle od wczora, ale z silną jakąś gorączką, którą wrażenie i przeziębienie nocne wywołały.

— Co ci jest? spytał wchodząc. Bazylewicz dali mi znać, że jesteś chory.

— Ja chory? zdziwiony odparł Stanisław, pokaszlując. Ale nie! zdrow jestem, nie mnie nie boli, głowa tylko ciężka, bom nie spał...

— Daj-no puls, bo w pulsie odzywa się i mówi wszystko, czasem nawet dusza; świadkiem owa historia, którą dla medyków sztychują, wiesz?

To mówiąc wziął jego rękę i pokiwał głową.

— Masz trochę głupiej jakiejś gorączki, rzekł. Połóż-no się w łóżko i uspokój.

Stanisław rozśmiał się.

— Kochany doktorze, począł z cicha: sam to wiesz najlepiej, że duszy wykurować niepodobna; nie dasz już rady ze mną. Choroba moja nie ze krwi pochodzi, nie z chłodu, nie z jadła, nie z powietrza, ale

z cierpienia... Powoli wrzątek rozgotował naczynie, i garnek rozsypać się musi.

— Mógłbyś silniejszą wolą ten war ochłodzić — rzekł Brant — i sam się uleczyć.

— Nie, to darmo: próbowałem i nie mogłem... a w téj chwili życie mi się już taką wydaje lichotą, że nie chciałbym schylić się po nie, gdyby sto lat leżało zgubionych na ziemi.

— I ty to mówisz! zawołał lekarz — ty! coś tak zdrowo pojmował obowiązki człowieka! I nie wstydzę ci tego?

— Siły się wyczerpały, odwagi braknie, niemoc duszy mnie zabija. Cóż ci to szkodzi, że sobie umrę po cichu? dodał błagając prawie. — Czy wolałbyś widzieć mnie żyjącym długo i cierpiącym męczarnie, pasującym się z życiem tylko?... Na co ci to, doktorze?

— Bom pewien, że ochłonawszy z resztek młodości, pojąłbyś życie inaczej i przestał jęczeć. Do łóżka mi zaraz! do łóżka!

— Ciało... ale duszy nie położysz doktorze! rzekł Szarski wzdychając.

— Kto to wiel odparł Brant zażywając tabaki; kto to wiel

Szarskiego tak już zmogła choroba, tak był bezwładny, że doktora usłuchał i padł na łożo machinalnie, powodując się jego rozkazem.

Gorączka coraz się wzmacniała; Brant poczynął być niespokojniejszym co chwila... milczał i zamyślał się.

W chwili jednak, kiedy zdawało się, że choroba powinna była wybuchnąć najsilniej, opadła, a lekarz widząc go usypiającego, powziął jakąś nadzieję, choć zrozumieć nie mógł, jak się to i dla czego stało. Powodem może było, że od dawna nie widując Stanisła-

wa, nie badał z bliska jego stanu, nie wiedział, że to nie był właściwie choroby początek, ale koniec jój może, wybuch, który rozwiniecie jój przyspieszył. W chwili więc, kiedy lekarz oczekiwał silnej słabości, chory na pozór zaczął się mieć lepiej, i nazajutrz wstał do pracy.

Do pracy! tak! to było jego jedyne lekarstwo!

Wybladły, drżący, zesłabły, ujął znów ręką bezsilną księgi porzucone przed kilku dniami, dziś znowu potrzebne, dziś znowu ostatnie z przyjaciół. Brakło mu oddechu, władzy w nogach i chęci do życia nawet, ale miał jeszcze siłę ducha, którą próbował przemódz cierpienie serca. Napróżno! utrapiona myśl, że Sara jest blisko, że widzieć ją może, że z jój oczu pićby mógł jeszcze słodką truciznę, kręciła się dokoła jak uparta osa, której odpędzić nie można. Wstrzymywał się, ale panować nad sobą nie potrafił. Mrokiem, gdy nikt go widzieć nie mógł, ciągnął znów pod okna tego nieszczęsnego domu, i wpatrując się w świecące szyby, marł powoli dumając o Sarze, której cień niekiedy przemknął mu się na zasłonach.

Potrzebuję powieść ta prosta epilogu?

A! wolałbym, żeby ją słuchacz w swęj duszy dopiewał.. Každyby tu zapewne dorobił zakończenie usposobienia swemu odpowiednie, i radby był kompozycji własnej, gdy niestety! pewien jestem, że epilog mój nikogo nie zaspokoi, a nielitościwy krytyk powie, że m znużony powieścią, uciał jój głowę jednym zamachem, żeby się pozbyć z przed siebie.

Trudno to wszakże na końcu długiej wspólnej przechadzki, porzucić tak, choćby tylko jednego sympatycznego czytelnika, który wytrwał do kresu; trzeba go zaspokoić i zakończyć według wszelkich prawideł.

Położenie, któreśmy skreślili w ostatnich rozdziałach powieści, trwało jeszcze dosyć długo; nie się w niem prawie nie zmieniło. Sara była zawsze niepojętą istotą, w której słowach chłód, to głębokie jakieś odzywało się naprzemian uczucie. Na nieszczęście Stanisława, zatrzymała się w Wilnie na długo, a nareszcie zamówiona do trupy miejscowej na kilka dalszych miesięcy, niewiadomemi nam wstrzymana tu powodami, nie myślała już wyjeżdżać do Berlina, dokąd ją powoływano. Księżę R* pozostał wierny urokowi, jaki na nim wywierała; a Stanisław odpychany zimnemi słowy, włóczył się za nią, gonił ją z daleka, żebrząc spojrzenia, nasycając się kradzionym czarodziejki widokiem. Ostatni grosz jego zabierał teatr, z którego nie wychodził, ostatnie chwile pożerała ulica, w której musiał szukać przemykającej się Sary. A namiętność ta dziwna, przeistaczając się niemal w chorobę, niszczyć go nie przestawała z szybkością, z jaką słabość każda pożera młode istoty.

Starszy cierpi dłużej i powolniej; wiek wiosenny chwyta, połyka i kończy wszystko prędkiej; śmiertelna boleść długo mu nie dolega, bo go zabija do razu. Wkrótce więc i praca, którą Stanisław się leczył, i miłość, która zabijała, uczyniła zeń widmo, ledwie iskrę życia w sobie mające. Brant chciał go od obojga oderwać, ale napróżno wysilał się na środki; sposobu nie było. Stanisław dogorywał, sechł, kaszlał

i wypalał się jak ostatek lampy, której rozdwojony knot resztę oleju wysysa kopącym płomieniem.

A Marya? Marya nie miała także siły oddalić się, usunąć, wyleczyć, i matka nie zdobyła się na odwagę, by ją gwałtem odciągnąć. Tak smutnemi łzy płacząc, patrzyły obie na niknące nadzieje, na zbliżanie się chwili, co je na zawsze pochłonać miała. Coraz rzadziej widać było Stanisława, a stan jego wzbudzał litość obcych nawet, tak się w nim malowała rozpacz, już w osłupienie jakieś przeszła, i zupełna dla życia obojętność.

Przychodził on jeszcze czasami do pani Brzeźniakowej, którą chłodno rozpytywał o Krasnobród, o matkę, o krewnych; do Maryi, z którą na chwilę ożywiał się w rozmowie niekiedy, ale każde takie wzruszenie było dla niego chorobą, wzmagało kaszel, budziło gorączkę, wywoływało uczucia przyspieszające bieg krwi, której żar go wypalał. Brant patrzył i łamał ręce w milczeniu. Chciano wywieźć Szarskiego na wieś w rodzinne strony, ale pokiwał głową i sucho rzekł:

— Nie potrzeba.

Chciano go namówić na leki, uśmiechnął się i odparł:

— Wiem co myślicie; dajcie mi pokój! z tego nic nie będzie.

Ledwie jakoś przyjaciół domu, ze zbliżającą się wiosną, widząc powiększające się dla chorego niebezpieczeństwo w powietrzu i wyziewach miasta, a chcąc go razem może od Sary oddalić, z rodzajem spisku i z tysiącznemi podstępami wymógł na Stanisławie, żeby się wyniósł do wiejskiego domku, położonego niedaleko tak zwanego Betleemu, w gaju i miłej, jak wszyst-

kie okolice Wilna, ustroni. Domek ten, a raczej skromna chatka, staraniem przyjaciół najęta i narzeczona Szarskiemu, składała się ze trzech izdebek i sionki, a stała na piaszczystym wzgórku u podnóża okolonym drzewami, z którego przez ich wierzchołki widać było część wielkiego pejzażu, zakończonego murami starego grodu. Dworek ten, najmowny zwykle dla chorych, lub na czas jakiś chcących się usunąć od zgiełku, był jednym z pięciu czy sześciu podobnych, należących do jakiegoś spekulanta, rachującego na villegiaturę urzędników i professorów. Obok niego różnych rozmiarów był drugi, trzeci i czwarty podobny; w jednym z nich, w najbliższym, umieszczała się pani Brzeźniakowa, na gwałtowne Maryi nalegania przystając po długim wahaniu.

— Co ludzie pomyślą! co ludzie powiedzą! wołała biedna matka, ulegając żądaniu córki.

— Że go kocham, że chcę być przy nim i pielęgnować go, odparła odważnie Marya. Mniejsza o złośliwość ludzką!...

I tak prosiła, i tak płakała, że matki obawy przemogła.

Brant musiał się, nie bez wielkich trudności zając przeniesieniem Szarskiego, którego książki i papiery przetransportowano na nowe mieszkanie, rozrzucając je w tym samym porządku, w jakim leżały w kamienicy, którą wprzód zajmował. Dano mu służącego staruszka, wybranego przez doktora, powolnego a roztronnego człowieka, który już niejednemu choremu zamknął oczy i zwykle do słabych był branny; urządzono mile dla oka izdebki, a stół najęto niby w jednej z bliższych traktyerni, ale w istocie

noszono jedzenie od pani Brzeźniakowej. To nowe pomieszkание, na pół wiejskie, ciche, od gwaru dalekie, a wesołe widokiem, który się z okien rozciągał, doskonale wybrane było. Stanisław zdawał się w nim zapominać o Sarze, o mieście, i oddychał świeższym powietrzem zieleni z jakąś rozkoszą i odzyskanym spokojem. Odrywał się nawet od pracy w początku, by wyrzeć na świat, na drzewa i kwiaty, na niebo, i pochodzić z myślami swemi po ulicze, która była jego własnością. Składała się ona z sosen, leszczyny i kilku świerków i brzozeł, wśród wykarczowanego zostawionych lasu. Obok, tylko przez płotek lekki, zarzucony z poprzybijanych łąt sosnowych, był drugi ogródek podobny, należący do Maryi, podobna jęj uliczka, i drzewa, z pod których cienia oglądać mogła na swego chorego... Ale widok ten zakrębiał jęj duszę.

Codzień powolniej przechadzał się młody poeta, codzień głowa jęgo spuszczała się na pierś bezsilniej, a oczy codzień mniej na świat patrzyły. Z uliczki Maryi, widać było aż w okna i wnętrze izdebki, w której pracował Stanisław, i często godziny całe oglądała nań Marya, jak z księgą na kolanach lub piórem w ręku przedumał nieporuszony... nieobrachowane wieki.

Ciągnęło się to przez maj, przez część czerwca, aż w końcu tego miesiąca już Stanisław przestał wychodzić w uliczkę i ledwie mógł z krzesła wywlec się do okna, by pociągnąć trochę powietrza balsamiczną wonią drzew przejętego. Poczciwy Brant przyjeżdżał codzień, ale utraciwszy już nadzieję ocalenia go, napisał tylko do Płachy do Jasieniec, aby ostrożnie rodzinie

A epilog epilogu? A! i ten potrzebny jeszcze... choć słów kilka, które dorzucić mamy, smutniejsze są od sceny, na którą spojrzeliśmy przed chwilą, smutne jak mizerne życie człowieka, jak jęgo słabości odrażające.

W rok potem, na zielonym grobie poety... jedna tylko kłęczała postać, w sam dzień śmierci wieszając na skromnym krzyżu, wznoszącym się na mogile, wieńiec nieśmiertelników. Była to Sara, Sara aktorka, Sara cudza kochanka, która zabiła poetę i grób jęgo wieńczyła ręką drżącą.

W lat dwa, w lat dziesięć jeszcze, taż sama dłoń, w ten sam dzień, przychodziła z daną pogrobową na mogilę już dzikimi chwastami pokrytą... i nikt więcej! i nikt więcej!

A Marya? spytacie: Marya umarła?

Nie—ona wyjechała (na wieś z matką, chorowała, bolała, płakała, odczytywała jęgo pieśni drżącą narysowaną ręką, słabemi wyśpiewane usta, chciała wstąpić do klasztoru, chciała umrzeć i nie mogła.

Powoli żal jęj się uśmierzył, i choć nie ustał, pokryła go mgła oddalenia... Marya poszła za męża, i dziś jest najprozaiczniejszą z matek rodziny, najlepszą żoną i gospodynią, choć wieczory wiosennemi, gdy jęj woń rozpuszczonych świeżo brzozeł zmarłego przypomni, jeszcze cicha łza po nim płynie.

Taki jest człowiek! duch w nim potężny, ale ciało słabe...

W tydzień po śmierci Szarskiego, Bazylewicz już drukował szumny prospekt na cały zbiór dzieł „świeżo zgasłego a nigdy nieodżałowanego pisarza,“ któremu taki napisał nekrolog, jakby pióro we łzach maczał. Wydanie pozostałości po Stanisławie zro-

biło mu kilkanaście tysięcy złotych, a w mniemaniu powszechném uchodził za jedynego powiernika i najserdeczniejszego przyjaciela zmarłego, gdyż mówiąc o nim, zawsze oczy ocierał chustką, a później tak już w swoją dla nieboszczyka miłość i poświęcenie uwierzył, że drugie wydanie z życiorysem i wizerunkiem poety miał przedsiębrać.

Żytomierz. 1853—1854.

K O N I E C.

